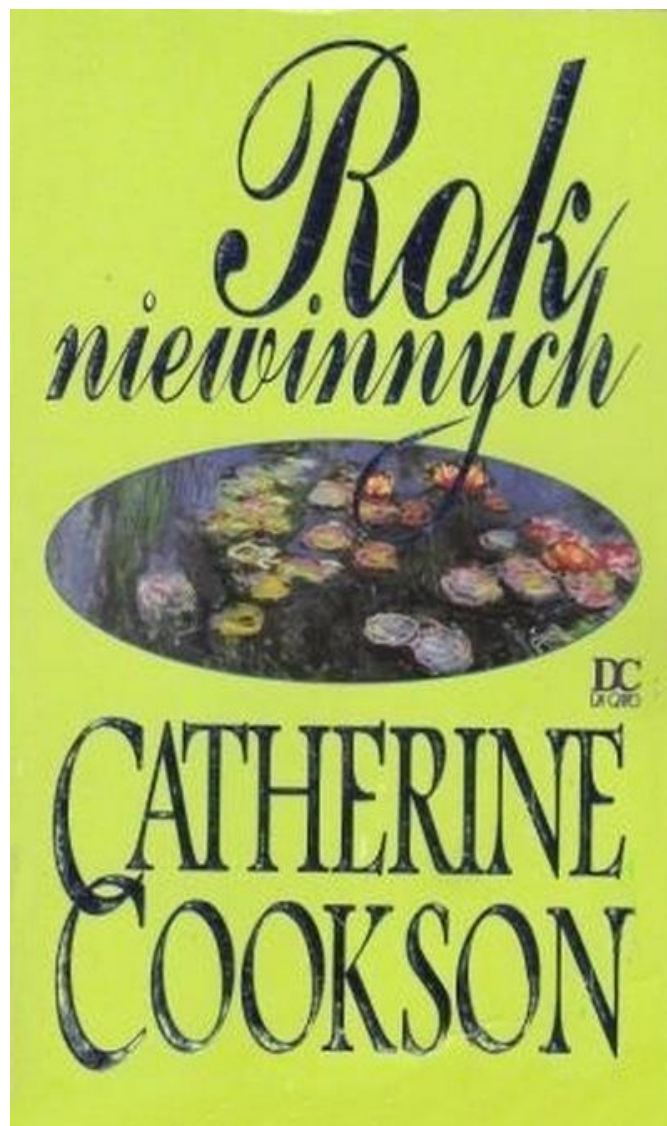




**CATHERINE COOKSON**

**Rok niewinnych**

Przełożyła Bożena Stokłosa



**Wydawnictwo Da Capo**

**Warszawa 1996**

# Część pierwsza

TLR

## Rozdział pierwszy



**Nie** mogę uwierzyć własnym uszom. Po prostu nie mogę.

- Spytać o to własnego syna - to całkiem proste.

- Co?!

Daniel Coulson zbliżył się do lustra i spojrział na odbicie żony. Zobaczył okrągłą, pozbawioną wyrazu twarz o cerze tak samo nieskazitelnej, jak przed trzydziestu jeden laty, kiedy brał ślub z jej właścicielką. Ale to było wszystko, co zostało z dziewczyny, która powiodła go do ołtarza, gdy miał dziewiętnaście lat. Jej jasne, upięte w wysoki kok włosy wypłówiały, a pulchna kiedyś, apetyczna figura obrosła tłuszczem. Odnosił wrażenie, że z powodu tuszy żony jej wieczorowa, uszyta z tafty suknia może popękać w szwach. Miała wycięcie tuż pod szyją, bo według tej kobiety byłoby nieprzyzwoitością eksponować ciało nad pierśiami. Ale one od dawna nie budziły w Danielu Coulsonie pożądania. Teraz interesowały go tylko jasnoszare oczy. Jeśli, jak w tej chwili, nie płonął w nich gniew - wyglądały, jakby wyblakły.

Patrząc w nie, zazgrzytał ze złości zębami.

- Spodziewasz się, że wezmę go za kołnierz i zażądam odpowiedzi?

- Tak postąpiłby każdy zwyczajny ojciec, ale ty nigdy nim nie byłeś.

- Na Boga, nie ! Nie byłem, bo przez cały czas musiałem z tobą walczyć. Inaczej zakładałabyś mu pieluszkę aż do ukończenia szkoły. Karmiłaś go piersią

tak długo, aż sama zaczęłaś się tego wstydzić. - Potknął się i odsunął, bo wbiła mu łokieć w żołądek. Gdy chwyciła wieczko ciężkiej szklanej pudernicy i trzymała ją wycelowaną w niego, osłonił się ręką. - Żono, odłóż to, bo inaczej wymierzę ci taki policzek, że będziesz musiała się usprawiedliwiać z powodu nieobecności na ślubie własnego syna. - Widząc, że wolnym ruchem odkłada wieczko na toaletkę, wyprostował się i twardo oświadczył: - Nie możesz znieść myśli, że go tracisz, co? Nawet jeśli żeni się z córką twojej najlepszej przyjaciółki. Próboweś wyswatać tę dziewczynę z Joem? Prawda? Ale wyrosła ze sztabkowego zadurzenia w nim i zapragnęła Dona.

I powiem, że osiągnęła to, czego chciała, tak samo jak Don, choć gdyby to nie był on, wybrałbym na jego miejsce Joego.

- O tak, ty wybrałbyś Joego. Najpierw obarczyłeś mnie niedorozwiniętym umysłowo synem, a potem wmanewrowałeś w adoptowanie drugiego...

- Mój Boże! - Złapał się za głowę i stąpając po miękkim dywanie przeszedł przez długi pokój do łóża z baldachimem.

Nie sypiał tu od ponad piętnastu lat. Bezsilnie uderzył głową w ozdobnie skreconą kolumnę, odwrócił się wolno do żony i przez długą chwilę patrzył na nią w milczeniu. – Ja wmanewrowałem cię w adoptowanie syna? Każdy wie, że to nie mój ojciec skończył w zakładzie dla obłąkanych.

Widząc, jak drgają mięśnie jej twarzy, nakazał sobie milczenie. Uznał, że posunął się za daleko, że zachował się okrutnie. Ale nie tylko on postępował okrutnie. Na Boga, nie tylko on, nie tylko! Gdyby była dla niego żoną, zwyczajną żoną, a nie dewotką i zaborczą do nieprzyzwoitości matką, nie dźwigałby teraz brzemienia wstydu z powodu rzeczy, które robił pod presją potrzeb. I nie musiałby wiecznie uważać, żeby się z tym nie zdradzić, bo nikt nie może sobie pozwolić na utratę twarzy we wspólnocie wyznaniowej, na naganną opinię u od-

wiedzących dom księży, u zakonnic z klasztoru, wśród Dzieci Marii we własnym domu, który trzeba prowadzić należycie...

Postanowił wyjść. Chciał się pokrzepić kieliszkiem trunku, ale zaraz westchnął ciężko, bo uznał, że rozsądnie będzie wstrzymać się z tym, dopóki nie przyjdą goście, gdyż zanadto rozwiąże mu się język.

- Jesteś ordynarnym, źle wychowanym, prostackim wałkoniem, jak twój ojciec i wy wszyscy - dobiegł go jej głos, niemal przechodzący w krzyk, gdy już wychodził z pokoju.

Nie zatrzymał się. Zamknął za sobą drzwi i przystanął przed szerokimi schodami. To było zdumiewające... nazwać go ordynarnym, źle wychowanym, prostackim wałkoniem, jeśli samemu pochodziło się z Bog's Endu w Fellburn!

Pamiętał dzień, w którym zjawiała się w biurze firmy, szukając pracy. Miała piętnaście lat i przyszła za namową Jane Broderick. Jednak po trzech miesiącach Jane orzekła: „Ona jest kiepska. Nigdy nie nauczy się pisać na maszynie. Dobra jest jedynie w odkładaniu wszystkiego na później. Ma zadatki na dobrą recepcjonistkę, ale to jest plac z żelastwem”. I to jego ojciec zasugerował: „Dajmy panience szansę. Powiedziałaś, że ma ładny charakter pisma. Niechże wpisuje zamówienia do rejestru”. A gdy wyszło na jaw, że uczyła się sztuki wysławiania u emerytowanego nauczyciela, pękał ze śmiechu.

To wtedy Daniel Coulson pomyślał, że ta dziewczyna ma w sobie coś, że jest inna niż wszystkie. I rzeczywiście, mój Boże, los zrządził, że dowiedział się, jak bardzo jest inna. Jedna rzecz działała na jej korzyść. Za sprawą lekcji krasomówstwa mogła uchodzić w towarzystwie za kogoś innego, niż była w rzeczywistości. Co więcej, dzięki temu sama wybierała sobie towarzystwo i bynajmniej nie szukała go w środowisku robotniczym. Bo jakie zażyłe stosunki łączyły ją na przykład z Janet Allison. Wprawdzie Allisonowie nie mieszkali w wystawnej jak ta rezydencji, ale należeli do klasy średniej czy nawet stanowili jej wyżyny; katolickiej klasy średniej, ma się rozumieć. Winnie nie tolerowałyby protestantów,

nawet gdyby mogła zawdzięczać im tytuł szlachecki. Ale przez to przynajmniej jednej rzeczy była wierna - swojej religii.

Zszedł wolno po schodach, a gdy ruszył przez hall, otworzyły się odległe drzwi, w których stanął jego przybrany syn, Joe.

Był tak samo wysoki jak Daniel i bardzo do niego podobny. Tylko włosy miał czarne, a nie brązowe i oczy piwne, nie zaś niebieskie. Daniela zawsze rozpieszczała duma z powodu tego podobieństwa, bo żywił wobec Joego uczucia bardziej ojcowskie niż w stosunku do Stephena czy nawet Dona.

- Co takiego zamierzasz czytać? Zaczynasz nocną zmianę? - zagadnął syna, widząc w jego ręku dwie książki.

- Niezupełnie. Chcę coś sprawdzić. - Po chwili wzajemnej obserwacji Joe spytał: - Masz zmartwienie?

- Dlaczego pytasz?

- Dopóki nie odzyskasz spokoju, przypominam, że twoja sypialnia jest nad biblioteką, która ma wysoki sufit... - wymownie pokręcił głową - ale nie jest on dźwiękoszczelny.

- Masz chwilę czasu? - rzucił przez ramię Daniel, zmierzając do biblioteki.

- Oczywiście. Ile tylko zechcesz.

Joe zamknął drzwi i podążył za Danielem do głębokiej skórzanej kanapy, która stała w rogu pokoju na wprost wysokiego okna, wychodzącego na ogród. Ale gdy mężczyzna, wobec którego żywił synowskie uczucia, skrzył nagle do okna i oparł dłoń na framudze, pospieszył za nim.

- O co poszło tym razem?

- Nie uwierzysz. - Daniel spojrzał na niego. - Nigdy nie uwierzysz, o co ka-  
zała mi spytać Dona.

- Dopóki mi nie powiesz, rzeczywiście nie uwierzę.

Daniel podszedł do kanapy i ciężko na nią opadł.

- Żąda, żebym się upewnił, czy Don jest prawiczką - odparł, opierając łokcie na kolanach i spoglądając na wypolerowany parkiet. Nie doczekawszy się komentarza, przeniósł spojrzenie na Joego i spytał: - No i co ty na to?

- A czego się po mnie spodziewasz? - odparł Joe pytaniem, kręcąc głową. - Jak myślisz, co by zrobiła, gdybyś jej powiedział, że Don był już z kobietą?

- Co by zrobiła? Trudno przewidzieć, ale wzdrygam się na samą myśl o tym. Z pewnością posunęłyby się do ostateczności. Może nawet usiłowałyby nie dopuścić do ślubu utrzymując, że Don nie jest godny tak cnotliwej dziewczyny jak Annie czy Annette - skoro przy tym drugim imieniu upiera się jej matka. Ach, ci ludzie! A może starałyby się zaciągnąć go do księdza Cody'ego, bo nie do Ramshawa. Co to, to nie. Ten drugi najprawdopodobniej zaśmiałyby się jej w twarz. Za to piekielny Cody mógłby zawezwać na pomoc samego świętego Jana Chrzciciela, by obmył jej syna z grzechu.

- Och, tato... - Joe zasłaniał usta ręką. - To zaczyna być zabawne.

- Chłopcze, nie ma nic śmiesznego w tym, co mówię i robię w ostatnich dniach. Tak naprawdę, a mogę to wyznać tylko tobie i twojemu bratu, jestem u kresu wytrzymałości. Jak pamiętasz, zostawiałem ją dwa razy, ale łzami i apelowaniem do poczucia obowiązku wymusiła na mnie powrót. Jednak teraz już nie pomogą żadne błagania i żadne groźby, że odbierze sobie życie, ani powoływanie się na dobro dzieci... Dzieci! - Westchnął Daniel. - Przypomnij sobie. Dopiero pięć lat temu, gdy stuknęła ci dwudziestka, przestała cię traktować jak dziecko, ale i tak wciąż miała drugie, bo za takie uważała szesnastoletniego Dona. Czy to nie cud, że nie jest zepsuty i rozwydrzony?

- Wszystko to prawda. I Don rzeczywiście jest skromny. Ale... czy pomyślałeś, tato, co będzie ze Stephenem, jeśli odejdziesz? On do końca życia pozostanie dzieckiem... Borykasz się z tym od dawna. Nie możesz oczekiwać, że Maggie weźmie to na siebie. Jeśli odejdziesz, wiesz, co mama z nim robi. Tyle razy tym groziła.

- Przestań, Joe. - Daniel zerwał się z kanapy i stanął przygarbiony. - Przestań. Stephen nigdy nie zostanie oddany do zakładu. Dopilnuję tego. Ale jedno wiem na pewno. Dłużej nie wytrzymam takiego życia. - Stanął swobodniej i wyciągnął ręce.

- Spójrz na to wszystko! Na tę cholerną, wielką bibliotekę. Tyle tu książek, a nikt poza tobą ich nie czyta. Wszystko jest na pokaz - dwadzieścia osiem pokoi, nie licząc twojego wymyślnego, przedpotopowego pawilonu, stajnia dla ośmiu koni, choć psa nie uświadczysz, bo ona nie lubi psów, tylko koty, sześć akrów ziemi i stróżówka. I po co to? Chyba tylko po to, żeby zatrudniać pięć osób - po jednej na każdego członka rodziny. Mieszkam w tym domu od piętnastu lat, a kupiłem go przed siedemnastu tylko dlatego, że jego cena spadła na łeb, na szyję. W pobliżu wybuchła bomba zegarowa i rezydencję zajęli żołnierze, więc właściciele chcieli się jej pozbyć. Zabawne, bo to była rodowa posiadłość od dwustu lat. Jednak nie mieli nic przeciwko sprzedaniu jej komuś, kto zrobił pieniądze na handlu złomem po śmiercionośnej broni.

- Pokiwał głową. - Zawsze tak na to patrzyłem. A kiedy pod koniec wojny mój ojciec i stara Jane Broderick wylecieli w powietrze wraz z biurem firmy, uznałem to za rodzaj kary. Ale dziwne jest też, że choć faktycznie cena była niska, to gdy zobaczyłem tę rezydencję, uznałem, że muszę ją mieć. Nie mogę o nic oskarżać twojej matki, bo tak samo jak ja uważała, że trzeba skorzystać z okazji. I z wielką przyjemnością wydała krocie na meble. Trzeba jej przyznać, że ma dobry gust, choć nie wiadomo, czemu to zawdzięcza. Zabawne, chłopcze, że to miejsce odpycha mnie od siebie.

- Och... - Joe żartem trącił go pięścią w ramię. - No już. Nie wydziwiał.

- Wcale nie wydziwiam. Tak to odbieram. Jestem tu intruzem. Wszyscy jesteśmy. Wojna jakoby miała nas zrównać społecznie. Nic z tego! Te stare domy, tak samo jak niektórzy zagorzali zwolennicy dawnych porządków wśród zie-



mianstwa, przypominają człowiekowi, skąd pochodzi. Nie mam nic wspólnego z tym miejscem. - Daniel uśmiechnął się nareszcie

i podszedł do okna. - Pamiętasz nasz wcześniejszy dom pod Brampton Kill? By! prawdziwym, przytulnym domem z rozkosznym ogrodem, w którym się człowiek nie gubił. Pamiętasz? - Odwrócił się do Joego.

- O tak, tak. Bardzo dobrze pamiętam.

- A czy podoba ci się ten dom?

- Tak. Zawsze mi się podobał, choć gdy byłem młodszy, Wearcil House ciągle mnie zdumiewał. Podoba mi się, ale oczywiście rozumiem, co masz na myśli. Muszę ci o czymś powiedzieć, tato. Powinieneś uważać się za szczęściarza, że zatrudniamy w tej posiadłości tylko pięć osób, bo za czasów Blackburnów sama służba pałacowa liczyła ich dwanaście. A mieli zaledwie trzech synów i jedną córkę.

- Trzech synów, czyli tak jak ja. I wszyscy polegli na wojnie.

- No już, tato, rozchmurz się. Chciałbym ci coś doradzić. - Joe znowu trącił go pięścią w ramię. - Pójdź do Dona i spytaj go, czy jest prawiczkim.

Daniel zachichotał w reakcji na zaraźliwy śmiech syna.

- Niech piekło pochłonie łobuza! - zażartował w charakterystyczny dla siebie sposób. - To pytanie nie przejdzie mi przez usta. A przy okazji... - Utkwił spojrzenie w Joego.

- Myślisz, że on jest prawiczkim?

- Nie mam zielonego pojęcia, ale z drugiej strony... powinienem uważać, że tak.

- Ja nawet nie mam na ten temat własnego zdania... Gdzie on może być?

- Ostatnio widziałem go w sali bilardowej. Jak zwykle przegrywał ze Stephenem. Sam wiesz, że jest dla niego bardzo serdeczny.

- Faktycznie. I tego ona też nie może znieść, że jej jagniątko zawsze ma czas dla niedorozwiniętego umysłowo, ułomnego pierworodnego. Och, chodźmy.

Przeszli przez hall do korytarza usytuowanego po jednej stronie niskich szerokich schodów.

- Wiedziałem, że was tu znajdę. Znowu się wałkonicie. Wbijcie sobie do głów, że zaraz przyjdą goście... – Joe otworzył drzwi na końcu korytarza i niemal krzyknął. Zerknął na zegarek. - Za dwadzieścia minut!

- Joe! Joe! Wygrałem! Naprawdę. Znowu wygrałem.

Joe okrążył wielki stół bilardowy i podszedł do trzydziestolatka o ciemnych włosach, niemal dorównującego mu wzrostem i dobrze zbudowanego, lecz o urodziwej twarzy chłopca. Tylko jego oczy zdradzały, że coś jest z nim nie w porządku. Były niebieskie jak ojca, ale dziwnie wyblakłe i rozbiegane, jakby usiływały ogarnąć wszystko jednym spojrzeniem. Jednak czasami, gdy mężczyzna próbował bez powodzenia skupić się na czymś, co go zainteresowało - nieruchomościach.

- Siedem... siedem razy... trafiłem. Prawda, Don?

- Prawda, prawda. I przez niego wrzuciłem białą bilę do luzu.

- Nie wierzę! - krzyknął Daniel. - Don, tak cię załatwił?

To znaczy, że grasz coraz gorzej.

- Jest dla mnie za dobry. Zawsze wygrywa. To niesprawiedliwe.

- Don... Następnym razem dam ci wygrać. Dam, dam. Przyrzekam, że dam.

Mówię szczerze.

- Dopilnuję tego. Ostrzegam.

- Zgoda, Don. Tak. Tato, uwiera mnie w szyję. – Stephen przekręcił krawat.

- Co ty pleciesz? - Daniel wyprostował mu krawat.

- Tato?

- Słucham, Stephen?

- Czy mogę być z Maggie w kuchni?

- Przecież wiesz, że jest zajęta przygotowywaniem obiadu.

- To będę z Lily.

- Nie, Stephen. Nie zaczynamy wszystkiego od początku. Przecież wiesz, jak należy się zachować. Przywitasz się z Prestonami, Bowbentami i oczywiście z ciocią i wujem Allisonami, a na końcu z Annie... to znaczy z Annerte. Spytasz każdego, jak się ma, zamienisz, jak zwykle, kilka słów z Annette i pójdziesz do siebie na górę. Lily przyniesie ci obiad.

- Tato... - Don ruszył do kominka, w którym buzował ogień. Gdy podszedł tam Daniel, syn przykucnął, wyjął z koszyka szczapę drewna i położył na palenisku, mówiąc pod nosem:

- Pozwól mu pójść na górę. Niedawno coś mu się przydarzyło.

- Coś poważnego?

- Nie. Zmoczył się, bo jest cały w nerwach. - Don stanął i patrząc na ojca, dodał: - To dla niego trudne. Nie rozumiem, dlaczego każesz mu to robić.

- Don, rozumiesz to doskonale. - Daniel popchnął szczapę nogą w płomień. - Nie zamierzam go ukrywać, jakby był idiotą, bo nim nie jest. Co do tego zgadzamy się ze sobą.

- Ale to nie jest w porządku wobec niego. Pozwól mu dzisiaj pójść do siebie. Jeśli znowu coś mu się przydarzy i to przy gościach, mama dostanie rozstroju nerwowego. Nie zapomniałeś przecież, co się stało poprzednim razem.

- To było dawno temu. Teraz Stephen radzi sobie lepiej.

- Tato, proszę. - Don umilkł i patrzył ojcu w oczy, ale ten nie kwapił się z repliką, choć głos Joego, rozmawiającego ze Stephenem, umożliwiał im swobodną wymianę argumentów. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaproponował: - Potraktuj to jako dodatkowy prezent ślubny dla mnie.

- Och ty... Czyżbyś nie był usatysfakcjonowany tym, co dostałeś?

- Tato, nie opowiadaj takich rzeczy. Już ci powiedziałem, że wprost nie mogę uwierzyć... Dom na własność, na dodatek taki okazały. I... - Zawahał się, jakby nie był pewny, czy może to powiedzieć. Ale spojrzawszy ojcu głęboko w oczy, dokończył: - Dobry kawałek drogi stąd.

- O tak, chłopcze, dobry kawałek. Jednak jedną rzecz muszę ci powiedzieć, choć wcale nie mam na to ochoty. Nie odsuwaj jej od siebie całkowicie. Często ją zapraszaj i bywaj tu, gdy tylko będziesz mógł.

- Będę. Oczywiście, że będę. I jeszcze jedno: dziękuję ci, tato, za wszystko, a zwłaszcza za to, że mnie przez to przeprowadziłeś.

Nie musiał wyjaśniać, przez co, a ojciec pytać, co on ma na myśli.

- Stephen, w porządku! - Daniel ruszył do najstarszego syna. - Znowu mnie pokonałeś. Nie tylko dobrze grasz w bilard, ale masz właściwy stosunek do gości. Możesz iść do swojego apartamentu. Powiem Lily, żeby cię odprowadziła.

- Tato, nie trzeba. - Joe położył rękę na ramieniu Stephena. - Mamy do rozstrzygnięcia pewną sprawę. On stawia na Sunderland przeciw Newcastle. Słyszeliście coś podobnego? No, idziemy! Musimy się przekonać, kto ma rację!

Uszczęśliwiony Stephen zachichotał, objął brata w pasie i wyszli z sali bilaradowej.

Nadarzyła się sposobność kontynuowania przez ojca i syna rozmowy bez żadnego skrepowania, ale milczeli, jakby już powiedzieli sobie wszystko.

- Zagramy? - zaproponował w końcu Don. - Mamy jeszcze kwadrans. Oni zawsze zjawiają się punktualnie, nigdy przed czasem.

- Nie, dziękuję. Lepiej będzie, jak zajrzę do kuchni i powiem Maggie, żeby zaraz posłała kogoś do Stephena z jedzeniem, zanim zacznie się podawanie obiadu.

Szybko wyszedł i ruszył do obitych rypsem drzwi w hallu, które prowadziły do labiryntu pomieszczeń gospodarczych. Unowocześnił kuchnię, wstawił kuchenkę gazową, ale zostawił tradycyjny piec i piekarniki, w których nadal wypiekano wspaniały chleb. Podobało mu się to wnętrze, wyposażone w długi drewniany stół, wieszadła na naczynia na jednej ścianie i kredens na drugiej oraz podwójny zlewozmywak pod niskim, szerokim oknem, wychodzącym na stajnię. Do kuchni przylegała długa, wyposażona w marmurowe półki spiżarnia, a obok

niej było pomieszczenie na drewno, na przedłużeniu którego znajdowała się duża przeszklona weranda, gdzie zostawiano wierzchnie okrycia i buty.

W kuchni panowała gorączkowa krzątanina. Przy stole stała trzydziesto-siedmioletnia Maggie Doherty, dekorując czereśniami i truskawkami krem na biszkopcie.

- Przyjdą lada chwila. - Zerknęła na Daniela i uśmiechnęła się do niego.

- Jak zawsze... wygląda apetycznie. Spodziewam się, że jest tak samo smaczny jak ładny.

- Powinien. Wlałam do niego prawie pół butelki sherry.

- Och! W żadnym wypadku nie możemy tego zdradzić Madge Preston, co?

- Powiedz jej, że to kulinarna sherry, coś całkiem innego niż zwykła, choć pewnie nie przyszłoby ci to do głowy.

- Ależ przyszłoby. Czy podajesz dziś kaczkę?

- Tak. Z tym co zwykle pomarańczowym nadzieniem i z przyprawami.

- A jaką zupę?

- Vichyssoise.

- Naprawdę? Postarałaś się.

- I koktajl z krewetek, do wyboru.

- O! Betty Bowbent rzuci się na obie. - Przez chwilę obserwował w milczeniu, jak Maggie kończy ozdabiać deser owocami. - Odesłałem Stephena na górę. Chyba nie czuje się dziś najlepiej. Dopilnujesz, żeby coś zjadł?

Maggie Doherty spojrzała mu w oczy i szybko wbiła wzrok w biszkopt.

- Bóg raczy wiedzieć, dlaczego obstajesz przy tym, żeby witał się z gośćmi. On cierpi katusze w towarzystwie obcych. Jak możesz?

- Maggie, już sobie to wyjaśniliśmy. To dla jego dobra. - Przerwał na moment, a gdy skończyła dekorować deser i wycierała ręce w wilgotną ścierkę, dodał, tłumiąc krzyk:

- Maggie, na litość boską! Nie psuj mi humoru. To było krótko po tym, jak dochodziłem do siebie po kolejnej stoczony z nią bitwie.

- Sam wiesz najlepiej - odparła pojednawczo, spojrzawszy na niego łagodniej. Na widok wchodzącej do kuchni młodej dziewczyny zawołała: - Peggie! Przygotuj tacę z jedzeniem dla pana Stephena i zanieś mu na górę. Wiesz, co lubi. Czy na stole niczego nie brakuje?

- Nie, panno Doherty. Lily kończy nakrywać środek blatu. Wszystko wygląda ślicznie - uspokoiła ją Peggy Danish.

- Zobaczymy, czy będę tego samego zdania - odparła jak mentorka, ale uśmiechnęła się do młodej dziewczyny.

Zdjęła biały fartuch, palcami zaczesła włosy do tyłu i ruszyła do jadalni, a Daniel za nią.

- Przepraszam, Maggie, z całego serca - odezwał się, patrząc na jej twarz - ani ładną, ani brzydką, za to łagodną i życzliwą.

- Nie bądź niemądry. Długo czekałam, żeby ci to powiedzieć, i nie uważam, że zachowałam się bezczelnie.

- Och, Maggie... Powiedziałaś to po dwudziestu latach do kogoś, kto był dla ciebie jak ojciec.

- Masz ci los! Dan, nigdy nie traktowałam cię jak ojca. To zabawne... - zachichotała - mówić do ciebie „Dan”.

- Więc nie odejdziesz?

- Nie. - Spoglądała w korytarz. - Myślałam o tym i upewniłam się, że nie potrafię, choć stale muszę uważać na to, co mówię i robię. Zgadzasz się? I przychodzi mi to coraz trudniej. Za każdym razem, kiedy ona mną pomiata, mam ochotę wygarnąć jej wszystko i odejść. Do dziś nie wiem, co mnie tu zatrzymało... - Znowu podniosła na niego wzrok. - Ale kiedy już zostałam, wiedziałam, że tu ugrzęznę, choć nawet na myśl mi nie przyszło, że na co najmniej dwadzieścia lat. Dawniej myślałam, że to z powodu Stephena, bo był taki bezradny i spr-

gniony miłości... Nadal jest... - Z przekonaniem skinęła głową. - Bardziej, niż nam się wszystkim wydaje.

- Maggie, ja bym tego nie powiedział.

Gdy odwróciła się na pięcie, chwycił ją za ramię. Chciał jej powiedzieć: „Nie martw się, to się więcej nie powtórzy”, ale powstrzymało go jej spojrzenie.

- Wiesz od lat, że spędzam выходные u mojej kuzynki, Helen. Zapamiętaj adres: Bowick Road 44. - Lekko potrząsnęła głową i odeszła, zagryzając wargi.

TLR

## Rozdział drugi



**Obiad** dobiegł końca. Goście wychwalali podane potrawy, gratulowali Winifred i po raz kolejny z uznaniem wypowiadali się o kulinarnym kunszcie Maggie Doherty. Jak zwykle kobiety przeszły do salonu, a mężczyźni zostali przy stole, racząc się porto i cygarami. Winifred wprowadziła ten zwyczaj, gdy tutaj zamieszkali. Na początku, ale tylko na początku, to małpowanie starego towarzyskiego rytuału śmieszyło Daniela.

Annette Allison siedziała na krześle obok okazałego fortepianu, obserwując matkę, przyszłą teściową, Madge Preston i Betty Bowbent.

- Dobry Boże, spraw, żebym nigdy nie była podobna do którejś z nich - mruknęła pod nosem, nawet nie wiedząc, kiedy jej myśli zamieniły się w modlitwę.

Jednak nie zgañała się, ani nie nakazała sobie przy robieniu rachunku sumienia pokajać się za ten nieprzychylny stosunek do innych, chociaż może powinna się z tego wypowiadać. A powinna, skoro została wyedukowana w klasztorze, od piątego roku życia pozostając pod kuratelą zakonnice. Zgodnie z naukami, jakie pobrała, takie prośby zasługiwały na klątwę. Myślami powędrowała do Dona. Wiedziała, że nie będzie jej dane spędzić z nim sam na sam nawet pięciu minut. Czuwały nad tym - niczym więzienne strażniczki - zarówno jej matka, jak i matka Dona. A jakże by nie. Ta druga budziła w Annette niepokój o przyszłe stosun-



ki, bo dziewczyna obawiała się, że już jako żonie Dona będzie jej trudniej ukrywać prawdziwe uczucia i panować nad słowami.

- Nie sądzicie, że dobrze byłoby móc zamówić piękną pogodę na następną sobotę? - zagadnęła pospiesznie matka Annette, gdy pani Bowbent zaczęła mówić o Marii.

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebym pogawędziła ze Stephenem? - spytała Annette panią domu. Wstała z krzesła, wykorzystując nadarzającą się sposobność opuszczenia salonu.

- Nie, nie, absolutnie nie. Będzie uszczęśliwiony twoim widokiem - zgodziła się po lekkim wahaniu Winifred, uśmiechając się do przyszłej synowej.

Cztery matrony odprowadziły wzrokiem Anette do drzwi.

- Janet, dlaczego uznałaś ten temat za tabu? Przecież ona wie wszystko.

Każdy wie - zdziwiła się Madge Preston.

- Nie, nie każdy. - Pani Allison siedziała sztywno na krześle. - A swoją drogą... wyjechali, prawda?

- Ale nie na tyle wcześnie, żeby dało się ukryć brzuch Marii.

- Och, Madge, jesteś ordynarna.

- A ty, Janet, nie bądź taka święta. Co by było, gdyby to Annette przydarzyło się coś takiego?

- Posunęłaś się za daleko. - Pani Allison wstała z krzesła.

- Och, siadaj, Janet. Przepraszam.

- Usiądź, proszę. Porozmawiajmy o czymś innym. To najsmutniejszy temat ze wszystkich. - Winifred, która dotychczas w milczeniu przysłuchiwała się tej wymianie zdań, również wstała z krzesła, wzięła Janet za rękę, zerknęła na Madge i skinęła na nią wymownie głową, po czym odwróciła się do drzwi. - Oto i nasi panowie. - Po tych słowach ciężko opadła na siedzenie, pociągając za sobą Janet Allison.

Do salonu, wprowadzeni przez Daniela, weszli gęsiego mężowie kobiet: John Preston - zażywny, siwowłosy i uśmiechnięty, Harry Bowbent - wysoki, chudy, o wyglądzie proboszcza parafii mormonów, i James Allison - wysoki, okazały, z wielkim brzuchem.

- Gdzie jest Don? - spytała dyskretnie Winifred zamykającego pochód Joego, gdy przechodził obok niej.

- Właśnie poszedł powiedzieć dobranoc Stephenowi. Matka z wysiłkiem powstrzymała się od wstania z krzesła.

Gdy się odwróciła, zauważyła, że Janet Allison wpatruje się w nią z napięciem. Nie miała wątpliwości, że myślą o tym samym.

W saloniku Stephena na poddaszu, stali czule objęci Don i Annette.

- Już dłużej nie mogę bez ciebie żyć - wyznał Don, gdy przestali się całować.

- Ja też nie, szczególnie teraz.

- O tak, szczególnie teraz. - Don ujął jej twarz w dłonie. - Czy przychodzą ci do głowy narzeczeni, którzy mieliby takie matki jak nasze?

- Nie. Czasami wzbudzają we mnie straszne poczucie winy, ale z tobą przynajmniej trzyma ojciec. Ja muszę sobie radzić z obojgiem. Czy wiesz, że pozwolono mi tu przyjść tylko dlatego, że panie chciały po raz któryś porozmawiać o Marii Tollett? Don, szczerze mi jej żal. Doskonale ją pamiętam jako cichą, nieśmiałą dziewczynę. Mogłabym wymienić dwadzieścia innych, które by to zrobiły, lecz nie ją. A gdy się to stało, rodzina wywiozła ją stąd i ukryła gdzieś, nie chcąc najeść się wstydu. Do tej pory myślałam, że żyjemy już w innym świecie, w nowej epoce i że w 1960 roku coś

takiego nie może uchodzić za skandal. Skoro jednak nadal żyją tacy ludzie jak nasze matki, to pewnie i pod koniec wieku coś takiego jeszcze będzie się zdarzać. - Objęła go gwałtownie i dodała głosem zdradzającym panikę: - Boże spraw, żeby sobota nadeszła jak najszybciej.

- Wszystko będzie dobrze. Pomyśl tylko o trzech tygodniach, jakie spędzimy we Włoszech - pogładził ją po włosach - choć oczywiście musimy zobaczyć papieża. - Usiłował być zabawny, bo zaczęła drzeć, kładąc głowę na jego ramieniu. Roześmiał się cicho. - A kysz! Wybuchnij tym swoim dźwięcznym śmiechem, a zaczną przeskakiwać po trzy stopnie, żeby znaleźć się tu jak najszybciej.

- Musiałam obiecać, że codziennie rano będziemy na mszy w Watykanie - powiedziała przez zaciśnięte gardło. Miała łzy w oczach.

- Niemożliwe!

- Niestety, tak.

- A dlaczego jej nie powiedziałaś, że codziennie do południa będziemy się kochać?

- Och, Don. - Zachichotała i objęła go.

- Posłuchaj... - Odsunął ją delikatnie. - Ktoś idzie. Ja zajrzę do sypialni, żeby sprawdzić, czy Stephen śpi, a ty wyjdź. - Ale zanim ruszył z miejsca, objął ją w tali i krzyknął: - Na Boga! Nie. Nie będziemy robili takich rzeczy. Wyjdziemy razem. Jest jakaś granica i jeśli coś z tego rozumiem, już dawno na niej stanąłem.

Z hardymi minami ruszyli do drzwi, spotykając za nimi Joego.

- Wyprzedziłem poszukiwaczy, choć trudno powiedzieć, kiedy wyruszą. Chodźcie, wszyscy są w małym salonie. Oglądają prezenty, ale rozmowa jest wymuszona – stwierdził spokojnie. - Annette, czy musiałaś stoczyć bój, żeby się wymknąć z salonu?

- Nie, bo po moim wyjściu mogły bez skrępowania potępić Marię Tollett, choć możliwe, że sprzeciwiła się temu pani Preston, jako bliska przyjaciółka Tollettów.

- Rozumiem. Posłuchajcie mojej rady. - Skinął na nich głową. - Przestańcie patrzeć spode łba i nie pokazujcie się objęci, bo zacznie iskrzyć, a chyba nie chcecie pożaru?

Roześmiali się, ruszając przed nim.

- Nadejdz, soboto, nadejdz... - zaintonował Don.

- Amen - dokończyła Annette.

Oboje poczuliby się zaskoczeni odkryciem, że Joe, ich przyjaciel i sojusznik, wyczekiwał na nadejście soboty równie niecierpliwie jak oni, a może nawet bardziej.

**Był** a jedenasta. W domu panowała cisza. Winifred, Joe i Stephen udali się do swoich apartamentów, Lily pół godziny temu zniknęła w stróżówce, a Peggy - w swoim pokoju na poddaszu. Tylko Maggie tkwiła jeszcze w kuchni. Daniel wiedział, że mile go powita, i potrzebował tego, bardzo potrzebował, ale nie potrafił tam pójść. Nękały go obawy. Jeśli sobie pofolguje, czym się to skończy? Atmosfera stanie się nie do zniesienia, bo nie umiał skrywać uczuć. Nie był zmęczony. Wieczorem nigdy nie czuł znużenia, za to rano, gdy musiał wstać...

W garderobie włożył palto i wyszedł z domu, ruszając drogą dojazdową do rezydencji. Powietrze orzeźwiało jesienny przymrozek. Wkrótce miały nastać długie, ciemne noce. Uznał, że określenie: „długie, ciemne noce” bardzo pasuje do jego życia. Jednak obecnie w tym życiu płonął dla niego ogień. Pragnął się przy nim ogrzać, lecz z drugiej strony - czuł się w dziwny sposób zawstydzony tym pragnieniem. Zmierzał wolnym krokiem do bramy. Nadal paliły się na niej światła, co znaczyło, że Bill i Lily jeszcze nie udali się na spoczynek.

Był już blisko stróżówki, gdy boczną bramą na teren posesji wszedł Bill White.

- Troszkę się przestraszyłem, proszę pana.
- Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza przed snem.
- Goście wyszli wcześniej...
- Ale dzięki temu wszyscy się wyśpimy. Przymrozek, co? Wkrótce będziemy mieli zimę.

- Oj tak, proszę pana. Lubię zimę. Miło oprzeć nogi o kratę przed komin-kiem, zapalić fajkę i poczytać książkę. Latem jakoś nigdy tak nie siedzę.

- Rozumiem. Ale chyba w każdej porze roku robi się coś niepowtarzalnego.

Bill szedł z nim do frontowej bramy. Żelazne wrota były otwarte. Oświetlały je lampy elektryczne umieszczone na bocznych kamiennych filarach. Żarówki osłaniały abażury z kutego żelaza, kierując światło daleko na drogę.

- Musiałem dziś pojechać na Dale Street, proszę pana - oznajmił prawie szeptem Bill, gdy zatrzymali się przed wrotami i przez chwilę stali w milczeniu.

Daniel znieruchomiał.

- Często tam jeździsz? - spytał spokojnie, wolno odwracając głowę i kierując wzrok na wpatrzonego weń Billa.

- Wcześniej byłem tam dwa razy, ale wtedy nie skapowałem, o co chodzi.
- Kiedy?
- W ubiegłym tygodniu.
- Czy to coś nowego? A... a gdzie indziej nie jeździłeś?
- Tak, coś nowego, proszę pana, choć wcześniej też byłem wypytywany.

Daniel spoglądał przez bramę na pola oświetlone przez lampy i zastanawiał się, czy Winifred kiedykolwiek ustąpi. Starał się wczuć w sytuację stojącego obok mężczyzny, który musiał spełniać zachcianki chlebodawczyni, a z drugiej strony - winien był lojalność chlebodawcy.

- Dziękuję, Bill - wymamrotał.

- Do usług, proszę pana.

Daniel już miał wracać, gdy usłyszał nadjeżdżający samochód. Rozpoznał go po warkocie silnika. Kiedy kierowca zatrzymał się przed bramą, podszedł bliżej.

- Co ksiądz jeszcze robi na dworze?

- Jak zwykle załatwiam różne sprawy. Miałeś gości?

- Wskazał dłonią zapalone lampy na bramie.

- Tak. Już wyszli. Nie miałyby ksiądz ochoty wpaść na drinka?

- Teraz, kiedy zaproponowałeś, chyba miałbym. Przed chwilą marzyłem tylko o łożku. No to skoczmy na tego drinka!

- Bill, nie czekaj! Zgaszę światła! Dobranoc! – krzyknął Daniel.

- Dobranoc panu.

- Gdzie ksiądz jeździł po nocy? - zagadnął, usadowiony na siedzeniu obok kierowcy.

- Och, u Tommy'ego Kilbride'a.

- Po co?! To przecież zwykły hipochondryk.

- Był, bo teraz chodzi o coś innego. Ostatnio wbił sobie do głowy, że nie potrafi skakać, i tak potrwa przez kilka dni. Uwierz mi, nikt nie będzie tak zaskoczony jak on sam, gdy kiedyś „odkryje”, że jest martwy. Założę się, że powie: „To jakieś nieporozumienie, wszystko dzieje się w mojej głowie. Mówią mi to od lat. Muszę wrócić”. Wiesz co? Życie jest niesamowite z powodu tych wszystkich złudzeń, jakich ofiarą padają ludzie. Taki Tommy Kilbride uważa, że ma wszystkie choroby pod słońcem, a jest nieświadomy jednej, na którą rzeczywiście cierpi. Żal mi go, naprawdę żal, ale sam ją na siebie ściągnął. Byłbym zaskoczony, gdyby chciał wyzdrowieć.

- Och... - Daniel roześmiał się. - Założę się, że ksiądz byłby niepokieszony, nie mogąc zobaczyć wyrazu jego twarzy, gdyby nagle powrócił do rzeczywisto-

ści. A przy okazji, to ksiądz będzie wracał do rzeczywistości i to niebawem, jeśli nie wyrzuci tego gruchota.

- Nie mam zamiaru pozbywać się Rosie, więc, proszę cię, nie obrażaj jej. To moja przyjaciółka. Uważasz, że należy pozbyć się wszystkich starszych pań, którym przy każdym ruchu strzyka w stawach? A zmieniając temat, wydawałeś dziś wieczorem przyjęcie czy coś w tym rodzaju. Jak się udało?

- Nie różniło się od innych.

- Ucieszysz się, kiedy nadejdzie sobota.

- Trafił ksiądz w dziesiątkę. Z pewnością się ucieszę... Niech ksiądz nie podprowadza... Rosie pod same drzwi, bo warkot wszystkich obudzi.

Po kilku minutach zaszyli się w bibliotece. Daniel rozniecił dmuchawką ogień w kominku, a na stoliku postawił karafkę whisky, butelkę brandy, kieliszki i dzbanek z wodą.

- Pomyślałem, że mógłby ksiądz w niej zasmakować.

- Wskazał dłonią butelkę. - Wiem, że ksiądz nie przepada za brandy, ale ta jest wyjątkowa. Dostałem ją od starego klienta. Ma czterdzieści czy pięćdziesiąt lat. To eliksir. Nigdy jeszcze nie piłem czegoś równie dobrego. - Nalał pełny kieliszek i podał księdzu.

- O tak! Zgadza się. Elixir - potwierdził ksiądz, potrzymawszy przez chwilę trunek w ustach. Po przełknięciu zmarszczył brwi. - Ale raczej pozostanę przy whisky, bo nie chciałbym przyzwyczaić się do tak wyrafinowanego smaku. W takim przypadku mógłbym ci rąbnąć ten nędzny przedmiot...

- Oparł się swobodnie na wygodnym krześle. - Ach, jak tu przyjemnie. To piękny dom. Pamiętam, kiedy byłem tu po raz pierwszy, w kilka dni po moim przyjeździe do Fellburn.

Blackburnowie jako ortodoksyjni katolicy nie mieli śmiałości poczęstować księdza wódką. Proponowali tylko herbatę, kawę i cienkie wino. Oczywiście nie

przelewało im się w tamtych czasach, a utrzymanie takiej posiadłości kosztuje, zwłaszcza jeśli ma się słabość do koni.

- I ksiądz mi to mówi... Kosztuje nawet bez koni.

- Och, na pewno. - Żartem szturchnął Daniela w ramię. - Ja ci to mówię. Jak ci się wiedzie?

- Tak źle, jak to tylko możliwe.

- No to do rzeczy.

- Chyba ksiądz nie chce nocnej spowiedzi, zwłaszcza po wizycie u starego Tommy'ego. I z pewnością dziś wysłuchał ich ksiądz zbyt wiele.

- Zawsze jestem gotów wysłuchać spowiedzi, ale to może być normalna pogawędka. Co cie gnębi oprócz tego co już wiem? A tak przy okazji... Nie byłeś u spowiedzi od wielu tygodni...

Daniel przybrał tę co zwykle pozę, gdy miał jakiś kłopot. Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i mocno splótł dłonie.

- Jestem związany z pewną kobietą - wyznał cicho, patrząc w ogień.

- Ojciec na niebie! Człowieku, powiedz, o czym nie wiem.

- Nie chodzi o te rzeczy. - Teraz Daniel patrzył na niego.

- To o jakie?

- Na świecie są również porządne kobiety.

- Daniel, chcesz pouczać księdza, który ma sześćdziesiąt cztery lata? Chyba zapominasz, jak wielu tobie podobnych, że też jesteśmy mężczyznami i że nie wszyscy z nas byli kapłanami od wieku młodzieńczego. Ja na przykład poddałem się tej próbie dopiero po ukończeniu dwudziestego piątego roku życia.

Dlaczego... - Daniel lekko się uśmiechnął - skoro ksiądz wiedział już tyle na temat życia?

- Bo On nie chciał pozostawić mnie samemu sobie. - Gdy ksiądz Ramshaw wznosił oczy ku niebu, tęczęwki niemal zniknęły pod powiekami. - Jako dwudziestolatek byłem o krok od ożenku, ale Pan przemówił do mnie. Ojciec dziewczyny



chciał mi rozwalić łeb, a jej brat groził, że połamie mi kości, jeśli dam nogę. Ale dałem. I szczerze powiedziawszy, w myślach nadal uciekam, choć może na starość nie dręczą mnie już tak często. Kiedyś, nie tak dawno, ktoś z parafian bał się pójść do spowiedzi do biskupa. Przejął się rzekomo wyznawanym przeze mnie poglądem, że grzechy popełnione w myślach są równie grzesznym uczynkiem, a przecież nie czerpie się z nich takiej samej przyjemności.

- Proszę księdza, nie wierzę za grosz w to, co usłyszałem. - Daniel śmiał się, szczerze rozbawiony.

- I to mnie gryzie, bo nikt mi nie wierzy. Wszyscy uważają, że dowcipkuję. Ale w żartach, tak jak w plotkach, jest ziarnko prawdy. A w moich jest jej całkiem sporo. To, co ci przed chwilą wyznałem, jest najszczerzą prawdą. A wracając do tematu... Kto to jest ta porządna kobieta, z powodu której tak się martwisz? Znam ją?

- To Maggie - odparł Daniel po chwili wahania.

- Och, nie! Tylko nie Maggie.

- Właśnie Maggie. Teraz ksiądz rozumie mój problem.

- Rozumiem. W końcu musiało do tego dojść.

- Co ksiądz ma na myśli? - Daniel przesiadł się na kanapę i obserwował wpatrującego się w ogień kapłana.

- Dokładnie to. Przez te wszystkie lata jest tu ze względu na ciebie. Jak sądzisz, dlaczego znosi to wszystko? Taką Winifred? Za pozwoleniem... Mężczyźni nie jest trudno żyć w zgodzie z kobietą, a co dopiero drugiej kobiecie, zwłaszcza z kimś takim jak twoja żona. Mogę to sobie wyobrazić. Sam Bóg nie żąda takiej pobożności. Dewocja Winifred to rodzaj choroby. Niemało osób w tych sferach jest nią dotkniętych. Między nami mówiąc, matka Annette też na nią cierpi, jeśli jeszcze o tym nie wiesz, podobnie jak ojciec - jest na granicy manii. We wszystkim wskazany jest umiar. Ale jak wiesz, Danielu, my katolicy mamy mnóstwo przywar. O Boże miłosierny! Nie podważymy tego. A najgorsza z nich to ta, że

wyobrażamy sobie, iż Wszechmogący zbawia tylko nas, katolików. Gdybyśmy się pozbyli tego złudzenia, nasza religia byłaby doskonała. Ale za głoszenie takiego poglądu mógłbym zostać ekskomunikowany, bo z drugiej strony nie ma innego tak łagodnego i tolerancyjnego wyznania - dla swoich i dla obcych. Ile religii zezwala mężczyźnie, żeby się upił po piątkowej wypłacie i zmaltretował żonę, w sobotę wyspowiadał, a w niedzielę przyjął komunię - przed napełnieniem sobie żołądka w klubie? Mówię ci, jesteśmy najbardziej tolerancyjni spośród wszystkich boskich stworzeń i dlatego na ogół nie popadamy w skrajności.

- Szkoda tylko, że wiele lat temu nie usiłował ksiądz zaszcześcić tych poglądów Winnie.

- Co też ty opowiadasz, chłopcze! Usiłowałem. Robię to po dziś dzień w przypadku wszystkich ludzi takich jak ona. Ale czy biorą to sobie do serca? Nie. Wolą słuchać zionącego ogniem piekielnym księdza Cody'ego. Och, uwierz mi, Danielu, są jeszcze inne zgrzyzoty niż te, których przysparzają kobiety. Bo na przykład po jakie licho przysłali mi tu tego młodego człowieka? I dlaczego kwestionuje się kierunek, którego jestem pewny? Uwzięli się na Fellburn. W wyższych sferach mówi się różne rzeczy. Ludzie jakoby zapomnieli o piekle, przynajmniej od chwili, w której ten stary głupiec, ksiądz Ramshaw, o nim zapomniał. Zamiast sadzać wiernych gołymi tyłkami na rozżarzonych węglach, dureń proponuje im przebywanie w przyjemnej poczekalni, jak pacjentom oczekującym na wizytę u lekarza, gdzie po prostu mogą rozmyślać o swoim dotychczasowym życiu i żałować złych uczynków czy, jeśli wolisz, grzechów. Jednak najgorszy ze wszystkiego jest dla mnie - jak wiesz, bo zawsze jasno mówię o tym z ambony - brak wzajemnej życzliwości... Ale wracając do Maggie... Jak do tego doszło po tylu latach?

- Nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego - zaczął Daniel cichym głosem, przybierając wcześniejszą pozę. – Jakby wszystko tylko czekało na właściwy mo-

ment. Akurat miała wychodne. Podwiozłem ją do miasta. To dziwne, ale po raz pierwszy była ze mną w samochodzie, to znaczy bez osób trzecich. W dawnych czasach, kiedy w dni wolne od pracy zabierała Stephena do swojej kuzynki, podrzucałem ich tam. Tego dnia też kazała się tam zawieźć. Zaprosiła mnie do środka. Zobaczyłem ją tam innymi oczami niż zwykle. Ona mówiła, a ja obserwowałem ją w milczeniu. Wówczas wreszcie dostrzegłem tę inteligentną, życzliwą ludziom kobietę, mieszkającą w moim domu od dwudziestu lat, i uświadomiłem sobie coś, co czułem od dawna - że nie tylko jej pragnę, ale i kocham ją. To wszystko. Oczywiście, jak ksiądz powiedział, ona żywi wobec mnie takie same uczucia, nawet jeśli skrywa je głęboko. Co, zdaniem księdza, powinienem zrobić?

- A co ty możesz zrobić? Jeśli poradzę ci, żebyś ją wykluczył ze swojego życia, odpowiesz, że to niemożliwe, bo mieszkacie pod jednym dachem. Ale gdy twoja żona coś zwęszy - zacznie się piekło. I co ty na to?

- Chcę odejść od Winnie. Skoro Don się żeni i wyrывa z jej uścisku... - Daniel w napięciu spojrzał w sufit - to mogę się wyprowadzić. Zabiorę Stephena i Maggie. To przemyślana, poważna decyzja.

- Człowieku, nie możesz tego zrobić. Nie możesz. Winnie nigdy nie zostawi cię w spokoju. Pamiętasz, co się działo po dwóch twoich wcześniejszych postanowieniach, że się wyprowadzisz? Znowu to zrobi, żeby obciążyć twoje sumienie aż po grób, bo gdy straci Dona, to tak jakby straciła cel życia. Chyba nigdy nie dojdę, jak to się stało, że dopuściła do ogłoszenia daty ślubu.

- Powiem księdzu. Dopilnowałem tego.

- Dopilnowałeś? Powinienem się być domyślić, że maczałeś w tym palce, bo ona sama nigdy by nie poluzowała cugli. Pamiętam, że zawsze w soboty, bez względu na pogodę, asystowała Donowi, gdy grał w futbol, przywożąc go i odwożąc do domu.

- Zabierała go, kiedy tylko zaczynał rozmawiać z dziewczętami. Ale ciekaw jestem, co ksiądz sądzi ojej najnowszym pomysle. Czy ksiądz zgadnie, czego dziś ode mnie zażądała?

- I tak bym nie odgadł, więc lepiej mi powiedz.

- Zażądała, a nie poprosiła, żebym spytał Dona, czy jest prawiczkim!

- Nie! O Boże drogi! Nie! - Kapłan chichotał.

- Niech się ksiądz śmieje, ale wzywianie boskiej pomocy jest całkiem na miejscu.

- Co ją opętało?

- To, co zawsze: chęć zatrzymania przy sobie Dona do końca jego życia. On jest według niej niepokalany, bez skazy. Gdy po jego urodzeniu zorientowała się, że jest normalny - trzeba wreszcie powiedzieć całą prawdę - niemal przestała zauważać Stephena i Joego. Nie lubi ich obu, choć z różnych powodów.

Ksiądz Ramshaw kręcił głową.

- Ale nawet jeśli ją opuścisz, nie dostaniesz rozwodu. Wiesz o tym.

- To nie stanowiłoby dla mnie różnicy, gdybym tylko mógł być od niej jak najdalej. Jak ksiądz wie, od lat nie dzielę z nią łoża. Wzbrania się nawet przed dotykaniem mojej ręki.

- Jakie to wszystko smutne - orzekł z westchnieniem proboszcz. - Niewykluczone, że Bóg działa w trudny do zrozumienia sposób. Może ona, gdy w sobotę dotrze do niej, że straciła Dona, będzie chciała do ciebie wrócić.

- Och, nigdy się na to nie zgodzę. - Daniel napełnił kieliszki whisky. - Nie wytrzymałbym tego. Naprawdę nie. Po takiej długiej przerwie... Tu nie ma miejsca na pojednanie.

- A co z Joem? Czy ze względu na niego nie powinieneś zrezygnować ze swojego planu?

- On już żyje na własną rękę. Ułoży sobie wszystko zgodnie z własnymi życzeniami. Jest wykwalifikowanym księgowym. Poza tym osiągnął już skromną

stabilizacji dzięki zamieszkaniu w pawilonie. Ostatnio zdarza się, że nie przychodzi tu nawet na posiłki. Nie, nie martwię się o Joego. Da sobie radę sam.

- Jasne, że Joe jest w porządku, ale nikt nie może być zdany tylko na własne siły. To przypomniało mi, że powinienem go przypilnować. Ostatnio zaniedbuje obowiązki katolika. Przez kilka niedziel nie widziałem go na mszy, choć może był na tej odprawianej przez księdza Cody'ego. Oczywiście nie spytam o to wika-rego. Im mniej tego łowcy diabła w życiu drugiego człowieka, tym dla tego ostatniego lepiej! – Pociągnął łyk whisky i roześmiał się. - Jestem grzeszny, ale wie o tym tylko Bóg, no i ty, więc zachowaj to dla siebie. Danielu, to przednia whisky, ale muszę poprzestać na tym kieliszku, bo inaczej wrócę do domu ze śpiewem na ustach. A gdyby tak się stało - wierz lub nie - ksiądz Cody rzuciłby mnie na kolana i wałac po plecach, kazał w kółko powtarzać: „Alkohol to diabeł”. - Roześmiał się, a Daniel zawtórował mu. – Założę się, że tak by postąpił, bo przypomina swym zachowaniem siostrę Catherine. Ona tak właśnie karze młode dziewczyny Kiedyś przyłapałem ją, jak waliła po głowie taką bezradną „diablicę” i kazała jej powtarzać: „Bóg jest miłością”.

- Nie wytrzymam! - Daniel ocierał łzy. - Dobrze byłoby, gdyby to ksiądz czuwał przy mnie w godzinę śmierci, bo chciałbym umrzeć ze śmiechem na ustach.

- Miło, bardzo miło coś takiego usłyszeć, ale to, jak my obaj sprawujemy się przez te wszystkie lata, to śliska sprawa. Podaj mi rękę. Muszę sprawdzić, czy pewnie stoję. Ile whisky wypilem?

- Trzy kieliszki i jeden brandy.

- To z powodu brandy się chwieję. Whisky nigdy nie idzie mi tak w nogi. - Uniósł stopę i orzekł: - Dostała drżaczki. - Wyprowadź mnie cichaczem i połącz się spać. Zobaczymy się w czwartek, na próbie, a potem w błogosławioną sobotę. I będzie po wszystkim. Danielu, musimy jeszcze porozmawiać. Słyszysz? Przyrzeknij mi, że do tego czasu nic nie zrobisz.

- Dobrze. Przyrzekam. - Wyprowadził proboszcza z domu, myśląc ciepło o tym droгим starym przyjacielu. – Podjadę z księdzem do bramy. Obiecałem Bilowi, że zgaszę światła.

Wróciwszy do domu, zerknął w hallu na obite zielonym rypsem drzwi. Maggie nadal była w kuchni. Z dworu widział światła w oknach. Ale nie poszedł tam, tylko wolno ruszył do sypialni.

TLR

## Rozdział trzeci



**Dzień** był piękny - ciepły i bezwietrzny jak w połowie lipca. Można by pomyśleć, że pogoda została zamówiona. Na trawniku, przy drodze dojazdowej do rezydencji, rozbito wielki namiot. Kilku mężczyzn spokojnie wyładowywało z ciężarówki stoły i krzesła, a z furgonetki zaparkowanej obok głównego wejścia do domu kobieta i mężczyzna wynosili kosze kwiatów, taszcząc je do środka. Drugi mężczyzna podążał z naręczem róż do namiotu. Inni zawieszali nad drogą dojazdową kable z żarówkami, przymocowując je do flankujących aleję morderzewi. Przygotowania zdawały się przebiegać zgodnie z określonym porządkiem, podobnie jak te czynione w domu - czyli bez najmniejszego zamieszania.

Było wpół do dziesiątej. Winifred zjadła śniadanie w łóżku, a Daniel od jakiegoś czasu tkwił w swoim apartamencie. Joe i Don właśnie wyszli z jadalni, ubrani w jasne pulowery i szare spodnie z flaneli. Zmierzając przez hall do klatki schodowej, natknęli się na schodzącą z góry Maggie.

- Jest cały roztrzęsiony. Jeszcze nie wstał. Idźcie do niego i spróbujcie coś zrobić.

- Jeśli tobie nie udało się go rozruszać, to tym bardziej nam się nie uda - odparł Joe.

- Przecież nie chcemy mieć tu dziś żadnego piekła?

Prośbą i groźbą wyciągnijcie go z łóżka. - Maggie patrzyła na Joe'go.

- Przypuszczam, że łóżko to najlepsze dla niego miejsce, skoro nie wolno mu wziąć udziału w dzisiejszej uroczystości. Tak czy owak wszystko będzie dobrze. Jeśli chce, potrafi się pilnować. - Don już szedł po schodach.

Maggie w milczeniu ruszyła przez hall, a Joe, przeskakując po dwa stopnie, szybko dogonił brata.

- Don, wiesz równie dobrze jak ja, jak on reaguje, gdy jest podekscytowany. Ja też chciałbym, żeby mógł tam być.

- Nie jest należycie traktowany.

- Och, wiesz, że jesteś niesprawiedliwy. Maggie tyle dla niego robi, a i ja co najmniej raz w tygodniu zabieram go do miasta.

- Nie to miałem na myśli. Dzisiejszy dzień jest wyjątkowy i ona mogłaby pójść na ustępstwo, nawet ryzykując, że coś się przydarzy.

Gdy gęsiego pokonywali drugą kondygnację schodów, Joe, patrząc na plecy tego młodszego od siebie mężczyzny, którego kochał jak rodzzonego brata, pomyślał ze smutkiem, że Don nie powiedział „mama” czy „matka” - co obecnie bardziej wolała - tylko „ona”. Wprawdzie pomiędzy tą dwójką nie było jeszcze widocznego rozdźwięku, lecz od dawna obserwował jego narastanie, a Don zmierzał do tego prostą drogą. Joe też żywił mieszane uczucia w stosunku do kobiety, którą nazywał mamą. Nie chciał jednak, żeby się załamała, gdyby odrzucił ją właśnie Don - jedyny człowiek, którego darzyła miłością. Zresztą nie chodziło o samą miłość, a raczej o przekraczające ją uczucie o innej nazwie, ale Joe nie znajdował właściwego słowa na określenie przywiązania, jakie matka żywiła wobec Dona.



- Co to wszystko znaczy? - Młodszy brat już stał przy łóżku Stephena, który leżał skulony jak dziecko, podciągając kolana pod brodę i zasłaniając twarz rękami. - Steve, spójrz na mnie. Czy chcesz zepsuć moją uroczystość?

Długie nogi i ręce poruszyły się jak u marionetki i starszy brat usiadł, opierając się na zagłówek.

- Nie, Don, ale chcę być na ślubie. Joe, nie będę? Don, czy mogę? Och, mogę? - wymamrotał drżącymi ustami.

- Chcę, żebyś był, wszyscy chcemy, ale pamiętasz, co się stało na próbie. Poza tym ślub też skończy się tak szybko jak próba - przemawiał łagodnie Don, siadając na łóżku. Strzelił palcami, chcąc bratu uzmysłować, jak szybko. - I zobaczysz Annette w jej ślicznej sukni. Jak tylko wejdzie do domu, zaczniesz pytać niecierpliwie: „Gdzie jest Steve? Gdzie?” Zawsze tak robi, prawda?

- Teraz... teraz nie zachowam się brzydko. Don, przysięgam. Tylko spójrz. Nie zmoczyłem się w nocy. Spójrz! - Energicznie odsunął kołdrę. - Prześcieradło jest suche.

Joe odwrócił się do okna. Serce mu się krajało na widok tego mężczyzny o umyśle zredukowanym do poziomu dziecka. Co stanie się z tym chłopcem-mężczyzną, gdy Don się wyprowadzi, a następnie on, Joe, bo dłużej nie zniesie panującej tu atmosfery? Oczywiście będzie Maggie i będzie ojciec. Ale ojciec przez okrągły dzień zajmuje się interesami i przebywa poza domem, zaabsorbowany własnymi sprawami także przez większość wieczorów. A Maggie jest jeszcze na tyle młoda... Joe też miał swoje podejrzenia odnośnie powodów, dla których tkwiła w tym domu od tylu lat. Nie chodziło wyłącznie o Steve'a. Ale to były tylko podejrzenia. Nikt nie czuł się tu dobrze. Joe od dawna zdawał sobie z tego sprawę.

W pewien sposób był wdzięczny losowi, że trafił do tego domu, bo inaczej nie zajmowałby tej co obecnie pozycji społecznej. Ale czy mógł się czuć wdzięczny za ból, jaki teraz czuł? Przed dwoma laty sądził, że to będzie jego

ślub. Jednak dwa czynniki wpłynęły na zmianę stosunku samej Annette do tego małżeństwa, a zwłaszcza na zmianę stosunku ojca.

Spoglądając na drogę dojazdową spostrzegł, że miejsce po furgonetce, która przywiozła kwiaty, zajął Bentley. Rodzina gustowała w Roverach. Nie pamiętał też, by ktoś z przyjaciół domu jeździł Bentleyem. Zdziwił się na widok mężczyzny wysiadającego z auta i otwierającego drzwi kobiecie. Wziął go za szofera.

- Ciocia Flo! - krzyknął uśmiechnięty. Zjawiła się wcześniej. Nikt nie spodziewał się jej o tej porze. Teraz na widok szofera zdziwił się jeszcze bardziej. - Don! Podejdź tu! – Gdy brat stanął obok niego, Joe wskazał dłonią elegancko ubraną kobietę, rozmawiającą z mężczyzną, którego uznał za jej szofera. - Spójrz! Co ty na to?

Gdy mężczyzna wziął kobietę pod rękę i ruszyli do drzwi, bracia wymienili spojrzenia, rozweseleni jak sztubaki, ale zaraz Don złapał się za głowę.

- O Boże! Tylko tego nam brakowało. Mama dostanie szału. Odwrócili się od okna, jakby pomyśleli o tym samym.

- Uprzedź ją, a ja wyjdę im na spotkanie – rozdzielił zadania Joe. Przy drzwiach odwrócił się i wskazując palcem Stephena polecił: - Bądź grzecznym chłopcem. Wykap się. pokrop wodą kolońską i włóż ładne ubranie. Jak to zrobisz... będziesz mógł zejść na dół. Słyszysz?

- Słyszę, Joe.

- To dobrze. Pamiętaj, masz być greczny.

- Będę, obiecuję.

Joe ruszył w pośpiechu po schodach, ale przystanął na pierwszym piętrze, bo w drzwiach apartamentu matki Don trzymał ją za ramiona, usiłując wepchnąć z powrotem do środka.

- Uspokój się! Uspokój! Chyba ona ci to wyjaśni.

- Wyjaśni?! To czarny!

Don rzucił biegnącemu Joemu desperackie spojrzenie i zmusił matkę do wejścia do pokoju.

- Posłuchaj. Jeśli urządzisz scenę, zepsujesz całą uroczystość. No już. - Zaprowadził ją do stojącego w nogach łóżka szezlongu. - Usiądź.

- Nie, nie. Zostaw mnie samą. Och! Co ja mówię? - Błagalnie wyciągnęła do niego rękę. - Kazać ci... tobie jedynemu... zrobić coś takiego w dniu, w którym mnie opuszczasz. A ona... zrobiła to specjalnie. Tak! - Trzęsła się ze złości, jakby w ten sposób potwierdzała prawdziwość oskarżenia. — Zawsze stara się mi dokuczyć. Dziś zjawiała się tu z... To najgorsze ze wszystkiego... Z czarnym!

- Przecież ją zaprosiłaś. A dlaczego? Bo powiedziała ci, że zaręczyła się z adwokatem. Przyznaj się.

- On nie może być adwokatem, bo jest czarny.

- Oj, matko, matko! Nie bądź niemądra.

Odwróciła się od niego i zaczęła chodzić po pokoju.

- To sprawa twojego ojca. O tak, tak. Pewnie natknęli się na siebie w Londynie, bo od dawna nie mam z nią kontaktu - od śmierci Harry'ego, a to było pięć lat temu. I twój ojciec wrócił do domu z bajeczką, że jej się świetnie powodzi, że ma dobrą pracę w firmie jakiegoś adwokata. Na pewno wiedział, że to czarny. Zrobił to naumyślnie. To grzeszny człowiek, grzeszny.

- Niech matka się opanuje.

- Nie! Nie! I powiem ci więcej. Powiem. Ślub to też jego sprawa.

- Co przez to rozumiesz?

- Właśnie to. Postanowił nas rozdzielić i doprowadził do tego wszystkiego.

Wiesz o tym. Wiesz.

Oczywiście, że wiedział. To ojciec doprowadził do wyznaczenia daty ślubu i Don dziękował za to Bogu, ale teraz musiał kłamać.

- To niewiarygodny nonsens - obruszył się, choć zaraz mimowolnie dodał coś, co było prawdą: - Kocham Annette. Kocham od lat. Cierpiałem istne męki na myśl, że ona czuje sympatię do Joego. A ty uważałaś, że rzeczywiście czuła?

- Nic podobnego. Dziewczęta są niestałe. Nie znają samych siebie. Chciałabym... chciałabym cię zapytać, Don... - Głos jej się załamał, zamrugła powiekami i zaczęła płakać. - Czy... czy zdajesz sobie sprawę, co mi robisz? Łamiesz mi serce. Zostawiasz mnie samą. Kiedy odejdziesz, nie będę miała nikogo. Nikogo!

- Och, matko, proszę.

- Don, Don. - Łkając, objęła go, przycisnęła do siebie i zaczęła całować jego oczy, brwi i policzki.

Z wysiłkiem odsunął ją od siebie. Stał sztywno, ze zdumieniem wpatrując się w jej drżące pod cienkim szlafrokiem ciało.

- Nie kochasz mnie, nie kochasz - wymamrotała zbolalym głosem, rzuciwszy się na sofę.

- Ależ kocham cię, matko - zaprzeczył, po chwili milczenia zmuszając się do tego wyznania. - Jednak to jest dzień mojego ślubu. A co w tym momencie ważniejsze, na dole czeka na ciebie ciocia Flo z narzeczonym. O tym powinnaś pomyśleć. Jak zamierzasz go przyjąć? Znasz ciocię Flo. Wiesz, że nie zniesie jakiegoś nedorzecznego zachowania. Jeśli urządzisz awanturę, ona odplaci ci jeszcze większą. Proszę, włóż suknię, zejdź na dół i przywitaj się z nią.

- Nie. I nie życzę sobie tego mężczyzny w moim domu.

- Ale on już tu jest i ojciec się z nim przywita. Znasz go.

- O tak. Tak. - Jej głos był na granicy krzyku. - Znam twojego ojca. Bóg mi świadkiem! Tak. Znam twojego ojca - od trzydziestu strasznych lat.

Don westchnął ciężko i ruszył do drzwi.

- Jeszcze... jeszcze nie mogę zejść. Don, sam widzisz - powiedziała pojednawczo cichym głosem.

- Przyślę tu ciocię Flo?

Nie odpowiedziała, tylko odwróciła głowę, co uznał za znak zgody.

Zatrzymał się na moment u szczytu schodów, zasłaniając oczy, jakby się od czegoś odgradzał, po czym szybko ruszył do salonu, skąd dochodził dźwięk głosów.

Ojciec stał odwrócony plecami do ozdobionego kwiatami kominka, a ten Murzyn tkwił obok sofy, na której siedziała Flo. Z bliska kolor skóry towarzysza ciotki nie wydawał się czarny, a raczej czekoladowobrązowy. Może ten bardzo przystojny, wysoki i świetnie zbudowany mężczyzna o sylwetce sportowca był Mulatem.

- A oto i nasz bohater dnia - oznajmił ojciec donośnym głosem na widok wchodzącego do salonu syna.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy Flo poderwała się z sofy i ruszyła do Dona, wyciągając ręce.

- Witaj! Mój Boże, ledwie cię poznaję.

- Ja ciebie też, ciociu Flo. - Don wziął ją za ręce i pocałował w policzek.

Nie kłamał. Jej głos stał się bardziej melodyjny, a różowo- fiołkowy kostium z welwetu, wraz ze stosownym kapeluszem, który wisiał teraz na oparciu krzesła, też ją odmienił. Ale było jeszcze coś. Pamiętał Flo jako kobietę pogodną, miłą i nieco zaniedbaną, a nie kogoś z taką klasą jak obecnie.

- Poznaj Harveya. - Wzięła go za rękę i poprowadziła do ciemnoskórego mężczyzny. - To mój narzeczony: pan Harvey Clement Lincoln Rochester. - Wymawiała z naciskiem każde słowo, uśmiechając się szeroko do swojego wybranka.

- Miło mi pana poznać. - Mężczyzna podał Donowi rękę.

- Chciałbym od razu wyjaśnić, że „Rochester” nie znaczy, iż mam jakiś związek z grajkiem Jacka Benny'ego, „Lincoln” i „Clement” - iż jestem krewnym

byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz premiera Wielkiej Brytanii, a „Harvey” - iż łączy mnie coś z tym królikiem z filmu.

Wszyscy się śmiali; Joe najgłośniej. W spojrzeniach ojca i brata Don widział pełną akceptację dla tego mężczyzny i nie buntował się, gdy sam ją w sobie odkrył. Już polubił ciemnoskórego, ale, na Boga, wiedział, że Harvey może im przysporzyć kłopotów, bo ona wpadnie w szal. Jakoś zniosłaby protestanta, a nawet ateistę, ale nie Murzyna czy Mulata, który ponadto miał zostać jej szwagrem! To, że był adwokatem, nie stanowiło specjalnej różnicy.

- W jakich sprawach pan broni? - spytał, mimo obaw rozpoczynając konwencjonalną rozmowę.

- Bronię różnych łobuzów; głównie bogatych.

- Harvey, nie tylko bogatych! Biednych też. - Flo wymierzyła karcącego klapsa w jego dużą dłoń, spoczywającą na oparciu sofy.

- Och, kobieto, to też są łobuzy.

Joe obserwował Harveya. Z łatwością wyobrażał go sobie w sali rozpraw. Ten mężczyzna potrafił być stanowczy. Sama jego sylwetka sugerowała siłę charakteru. I ten głos... Już po raz drugi w czasie rozmowy Harvey zwrócił się do Flo „kobietko”, ale w jego ustach to określenie brzmiało jak czuła pieszczota. Mówił: „ko-bietko”.

- Matka chciałaby, żebyś przyszła do niej na górę. Jeszcze się ubiera. Wiesz, ile to trwa - zwrócił się Don do Flo.

Słyszając to, Joe pomyślał, że istotnie dużo czasu upłynie, zanim matka zejdzie na dół i przywita się z takim gościem jak Harvey.

- Dobrze, dobrze. - Flo podniosła się z sofy. – Góra przyjdzie do Mahometa.

- Odwróciła głowę do Harveya. - Dasz sobie radę beze mnie?

- Wiesz, jak się bez ciebie czuję, więc nie bądź tam długo.

Idąc po schodach Flo pomyślała, że te słowa musiały wprawić zebranych w zakłopotanie, również ze względu na ton, jakim zostały wypowiedziane. Im była bliżej apartamentu Winifred, tym bardziej jej poza stawała się sztywna.

Nie słysząc reakcji na swoje pukanie, delikatnie otworzyła drzwi. Zobaczyła siostrę siedzącą przy oknie po przeciwnej stronie sypialni. Zatrzymała się w pół drogi.

- Dzień dobry! - krzyknęła. Widząc, jak Winifred zaciska usta, uznała, że porażająca wiadomość już do niej dotarła. Oczywiście Don mógł jej powiedzieć. Pewnie widział wysiadającego z samochodu Harveya. - Jak się masz?

- Jak śmiesz? - wycedziła przez zęby Winifred, odwracając się gwałtownie w jej stronę.

- O czym ty mówisz?

- Wiesz doskonale. Nie udawaj głupiej. Przyprowadzić tu czarnego mężczyznę!

- Ach, to cię boli! - Flo wzruszyła ramionami. - On nie jest czarny. To Mulat, jeśli oczywiście stanowi to dla ciebie jakąś różnicę. Przystojny Mulat. Poza tym adwokat, dżentelmen, człowiek poważany.

- Zamknij się! Poważany. W tym mieście nie wpuszczono by go nawet do klubu dla robotników. Zrobiłaś to naumyślnie, co? Ty i on.

- O kim ty mówisz? On nic o tobie nie wie.

- O Danielu.

- O Danielu? O co ci właściwie chodzi?

- Jak zrozumiałam, natknęliście się na siebie w Londynie i powiedziałaś mu, że jesteś sekretarką adwokata, z którym się zaręczyłaś.

- Tak powiedziałam Danielowi, ale nie poznał tego człowieka. Teraz wiem, czemu zawdzięczam zaproszenie na ślub. Uznałaś, że dostałam się do wyższych sfer i że to, iż twoja siostra zaręczyła się z adwokatem, będzie cię nobilitowało w oczach innych. Mój Boże! Winnie, nic się nie zmieniłaś...

- Ty też nie, bo za pierwszym razem wyszłaś za nic niewartego agenta ubezpieczeniowego, pijaka.

- Harry nie miał nic wspólnego z pospolitym pijakiem, lecz cierpiał na chorobę alkoholową. To był przyzwoity człowiek. Jednak w twoich oczach uchodził za kogoś, kogo należy się wstydzić. Tak samo jak nasz ojciec. Czy w ogóle jeszcze go pamiętasz?

- Tak, tak. Pamiętam.

- To dziwne, że nie odwiedziłaś go nawet wtedy, gdy był śmiertelnie chory i nie okazałaś się na tyle przyzwoita, by spotykać się z naszą matką. Ale miałaś czas zajęty polowaniem na majątek i upolowałaś go dzięki Danielowi. To nie Daniel cię obchodził, lecz to, co mogłaś dzięki niemu zdobyć. I zdobyłaś, prawda?

- Nie... nie masz o tym pojęcia - zaczęła Winifred pogardliwym tonem, marszcząc nos. - Do końca życia nic nie będziesz warta i pozostaniesz prostaczką. Masz akcent, który największy ignorant rozpozna jako wyuczony, ale nie straciłaś tupetu... Pewnie ci pomoże zabrać z mojego domu tego kolorowego mężczyznę. Możesz się wytłumaczyć tym, że wpadłaś tu tylko na chwilę. Zrozumiałaś?

Flo wyprostowała się, przez co stojąca przed nią otyła Winifred wydała się dużo mniejsza, i przez chwilę patrzyła na siostrę w milczeniu.

- Przyjechałam na ślub Dona i razem z moim narzeczonym będę na tym ślubie, a potem na przyjęciu. Dopiero wtedy być może zastanowimy się nad tym, kiedy wyjechać. Pan Rochester to dżentelmen, człowiek o wiele lepiej wykształcony niż twój mąż i synowie. Jeśli nie będziesz się do niego odnosiła co najmniej uprzejmie, to możesz liczyć na skandal. Znasz mnie, Winnie. Potrafię mówić donośnym głosem i rozśmieszyć ludzi do łez. Mogę powyciągać różne domowe brudy i zabawić gości, ale też skłonić ich do myślenia. Przyznasz, że mam do tego dryg. Ostrzegam - nie żartuję. Jeśli za pół godziny nie zjawisz się na dole,



gwarantuję ci jedno z moich najlepszych przedstawień — specjalnie dla twoich gości, dla stu trzydziestu osób, o ile się orientuję. Nie zapomnij o tym, Winnie. — Flo odwróciła się wolno i pewnym krokiem ruszyła do drzwi.

Gdy weszła do salonu, Harvey opowiadał swoją historię.

- Moi dziadkowie zjawili się tu pod koniec ubiegłego wieku. Pochodzili z Kalifornii. Zostali służącymi ziemiańskiej rodziny, mieszkającej pod Londynem. Mieli syna, który stał się totumfackim tej rodziny, a po ostatniej wojnie ożenił się z ich pokojówką. Im też urodził się syn - w tym samym czasie, co trzeci syn córki i zięcia ich chlebodawców. Młody Mulat - Harvey wskazał siebie palcem - wychowywał się razem z tymi trzema chłopcami. Oni zostali posłani do szkoły z internatem, a ja chodziłem do miejscowej. Potem dostałem się do ogólniaka. Byłem jedynym kolorowym, ale wytrzymałem. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - I naturalną kolejną rzeczą zacząłem studiować na uniwersytecie. Tam już nie musiałem się tak spinać, bo byli i inni kolorowi. Skończyłem prawo, i to wszystko.

- Jeden z synów tych państwa też jest prawnikiem i przekazuje Harveyowi sprawy. Młodszy został w czasie wojny okaleczony przez wybuch bomby. Odwiedzamy go co miesiąc. Ci trzej bracia są najbliższymi przyjaciółmi Harveya - uzupełniła opowieść Flo.

Dla Daniela, Joego i Dona było jasne, że zgodnie z tym, czego się spodziewali, miała ciężką przeprawę z Winifred. Zdradzały to jej nienaturalnie błyszczące oczy i lekko drżące usta.

- Ko-bieto, chodź do mnie - odezwał się Harvey, który też to zauważył. Gdy stanęła przy nim, wziął ją za rękę, spojrzał jej w oczy i spytał: - Chcesz wrócić do domu?

- Do domu? Przecież dopiero przyjechała — stwierdził stanowczo Daniel, nie dopuszczając Flo do głosu. Podszedł do niej i posadził ją na sofie. - Przyjechałaś na ślub... — Spojrzał na jej nachmurzoną twarz i poprawił się: - Przyjechaliście na

ślub i będziecie na nim. Jesteście gośćmi moimi oraz... - Zerknął na synów. - Dona i Joego. Czy nie tak?

- Absolutnie tak - odpowiedzieli chórem.

- Wszystko w porządku. Czuję się dobrze. Winnie się ubiera i niebawem zejdzie do salonu - zapewniła Flo Daniela, wyciągając do niego rękę.

- Wspaniale. A teraz napijmy się kawy. Na jedzenie raczej za wcześnie, przynajmniej dla mnie. A dla was? - Spojrzał na Harveya.

- Dla mnie też. Wystarczy kawa - odparł z uśmiechem adwokat.

- Wybaczcie, że was na chwilę opuszczę. Poproszę Maggie, żeby nam podała. Czy już się z nią przywitaliście?

- Nie. Ze Stephenem też nie.

- Będziemy musieli przejść się po domu. Do uroczystości zostało dużo czasu, ale dobrze by było, Don, gdybyś sprawdził, jak wyglądają przygotowania w namiocie.

Joe został z gośćmi sam,

- Niechże pan spocznie. Nawet dla mnie jest pan za duży, gdy pan tak stoi - zachęcił Harveya, który nadal tkwił koło sofy.

Adwokat lekko skinął głową i usiadł obok Flo, otaczając ją ramieniem i przytulając do siebie.

- Nie udało ci się to spotkanie? - spytał, nie krepując się obecnością Joego, jakby od razu wyczuł w nim przyjaciela.

- Skądże znowu - skłamała uśmiechnięta. - Ale mówiłam ci, że nigdy się ze sobą nie zgadzałyśmy, od chwili kiedy jako brzdąc wymówiłam jej imię, nazywając ją Win, zamiast Winifred. Kiedy po raz pierwszy dała mi po uszach, miałam trzy lata, a ona dziesięć. Ale gdy jej przyłożyłam szufelką do węgla, byłam zaledwie sześciolatką. Od tamtego czasu prowadzimy tylko wojnę na słowa.

- Może szkoda... - Joe usiadł naprzeciwko nich i roześmiał się. - Bo możesz mi wierzyć albo nie, ciociu... - Pochylił się w jej stronę i szepnął: - Nie ty jedna miałabyś ochotę użyć od czasu do czasu tej szufelki. - Po tym wyznaniu usiadł prosto i stwierdził ze smutkiem: - Mówiąc poważnie, nie potrafię sobie wyobrazić życia matki po tym, jak jej uwielbiany chłopiec odejdzie dziś od ołtarza, bo - jak wszyscy wiedzą - od lat żyła tylko dla Dona.

- Tak, ale zadziwia mnie, że w ogóle zgodziła się na ten ślub.

- Mówiąc szczerze... - Joe zawahał się. - Tata użył fortelu.

- Dała się wystrychnąć na dudka?

- Mogła wybierać tylko między większym i mniejszym złem. Jak wiesz, ciociu, tata ma w Ameryce kuzyna, który prowadzi interesy w tej samej branży, tyle że na dużo większą skalę. Dwa lata temu poprosił go, żeby zatrudnił u siebie Dona. Również wówczas... - Joe znowu się zawahał i zerknął na stojące na kominku kwiaty, zaciskając usta. - No więc, w jakiś sposób tata odkrył, że Annette kocha się w Donie...

- Ale wtedy ona jeszcze musiała być uczennicą szkoły przyklasztornej.

- Tak. Miała niecałe osiemnaście lat. Mogła pójść do college'u... Chyba chciała zostać nauczycielką... ale widocznie bardziej odpowiadało jej małżeństwo z Donem. Mama musiała zdecydować, czy woli mieć syna w Ameryce, czy też w Hazel Cottage, w Northumberland, dziesięć mil stąd. Bez entuzjazmu wybrała to drugie.

- Dziesięć mil! Przecież ona nie ma prawa jazdy. Dziwię się, że wyraziła na to zgodę.

- Och, Bill ją zawiezie, ile razy będzie trzeba, choć oczywiście nie wystarczy teraz przekroczyć progu, żeby spotkać się z Donem. Tata zadbał również o to.

- Trudno się dziwić, że jest tak podminowana - skomentowała Flo.

- A moja obecność z pewnością niczego nie ułatwiła - dorzucił Harvey.

- Ja nie posuwałbym się we wnioskach tak daleko. – Joe uśmiechnął się do niego serdecznie. - Raczej odwraca pan uwagę od tamtych spraw.

- Jak czerwone światło na drodze, czy mówiąc ściślej - czarne. Ale mniejsza o to. - Uścisnął Flo. – Wyobrażam sobie, że jestem w sali rozpraw, broniąc przed oskarżycielką samotnej kobiety... - znowu przytulił Flo - która jest nie tylko piękna, ale także życzliwa i rozumiejąca, choć dla mnie najbardziej liczy się jej niezawodność jako sekretarki.

Gdy Maggie wniosła kawę, zastała ich roześmianych, ale zachowała powściągliwość.

W salonie pojawił się Stephen.

- Och, jesteś wielkim czarnym człowiekiem! – wykrzyknął na widok Harveya.

Znowu się roześmiali, bo adwokat wiedział, jaki jest stan umysłu najstarszego syna Coulsonów.

- A czy ty nie jesteś wielkim białym człowiekiem, na dodatek przystojnym? - zrewanżował się Harvey.

Ciągle rozweseleni, we czwórkę poszli obejrzyć wewnątrz namiotu - wyłożone różowym sznurkowym dywanem i ozdobione girlandami kwiatów. Gdy do środka weszła Winifred, przypominająca swym wyglądem przekwitły kwiat, śmiech i rozmowy nagle się urwały. Zbiegiem okoliczności Harvey znalazł się najbliżej niej. Dzielilo ich od siebie kilka kroków. Widząc, że nikt nie kwapi się, by do niej podejść, zrobił to sam.

- Pani Coulson, czuję się w obowiązku przeprosić panią, że zakłóciłem swoją obecnością ten szczególny dla pani dzień - przemówił w sposób, w jaki nie wypowiedali się ludzie w Fellburn i wyciągnął do niej rękę, a następnie zniżonym głosem dodał: - Jeśli moja obecność panią krępuje, wyjadę, bo jestem jak najdalej od tego, żeby psuć pani nastrój, zwłaszcza w takim dniu.

Z wrażenia zamrugła oczami. Stojąca z boku Flo patrzyła na nią, nie kryjąc groźby. Winifred nie mogła się z tym nie liczyć. Ale nawet gdyby nie padła żadna groźba, trudno by jej było kazać się wynosić temu dziwnemu człowiekowi. Taki wniosek wypływał również z odpowiedzi na zadane sobie przez nią pytanie: jak to możliwe, że Flo zdołała znaleźć dla siebie takiego mężczyznę, bo choć czarny, miał w sobie coś. Nie chodziło tylko o jego wzrost, urodę i głos, lecz o coś więcej.

- Ależ... w żadnym wypadku nie jestem skrepowana. Dlaczego miałabym być? - usłyszała samą siebie, wcale zresztą nie zaskoczona tą odpowiedzią. A gdy Mulat uścisnął jej dłoń - pewnie, lecz delikatnie - odkryła w sobie w stosunku do siostry uczucie, którego nie potrafiła nazwać, bo dotychczas nigdy niczego Flo nie zazdrościła.

Po tym spotkaniu w namiocie zrobiło się weselej.

Mijała dwunasta, gdy Don - niemal już w pełnej gali, gdyż brakowało mu tylko szarego cylindra - wybiegł bocznymi drzwiami, zmierzając do pawilonu Joego. Przechodząc obok niskich okien zatrzymał się, bo w środku spostrzegł klęczącego przy krześle Joego. Brat się modlił.

Musiał spostrzec cień na szybie lub wyczuł czyjąś obecność, gdyż momentalnie uniósł głowę i spojrzał na Dona.

- Joe, martwisz się czymś? - Don był już w pokoju.

- Nic podobnego.

- Ale...

- Tak, modliłem się. Czy nigdy tego nie robisz?

- Nigdy w środku dnia. Czy aby na pewno nic cię nie dręczy? A przy okazji... Ostatnio nie chodzisz do kościoła. Zaraz zaczną cię śledzić tajni agenci lub przynajmniej ksiądz Cody.

- No dobrze, młody człowieku, proszę Boga o... o szczęście dla was.

- Och, Joe... - Don uściśnął brata, bo naprawdę traktował tego mężczyznę jak brata.

- Co cię do mnie sprowadza? - spytał Joe, odwzajemniwszy uścisk.

- Chciałbym... zadzwonić do Annette, zamienić z nią kilka słów, spytać, jak się czuje, a nie mogę tego zrobić w domu.

- Dzwon. - Joe wskazał sąsiedni pokój, w którym mieścił się gabinet, a gdy Don tam wszedł, wycofał się do sypialni. Oparł się plecami o drzwi i stał ze zwieszoną głową.

- Sarah? - powiedział Don do słuchawki. - Czy mogłabyś poprosić do telefonu pannę Annette?

- Och, proszę pana... - Pokojówka zniżyła głos do szeptu.

- Ona się ubiera. Jest tu pani Allison.

- Słucham! Kto mówi? Don, na litość boską, o co chodzi? Wiesz, że to przynosi nieszczęście, jeśli narzeczeni kontaktują się w dniu ślubu przed jego zawarciem.

- Myślałem, że dotyczy to tylko spotkania. No, przyszła teściowo, pozwól mi zamienić z nią słówko.

- Chyba nie zamierzasz jej porzucić?

Odsunął słuchawkę od twarzy i uśmiechnął się szeroko.

Kapryśna mama Allison zażartowała.

- Właśnie to chciałem jej powiedzieć. No już, niechże zamienię z nią słowo - odparł ze śmiechem.

- To nie jest wskazane. Przynosi nieszczęście.

- Dziś nic nie może nam przynieść nieszczęścia.

Nastąpiła przerwa. Przez chwilę słyszał strzępy odległej rozmowy, po czym w słuchawce rozległ się głos Annette.

- Don, czy coś się stało?

- Ależ skąd, kochanie. Po prostu... byłem ciekaw, jak się czujesz?

- Och, jestem przerażona, roztrzęsiona, stęskniona. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to już tak blisko... - Głos jej się załamał.

- Jeszcze tylko godzina i zobaczymy się w kościele.

- Kocham cię. Bardzo cię kocham.

- A ja nie tylko cię kocham. Ja cię uwielbiam.

- Oj! Będziesz musiał pójść do spowiedzi - roześmiała się - bo oddajesz cześć fałszywym bożkom.

- Niech będzie, ale jedna bogini godna jest uwielbienia. No dobrze. Dam ci już spokój. Do widzenia, kochanie. Nie, nie do widzenia, tylko au revoir.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę stał zamyślony. Ta godzina miała być najdłuższą w jego życiu. W jej też.

TLR

## Rozdział czwarty



Msza dobiegła końca. Stali się małżeństwem – jednością dusz i ciał. Godzina, która wydawała się długa jak wieczność, minęła. Przyjęli komunię i wysłuchali serdecznej przemowy księdza Ramshawa. Chór dał z siebie wszystko. Młodziutki solista śpiewał sopranem tak tkliwie, że do wielu oczu napłynęły łzy. Wpisali się do księgi parafialnej. Annette Allison została Annette Coulson. Spojrzeli na siebie z taką ulgą, że wrażliwy obserwator mógłby nawet skojarzyć ją z cierpieniem, które wreszcie ustąpiło. Ale wszyscy byli zanadto zaaferowani.

Gdy wyszli z zakrystii i zbliżyli się do przejścia pomiędzy dwoma rzędami ławek, zagrzmiały organy. Matka Annette zaczęła płakać. Za to Winifred nie uрониła nawet jednej łzy, ale jej nalana twarz była nienaturalnie blada. Wydawało się, że Daniel popycha żonę ku wyjściu i wprowadza w tłum.

Przed kościołem fotograf jakoś zapanował nad sytuacją, choć z pewnym trudem ustawił do zdjęć nowożeńców, a obok nich družbę, którym był Joe, i dwie druhny - Jessicę Bowbent oraz Irenę Shilton - szkolne koleżanki Annette. Rozchichotane trzymały Joego pod rękę, marząc skrycie, by pewnego dnia stanąć obok niego tak jak teraz Annette obok Dona.



- Jeszcze my! Niech pan nas sfotografuje. Co ty na to, Harvey?! - krzyknął Daniel, ku zaskoczeniu zebranych, do stojącego obok niego adwokata, gdy zostały już zrobione typowe grupowe zdjęcia, zapraszając do wspólnej fotografii również Joego. Być może chciał w ten sposób uciąć spekulacje gości na temat powodu obecności tego Mulata na ślubie albo przeciwnie - wzmóc ich ciekawość.

Ten czarny naprawdę ich intrygował i oczywiście nie wiedzieli, kim jest, dopóki w godzinę później nie zaczęły się toasty.

- Jestem pewny, że następnym ślubem w naszej rodzinie będzie ślub mojej szwagierki i jej narzeczonego – zakończył Daniel z diabelską miną, wznosząc toast za pomyślność młodej pary i wskazując kieliszkiem Harvey a, który siedział na trzecim miejscu po jego prawej stronie. Następnie zwrócił wzrok na gości po lewej stronie i spojrzał na księdza Ramshawa. – Czy ksiądz udzieli im ślubu?

- Im? Ma się rozumieć. Ożeniłbym nawet „Alleluję” z Żydem, jeśli przysporzyłoby to Kościołowi nowych owieczek - zażartował rubaszny proboszcz.

Goście wybuchnęli śmiechem, ale ani Winifred, ani Joe nie dołączyli do tego chóru wesołości. Joe uznał, że to nietaktowne ze strony ojca tak żartować, skoro wie, jak matka cierpi. Być może jednak Daniel kierował się życzliwością, usiłując w ten sposób tamować krew, którą broczyła Winifred po otrzymanym dziś ciosie.

Gdy przyszła kolej na Joego, by wznieść toast, od razu przystąpił do rzeczy. Nie zamierzał bawić gości. Szczerze wyznał, że choć wszyscy wiedzą, iż nie łączy go z Donem pokrewieństwo, to od początku są sobie bliscy niczym bracia syjamscy. Podziękował również przybranym rodzicom za troskę, jaką mu okazywali przez dwadzieścia pięć lat.

- Za tych dwoje tak drogich memu sercu - zakończył toast, zwracając się do młodej pary.

To było wystąpienie nietypowe dla drużby. Istotnie nie powiedział nic zabawnego, nawet jednego żartu. Rozległy się głosy aplauzu, ale świadczyły one o tym, że powiało smutkiem. Niektórzy kręcili głowami. Joe Coulson uchodził za dziwnego człowieka, takiego, o którym nie wiadomo, jaki jest naprawdę. Miał opinię znakomitego księgowego, zawsze uprzejmego i życzliwego, a zarazem kogoś trudnego do rozszyfrowania. To ostatnie określenie bardzo do niego pasowało. Jednak często zdarza się to w przypadku dzieci adoptowanych, zwłaszcza tych, o pochodzeniu których nic nie wiadomo...

**Państwo** młodzi przebierali się, rzecz jasna, w oddzielnych pokojach. Wyjeżdżali o piątej. Z Newcastle mieli się udać pociągiem do Londynu, a stamtąd w podróż poślubną do Włoch - na całe trzy tygodnie.

Gdy Don wyszedł ze swojego pokoju, nie był zaskoczony widokiem matki stojącej w drzwiach jej apartamentu. Rozmawiała z jednym z gości. Wielu z nich snuło się po piętrze i po schodach, a dom rozbrzmiewał gwarem i śmiechem, bo tłumnie przeszli tu z namiotu.

- Proszę wybaczyć - przeprosiła gościa Winifred. Wyciągnęła rękę do Dona.  
- Kochanie, pozwól na chwilę - powiedziała to pewnym, wysokim głosem, jak zwyczajna matka, która chce się pożegnać z wyjeżdżającym synem. Jednak gdy tylko zamknęła drzwi, odsunęła się od Dona i przycisnęła złączone dłonie do obfitych piersi. - Wyjechałbyś bez słowa pożegnania.

- Absolutnie nie. Zamierzałem do ciebie przyjść.

- To nieprawda. Zdajesz sobie sprawę, że to koniec?

- Och, proszę. Proszę. Nie psuj tego dnia.

Przymknął oczy, a gdy je otworzył, stała przed nim.

- Gdy wrócisz, może mnie już tu nie być. Nie sądzę, żebym potrafiła to wytrzymać. Raczej umrę. - Mówiąc to wydychała na jego twarz gorące wilgotne powietrze.

- Matko! - krzyknął ostrym tonem, a widząc, że poirytowana kręci głową, wycedził przez zaciśnięte zęby: - Tylko nie zaczynaj! Na litość boską! Matko, nie zaczynaj!

- Och! Nigdy nie mówiłeś do mnie takim tonem. Dlaczego muszę przejść przez to piekło? Czym sobie na to zasłużyłam? Och, Don! Don!

Objęła go jak poprzednim razem, ale nie potrafił jej uścisnąć. Jej bliskość stała się dla niego nieznośna. To było nowe uczucie. Odsunął ją niemal szorstko.

- Bądź rozsądna. Jestem już żonaty. Zaczynam nowe życie na swój własny rachunek. Nie rozumiesz tego?

- A jakże. Rozumiem. Straciłam cię.

- Nie straciłaś, ale jesteś na najlepszej drodze do tego. Kocham cię. Jesteś moją matką.

- Kochasz mnie? - Jej głos złagodniał. - Don, naprawdę mnie kochasz?

- Ależ tak. - Poruszył dłońmi spoczywającymi na jej ramionach, jakby chciał nią potrząsnąć, ale nie zwróciła na to uwagi.

- Przrzekniesz mi, że zawsze będziesz mnie kochał? Zachowasz dla mnie uczucie? Przrzekniesz? - skamlała, patrząc mu w oczy.

Miał ochotę odwrócić się i uciec - od niej i od wszystkich innych w tym domu, z wyjątkiem Annette. W wyobraźni już widział, jak biegną, trzymając się za ręce.

- Przrzekam. A teraz muszę już iść - usłyszał swój spokojny głos.

- Pocałuj mnie.

Wolno się pochylił, chcąc cmoknąć ją w policzek, lecz znowu go objęła. Teraz nie tylko napierała na niego, ale zaczęła go całować w usta. Wyszarpnął się i otumaniony wymknął na korytarz. Wszedł do łazienki i przekręciwszy klucz w

drzwiach, umył twarz zimną wodą. Dygotał. Matka była szalona, to pewne. Przepłukał usta, wytarł twarz, otrząsnął krople wody z marynarki i kilka razy odetchnął głęboko, chcąc odzyskać równowagę.

U szczytu schodów stał ojciec.

- Szukałem cię. Gdzie byłeś? Annette czeka na dole. Czy coś się stało?

- Nie.

- Żegnałeś się na zawsze... - orzekł Daniel, wymownie spojrzawszy na drzwi do apartamentu żony.

- Tak, tato - odparł z westchnieniem.

- Zatem, chłopcze, masz to już za sobą. Pęta zostały zerwane. Tak trzymaj.

Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Ależ oczywiście. - Wymienili spojrzenia jak dwaj mężczyźni równi sobie wiekiem i doświadczeniem.

- Zatem możemy ruszać. - Daniel trzymał go za łokieć, prowadząc po schodach i przez zatłoczony hall.

Gdy stanęli przy drodze dojazdowej, matka objęła Annette. Zaraz potem ojciec cmoknął ją w policzki, pochylając się w taki sposób, jakby z trudem zginał sztywne ciało.

- Niech Bóg ma cię w swej opiece, dziecko - pożegnał ją w typowy dla siebie sposób.

Brakowało dwojga ludzi, czego z powodu panującego podniecenia pewnie nikt nie zauważył: matki i najstarszego brata pana młodego. Stephen znowu się zmoczył, co oczywiście należało zachować w tajemnicy przed gośćmi. Teraz machał Donowi i Annette z okna swojej sypialni, uszczęśliwiony, bo ojciec pozwolił mu oglądać wieczorne tańce na murawie.

Możliwe, że tylko Daniel, Joe, Flo i sam Don zwrócili uwagę na nieobecność Winifred.

Don i Annette wsiedli do samochodu. Daniel i Joe stanęli przy jednym oknie, a Flo przy drugim.

- Jedźcie ostrożnie - mówili równocześnie.

- Żyćcie zgodnie - przestrzegł ich Daniel.

- Dopilnuję, żeby w waszym gniazdku było ciepło, gdy wrócicie - zobowiązał się Joe.

- Dziękujemy - odparli chórem i odwrócili się do ciotki.

- Kochajcie się nawzajem - udzieliła im rady, ściskając Annette za ramię.

Na to nie musieli odpowiadać. Przepęniało ich uczucie miłości. Don przekręcił kluczyki w stacyjce.

Za szybą pojawił się teraz ksiądz Ramshaw.

- Słuchajcie, bo do mnie należy ostatnie słowo - zaczął, przekrzykując warkot silnika. - Niech Bóg wam błogosławi. - Zrobił pauzę i dodał z udawaną powagą: - Jak wpadniecie do papieża, pozdrówcie go ode mnie. I szepnijcie mu na ucho, że mam na zbyciu wikarego, który ma kwalifikacje na sekretarza stanu.

Wyślę go w każdej chwili, niech tylko papież skinie palcem.

Państwo młodzi wybuchnęli śmiechem.

- Z przyjemnością zrobię to dla księdza – zapewniła Annette.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Don, dopingowany przez rozlegające się z tyłu głosy, ruszył z kopyta.

- Założę się, że coś przyczepili. Zatrzymamy się przy szosie i sprawdzimy - odezwał się, słysząc głucho uderzenie z tyłu samochodu.

- Biegną za nami - Annette wyjrzała przez tylną szybę.

- Kochanie, niech sobie biegną, nawet wszyscy, I tak nas nie dogonią. - Zerknął na nią. Jego spojrzenie przepelniało uczucie. - Jesteśmy wolni. Najdroższa, zdajesz sobie z tego sprawę? Jesteśmy wolni.

- Oczywiście. To oznacza bardzo wiele. Kochanie, koniec zmartwień i obaw, co się stanie, „jeśli” lub „gdy”...

Zdjął rękę z kierownicy i uniósł dłoń żony do ust. Zbliżali się do bramy, z której wyjeżdżało się na wąską boczną drogę, gdy Annette znowu zerknęła przez tylną szybę.

- Joe i twój ojciec biegną za nami.

To były ostatnie słowa, które zapamiętała.

Zobaczyła wóz meblowy. Miała uczucie, że wali się na nich wieża, a zarazem - że ciągnie ich za sobą do góry. Usłyszała krzyki - swój, Dona i ludzi wysoko nad nimi. Zaraz potem samochód przeleciał przez jezdnię i runął z pochyłości. Zdawała sobie sprawę, że runął, pędząc niczym wielki, latający koń. Po jakimś czasie uderzył w płot odgradzający pola od drogi, i zaraz potem wzbił się w niebo. W niebo. I wszystko się uspokoiło.

## Rozdział piąty



**Było** w pół do pierwszej w nocy - z soboty na niedzielę.

W szpitalnej poczekalni przy jednym stoliku siedzieli Joe, Daniel i Flo, a przy drugim - Allisonowie. Janet pochylała się, przyciskając łokcie do blatu, a James opierał się sztywno na krześle. Miał przymknięte powieki. Można by sądzić, że drzemie, gdyby nie to, że od czasu do czasu spoglądał gniewnie na Winifred przemierzając pustą przestrzeń przy drzwiach, szesnaście kroków w jedną stronę i szesnaście w drugą. Nikt nie był w stanie powiedzieć, jak długo to już trwa, ale każdy mógł zaświadczyć, że wrzasnęła na Daniela, gdy wziął ją za rękę i próbował posadzić na krześle, i że później omal nie przewróciła Flo, odpychając ją brutalnie przedramieniem, którego zawsze używała bardzo skutecznie.

- Matko, proszę - odezwał się w końcu Joe. - To chodzenie nie przyniesie ci ulgi.

W reakcji tylko wyszczerzyła na niego zęby.

Jedynie Harvey jeszcze nie próbował nakłonić jej, by usiadła. Właśnie wniósł do poczekalni tacę z herbatą. Wręczywszy napój wszystkim siedzącym, wolno ruszył z filiżanką do Winifred. Zagroził jej drogę i uniósł naczynie. W pierwszej chwili pomyślał, że wytrąci mu je z ręki, jednak, o dziwo, nie tylko wzięła herbatę, ale i opadła na najbliższe krzesło, jakby atak hysterii minął.

Panujące w poczekalni napięcie osłabło, jednak tylko na chwilę, bo ledwie zaczęli pić herbatę, w drzwiach stanęła pielęgniarka z nocnej zmiany. Spojrzała na Allisonów.

- Zapewne chcieliby państwo zobaczyć się z córką? Odzyskała przytomność. Ale możecie być u niej bardzo krótko.

Allisonowie zerwali się z krzeseł. Pielęgniarka otworzyła im drzwi.

- A co z moim synem? - Winifred chwyciła ją rękę.

- Jest nadal w sali operacyjnej. Lekarz przyjdzie do państwa, jak tylko będzie mógł. Proszę się nie niepokoić.

- Nie niepokoić. Co za głupi ludzie! Nie niepokoić - powtarzała gniewnie Winifred przez zaciśnięte zęby, na powrót przemierzając poczekalnię w tę i z powrotem, zaledwie pielęgniarka wyprowadziła Allisonów.

Gdy zaczęła mówić głośniej, Daniel zerwał się z krzesła i chwycił ją za ramiona.

- Kobieto, dość już tego! Przestań. Pomyśl, że wszystkich nas tu zżera troska! - syknął i szorstko posadził ją na krześle. Pochyliwszy się nad nią, burknął: - Nie okazuj tu, na Boga, swoich humorów, bo wymierzę ci policzek, zanim się spostrzeżesz! Słyszysz?

Już po raz drugi w ciągu kilku ostatnich dni zagroził jej tym. Spojrzała na niego z taką nienawiścią, że niemal poczuł ją fizycznie. Wyprostował się. Dyszał ciężko, jakby przed chwilą ktoś go dusił. Dołączył do stojących obok Joego i Harveya, którzy przed chwilą podnieśli się z krzeseł, najwyraźniej czuwając, by nie posunął się za daleko.

- Pijcie herbatę, bo wystygnie - łagodziła napięcie Flo, gdy usiedli.



Jak posłuszne dzieci podnieśli do ust filiżanki.

Po kilkunastu minutach do poczekalni weszli dwaj lekarze: chirurg Richardson i ogólny - Walters. Obaj wyglądali na wyczerpanych, a zwłaszcza pierwszy - o ciemnej karnacji skóry, która teraz była blada.

Winifred natychmiast podbiegła do nich.

- Wszystko w porządku, w porządku. - Chirurg poklepał ją po ręce.

- Co z moim synem? Co z moim synem?!

- Proszę usiąść.

Zniecierpliwiona potrząsnęła głową, nie odstępując go na krok.

Richardson prześliznął się wzrokiem po twarzach pozostałych i utkwiał spojrzenie w Danielu.

- To była długa operacja — powiedział spokojnie.

- Wyjdzie... z tego?

- Niestety, to się dopiero okaże. Jest ciężko ranny.

- Będzie żył? - spytała natarczywie Winifred.

- Pani Coulson, tego też jeszcze nie wiemy — oznajmił dobitnie chirurg, patrząc jej w oczy. - Od razu muszę państwa poinformować, że... - przeniósł wzrok na Daniela - nie będzie już chodził. Kręgosłup został uszkodzony w okolicach lędźwi. Stan zdrowia pacjenta nie byłby taki ciężki, gdyby nie to, że ma zmiążdżone płuco i uszkodzoną wątrobę. Zwłaszcza to drugie dobrze nie rokuje, choć trudno teraz cokolwiek przesądzać. Radziłbym państwu udać się do domu i odpocząć. Będzie jeszcze dużo czasu, żeby...

- Nigdzie nie pójde. Muszę go zobaczyć. Będę przy nim czuwała - przerwała mu Winifred.

- Obawiam się, pani Coulson, że dziś nic z tego nie będzie - oświadczył stanowczo chirurg. - Najbliższe godziny mają decydujące znaczenie dla jego życia. Proszę przyjść jutro rano, a wtedy zobaczymy. Teraz musi mieć idealny spokój.

Winifred była na granicy wybuchu. Piersi jej falowały, a policzki miała wy-  
dęte, jakby zatrzymała w ustach wydychane z płuc powietrze.

- A jak się czuje Annette... jego żona? - Głos Flo okazał się szpilką przekłu-  
wającą balon.

- Och, szczęście wyjątkowo jej dopisało – odpowiedział doktor Walters. -  
Ma złamaną rękę, potłuczone żebra i lekki wstrząs mózgu. Aż trudno uwierzyć,  
że wyszła z wypadku z takimi lekkimi obrażeniami. Nic jej nie grozi. Oczywiście  
również ona musi poleżeć w spokoju. Zatem, zgodnie z tym, co powiedział dok-  
tor Richardson, najrozsądniej będzie, jeśli państwo wróćcie do domu i nieco od-  
poczniecie. My też... - zerknął na kolegę - chętnie położymy się do łóżek. Z  
pewnością państwo to rozumiecie.

- Oczywiście - przytaknął Joe. - Pójdziemy... za radą panów i... bardzo za  
wszystko dziękujemy.

- O tak, tak - podchwycił Daniel, jakby dopiero głos syna przypomniał mu o  
obowiązującej kurtuazji. - Jestem... wszyscy jesteśmy trochę otumanieni. To...  
stało się tak nagle. Tuż po ślubie. Właśnie wyjeżdżali. Nie mieści mi się to w  
głowie.

- Niestety, nawet takie rzeczy się zdarzają, choć trudno powiedzieć dlacze-  
go. Jednak nigdy nie należy tracić nadziei. Dobranoc państwu. - Po tych komuna-  
łach Richardson skinął głową i wraz z Waltersem opuścił poczekalnię.

Wszyscy z wyjątkiem Winifred ruszyli do wyjścia. Ona nawet nie drgnęła.  
Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Daniel zerknął na nią i opuścił po-  
kój. Flo zatrzymała się przy siostrze na moment, ale też dała za wygraną. Tylko  
Joe odezwał się do Winifred:

- Mamo, chodź. Przywiozę cię tu jutro rano.

W pierwszej chwili wydało mu się, że nic nie wskóra, ale gdy spojrzała na  
stojącego kilka kroków za nią Harveya i uznała, że Mulat zamierza tak stać, do-  
póki ona stąd nie wyjdzie, ruszyła do drzwi, strząsając z łokcia dłoń Joego.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i ruszyli za nią.

**Dotarli** do domu o drugiej w nocy. Milcząca przez całą drogę Winifred od razu poszła do swojego apartamentu. Pozostali skierowali się do jadalni, gdzie z kamiennymi twarzami wypili podane przez Maggie gorące napoje. Gospoia, nie skarżąc się na późną porę, przygotowała pokoje gościnne dla Flo i Harveya.

**Już** przed ósmą rano wszyscy z wyjątkiem Stephena byli na nogach. On spał po silnej dawce środka uspokajającego. Widział wypadek z okna swojej sypialni na drugim piętrze. Tak histeryzował, że trzeba było wezwać lekarza.

Maggie wstała o szóstej i przygotowała śniadanie, którego nikt nie tknął. Teraz rozmawiała w swoim saloniku z Danielem. Miała zaczerwienione i spuchnięte oczy.

- Chyba nie uciekał? - spytała łamiącym się głosem.

- Nie - odparł Daniel, przełknąwszy ślinę.

- Skoro jest z nim tak źle, jak mówisz, to wciąż istnieje niebezpieczeństwo, że ona go straci, że wszyscy go stracimy. Ale chyba wolałabym go widzieć martwym niż całkowicie bezradnym, bo znowu trafi do dzieciennego łóżeczka.

- Na Boga! Tylko nie to. Mają swój własny dom, a Annette jest lekko ranna. Będzie się nim opiekowała. Poza tym są jeszcze pielęgniarki. Nie, nie! Maggie, dopilnuję, żeby w jakimś stopniu byli niezależni. Winifred może tkwić przy nich całymi dniami, ale przynajmniej będzie to ich dom. Teraz Don ma żonę.

Maggie przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, po czym odwróciła się i wyjęła z komody czysty fartuch.

- Zdażycie wrócić na lunch?

- Wątpię.

- Czy Flo i pan Rochester zostają?

- Trudno powiedzieć... Jak on ci się podoba? Byłaś za-i skoczona wiadomością, z kim Flo się zaręczyła?

- Może tylko w pierwszej chwili. Wiele kobiet chętnie związałyby się z takim mężczyzną, wykształconym i przystojnym. Ale czy oni wszyscy nie są przystojni? Jeszcze nie widziałam brzydkiego czarnego. A ty?

- Jeśli się nad tym zastanowię, też nie. Tak czy inaczej, oboje myślimy tak samo — że Flo dokonała trafnego wyboru. Kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy. Muszę już iść. - Po chwili wahania objął ją, a ona zarzuciła mu rękę na szyję. Opierając głowę na jej ramieniu, powiedział cicho: - Och, Maggie, jaki ja jestem nieszczęśliwy; teraz nie tylko z powodu własnego życia, ale i życia Dona. Boję się myśleć o przyszłości.

Odsuwając go od siebie, wycierała łzy z policzków.

- Nic nie możesz zrobić. Wczorajszy dzień tego dowiódł. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Idź już i zadzwoń do mnie ze szpitala. Zadzwonisz?

Skinął głową i ruszył do drzwi.

Joe Flo i Harvey czekali już na niego w hallu.

- Chciałam z nią zamienić kilka słów, ale nie otworzyła ust - odezwała się Flo na widok Daniela.

- Gdzie ona jest?

- W pokoju śniadaniowym. Pije herbatę. Nie tknęła jedzenia.

- Nie zaszkodzi jej - skomentował ponuro. - Może się pożywić własnym tłuszczem. Pójdź po nią. Powiedz, że czekamy.

- Jest gotowa. Czeka już od godziny, albo dłużej. – Ton głosu Flo zdradzał zdenerwowanie zachowaniem Daniela, ale udała się do pokoju śniadaniowego, żeby wykonać jego „polecenie”.

- Czy wracacie dziś do Londynu? - spytał Joe Harveya, chcąc jakoś rozładować powstałe napięcie.

- Nie ma takiej potrzeby. Wzięliśmy sobie tygodniowy urlop. Jeśli się wam na coś przydamy, możemy zostać. - Patrzył na Daniela.

- Jesteście tu zawsze mile widziani. Decyzję pozostawiam wam.

Z korytarza wyłoniła się Flo, a za nią Winifred, która minęła wszystkich, jakby byli powietrzem, i wyszła z domu, wsiadając od razu do samochodu. Obciągnęła palto, najwidoczniej zabezpieczając w ten sposób łydkę przed dotykiem nogi męża.

Gdy wyjeżdżali z bramy, Daniel odwrócił wzrok od połamanych sztachet i milczał przez całą drogę.

- Tylko nie rób sceny, bo jeśli zaczniesz, zaordynuję ci coś na uspokojenie. Znam lekarstwo na histerię - ostrzegł dyskretnie, kiedy dotarli do szpitala.

- Jeszcze się z tobą policzę, oj, policzę - zagroziła zawziętym głosem, trzymając dłoń na klamce, gdy tylko zaparkował przed frontowym wejściem.

- Myślę, że oboje się ze sobą policzymy. Oby tylko Bóg zesłał ten dzień jak najszybciej.

Od razu ruszyła do szpitala, a on poczekał na wysiadających z drugiego samochodu Joego, Harveya i Flo.

- Chcę się widzieć z doktorem Richardsonem! – usłyszeli natarczywy głos Winifred, gdy weszli do recepcji.

- Niestety, pan doktor właśnie operuje. – Recepcjonistka wymówiła z naciśnięciem słowo „pan”, jakby uczyła obcesową kobietę grzeczności. - Ale jeśli usiądzie pani w poczekalni, poproszę innego lekarza.

- Czy mogłaby nam pani powiedzieć, na którym oddziale leży mój syn? - Daniel już stał przy biurku recepcjonistki, uniemożliwiając Winifred wysuwanie dalszych żądań. - Wczoraj na pani miejscu siedział ktoś inny. Syn był operowany. Nazywa się Coulson.

- Tak. - Skinęła głową. - Wiem, lecz, jak powiedziałam, zechciejcie państwo spocząć, a ja poproszę lekarza.

- Dziękuję.

Daniel wraz z Joem, Flo i Harveyem poszli do poczekalni, Winifred zaś tkwiła uparcie przy biurku recepcjonistki. Dziś zastali w poczekalni kilkanaście osób, a dwójka dzieci urządziła sobie gonitwę wśród stolików. Tylko trzy krzesła były wolne. Winifred zajrzała do środka i wycofała się z powrotem na korytarz. Po wymianie spojrzeń z ojcem Joe wyszedł za nią. Harvey i Flo usiedli, a Daniel stanął przy drzwiach. W poczekalni zapanowała cisza. Biała kobieta była z czarnym mężczyzną, ale z jakim czarnym! Oboje wyglądali jak z żurnala, zupełnie niepodobni do tych mieszanych par z Bog's Endu, które musiały stawić czoło opinii publicznej. Ci byli bezczelnie pewni siebie. Takie odczucia zdradzały twarze wszystkich osób, wśród których znajdowało się tylko dwóch mężczyzn.

- Tato. - Po kilku minutach oczekiwania w drzwiach stanął Joe. Skinął na Flo i Harveya.

Na korytarzu czekał na nich młody lekarz.

- Pan doktor Richardson chciałby się z państwem zobaczyć. Będzie wolny za pół godziny. Teraz możecie państwo pójść do pacjenta, ale tylko na chwilę. Pan Coulson jeszcze nie odzyskał przytomności. Trochę to potrwa. Proszę tedy... Do sali mogą wejść równocześnie tylko dwie osoby.

Zaprowadził ich na oddział. Panował tu wielki ruch i słychać było brzęk naczyń wywożonych po śniadaniu na wózku.

Lekarz zatrzymał się przed drzwiami pokoju, w którym leżał Don, i skinął na Daniela oraz na Winifred. Po cichu wpuścił ich do środka.

Daniel wolno podszedł do łóżka. Don miał tak białą twarz, że wyglądał jak martwy. Do nosa wprowadzono mu rurkę, a dwie inne przymocowano do przedramion. Nogi spoczywały pod budką, chroniącą je od ciężaru kołdry. Daniel zamknął oczy. Czuł ucisk w gardle, a czaszkę rozsadzały mu dwa świdrujące w mózgu słowa: „Jego nogi!” Słyszając, jak Winifred z trudem łapie oddech, spojrzał na nią. Stała po przeciwnej stronie łóżka. Grymas bólu wykrzywił jej twarz, a z oczu płynęły łzy.

Gdy jęknęła, natychmiast pojawiła się pielęgniarka.

- Wychodzimy, proszę. - Delikatnie wzięła Winifred za rękę.
- Chcę tu zostać. Będę przy nim siedzieć – mruknęła oporna kobieta, wyszarpnąwszy rękę.
- Lekarz nie...
- Jestem matką! - syknęła Winifred.

Pielęgniarka spojrzała na Daniela, jakby wzywała go na pomoc.

Gdy się zbliżył, żona szybko ruszyła do drzwi.

- Chcę rozmawiać ze specjalistą - wymamrotała.

Uderzyło Daniela, że nie powiedziała: „z lekarzem” albo „z chirurgiem”, tylko „ze specjalistą”.

- Kiedy... kiedy on odzyska przytomność? - spytał pielęgniarkę.
- Trudno powiedzieć... Nie wiadomo.
- Gdzie leży jego żona, pani Coulson?
- Piętro wyżej.
- Dziękuję.

Po kilku minutach zobaczył Annette opartą na poduszkach i spoglądającą przytomnie. Jedną rękę miała w gipsie, a prawą część twarzy w siniakach, jakby dostała pięścią.

- Tato... - powiedziała słabym głosem.

- Och, dziecino. Och, Boże mój. - Ujął sprawną dłoń synowej i pogłaskał ją.

- Co z Donem? Co z nim? Czy jego stan jest bardzo... bardzo ciężki? Oni... oni mi... nie powiedzą.

- Nic... nic mu nie będzie - skłamał, przetykając ślinę. - Jak... jak zdążyłem się zorientować, ucierpiały jego nogi. Jeszcze nie całkiem doszedł do siebie, ale nic mu nie będzie. Przekonasz się.

Pielegniarka, która wprowadziła go do sali, podsunęła mu krzesło. Skinął w podziękowanie i usiadł, wciąż trzymając drżącą dłoń Annette.

- Och, nie, moje dziecko. Nie płacz.

- My... my...

- Słucham, moje dziecko? - Ucieka... liśmy.

- O tak. I jeszcze raz to zrobicie. Na pewno. Nie martw się.

- Och, tato, dlaczego? Dlaczego?

- Nie, nie! - odezwała się pielęgniarka w reakcji na podwyższony ton głosu Annette. - Powinna się pani zdrzemnąć. Przyniosę coś do picia i odpocznie pani. Sen jest najlepszym lekarstwem.

Daniel cofał się od łóżka. Zaledwie wczoraj Annette była panną młodą, piękną panną młodą, a teraz wyglądała, jakby przez przypadek znalazła się na ringu boksterskim i dostała najgorsze ciosy.

- Jaki jest jej stan? - spytał na korytarzu pielęgniarkę, gdy wyszła z pokoju Annette.

- Odniosła zadziwiająco lekkie obrażenia. Oczywiście jest cała potłuczona, ale ma tylko złamaną rękę. To niemal cud. Za to jej mąż, o ile wiem, jest w bardzo ciężkim stanie. Czy pan jest... jej ojcem?



- Teściem.

- Och, a więc to pana syn?

- Tak, mój... - Głos mu się załamał.

- Co za tragedia. Dopiero co się pobrali i wyjeżdżali w podróż poślubną. To się nie mieści w głowie.

Gdy wyszedł z toalety, miał zaczerwienione oczy, ale zdołał zapanować nad wyrazem twarzy. Wracając do poczekalni, omal nie zderzył się z chirurgiem.

- Ach, jest pan, panie Coulson. Chciałbym zamienić z panem kilka słów.

- Dzień dobry panu, doktorze Richardson. Właśnie odwiedziłem moją synową.

- Miała szczęście. To zdumiewające, że odniosła tak lekkie obrażenia. Czy mogę pana prosić na chwilę do swojego gabinetu?

Daniel w milczeniu ruszył za chirurgiem.

- Proszę spocząć. - Lekarz wskazał krzesło stojące naprzeciwko biurka, a sam usiadł za biurkiem. Położył splecione dłonie na czystym bibularzu i lekko się pochylił. - Niestety, muszę pana poprosić o stanowczość w rozmowie z żoną, w sprawie jej wizyt u syna. Przynajmniej przez kilka najbliższych dni, dopóki nie będziemy mieli pełnej jasności co do jego stanu, trzeba uważać. Informowałem już pana, że najprawdopodobniej nie będzie chodził i że wątroba jest uszkodzona. Szczerze powiedziawszy, ma szczęście, że żyje, jeśli można to tak ująć. Możliwe, że nie potrafi kontrolować czynności fizjologicznych. Poza tym musieliśmy usunąć część płuca. - Przerwał i pogłaskał krawędź bibularza, jakby w ten sposób okazywał współczucie. - Zdaję sobie sprawę, jak ponuro to zabrzmiało, ale chodzi jeszcze o coś więcej.

Uszkodzenia fizyczne, które wymieniłem, mogą być leczone w taki czy inny sposób, jednak dopóki nie odzyska przytomności, nie będziemy znali całej prawdy. - Poklepał się po czole. - Musi pan zadać sobie pytanie, czy wolałby zoba-

czyć syna martwego, gdyż śmierć oszczędziłaby mu czekających go cierpień, czy też chciałby pan, żeby żył, nawet jeśli do końca jego dni trzeba się będzie nim opiekować. No i trudno powiedzieć, jak długo potrwa ta niepewność... Bóg jeden wie. Nie mamy pojęcia, w jakim stanie jest mózg, choć czaszka została tylko lekko uszkodzona. I to samo pytanie musi sobie zadać syn, gdy odzyska przytomność, to znaczy, czy chce mimo wszystko żyć, czy umrzeć. Wola potrafi zdziałać cuda, ale na razie możemy tylko czekać. Jak powiedziałem w czasie poprzedniej rozmowy, najbliższe dni mają decydujące znaczenie, więc stanowczo oświadczam, że pacjenta nie wolno poddawać nadmiernej presji uczuciowej. Jestem zwolennikiem teorii, że nieprzytomny człowiek reaguje na stan emocjonalny odwiedzających go osób, a pańska żona... zresztą pan zna ją najlepiej... naprawdę sprawia wrażenie nadpobudliwej. Mam rację?

- Tak, absolutnie. To fakt, że od dawna ona żyje tylko dla Dona. Mówiąc otwarcie, już od wczoraj jest zdenerwowana, bo uznała, że z chwilą ślubu traci syna. A teraz, gdyby mu się przydarzyło coś naj... - Pomachał ręką, jakby odpędzał uprzykrzoną muchę. - To zbyt skomplikowane, ale dopilnuję, by jej wizyty trwały krótko.

Doktor Richardson podniósł się z krzesła.

- Dziękuję. Muszę powiadomić personel, że jutro i prawdopodobnie pojutrze, tylko pan i żona możecie przyjść na chwilę do syna. Ale ona... - wzruszył ramionami – może mimo perswazji chcieć czuwać przy chorym. Czy przekona ją pan, że obecnie jest to dla niego niekorzystne?

- Tak - przyrzekł, choć już miał przed oczyma scenę, jaką ona urządzi, gdy każe jej stosować się do zaleceń chirurga. Wzdrygnął się na myśl, że kogoś innego Winifred nie posłucha i że gdy znowu zacznie histeryzować, on nie będzie w stanie powstrzymać się przed wymierzeniem jej policzka.

- Nie będę panu zalecał, by się pan nie martwił, bo to nonsens. Oczywiście zapewniam, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by syn odzyskał przytomność. Gdy zaś się to stanie, pomożemy mu pogodzić się z życiem, jakie go czeka - pocieszył go lekarz.

- Dziękuję. Z całego serca dziękuję.

Rozstali się w korytarzu.

Daniel spostrzegł Winifred przy biurku recepcjonistki.

- Będę interweniować. Napiszę skargę do Izby Lekarskiej. Inni mogą czuć przy chorych, przy swoich krewnych. Za kogo się ten lekarz uważa?

Nie tylko dyżurujące pielęgniarki, ale i zgromadzeni w hallu ludzie spoglądali na nią z zaskoczeniem, jakby już wcześniej powiedziała coś równie niestosownego.

- On „tylko” uratował twojemu ukochanemu synowi życie. Twojemu, a nie czyjemu innemu. I oczywiście nikt poza tobą nie cierpi i nie martwi się z jego powodu. Odwiedziłaś Annette? Jasne, że nie. A teraz zabieraj się stąd! - Daniel powiedział to ściszone głosem, lecz każde słowo było jak cios.

Rzuciwszy nienawistne spojrzenie zgromadzonym w hallu ludziom, Winifred ruszyła do drzwi.

- Ośmieszyles mnie - syknęła, gdy podeszli do samochodu.

- Kobieto, nikt nie może cię ośmieszyć, bo sama robisz to najlepiej. Zawsze ci się to udawało. A teraz wsiadaj.

Włączył silnik, a ona wciąż stała na parkingu. Dopiero gdy wrzucił bieg, szarpnęła drzwi i opadła na siedzenie jak ciężki worek. Znowu podczas jazdy nie zamienili słowa. Ledwie Daniel zdążył zahamować przed domem, błyskawicznie

wysiadła z auta. Nie mógł się nadziwić, że przy tej tuszy Winifred ma taki lekki chód. Przebiegła przez drogę dojazdową jak młoda kobieta.

Joe wrócił tuż przed nimi. Natychmiast podszedł do siedzącego w samochodzie ojca.

- Bądź dla niej delikatniejszy, bo inaczej...

- Gdyż co inaczej?

- Na twoim miejscu wezwałbym lekarza. Ona nie może być taka roztrzęsiona, gdyż dojdzie do jakiejś katastrofy - oświadczył, gdy ojciec wysiadł z auta.

- Już dawno doszło - odparł znużonym głosem Daniel.

- W pewnym sensie tak, ale teraz chodzi o to, że po raz pierwszy musi stawić czoło czemuś takiemu.

- Jak każdy z nas.

- Masz rację. Ale czy mogę zadzwonić po lekarza?

- Tak, choć to nic nie da.

Było zbyt wcześnie na drinka. Daniel uznał jednak, że musi sobie zaaplikować nie rozcieńczoną whisky, jeśli chce przekazać Winifred wiadomość, iż nie będzie mogła tkwić przy łóżku Dona w roli niańki.

- Tato - usłyszał spokojny głos Stephena, gdy wypił dwa kieliszki trunku.

- Wcześnie dziś zszedłeś na dół. - Podszedł do syna. Już miał spytać o powód i o to, czy Stephen samodzielnie poradził sobie z poranną toaletą, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

- Gdzie są wszyscy?

- Maggie jest w kuchni, Lily pojechała z Billem do kościoła, a Peggie... - przekrzywił głowę - chyba sprząta łazienkę, ale nie u mnie. Byłem grzeczny. Naprawdę, tato. Byłem grzeczny.

- Dobry z ciebie chłopak. - Daniel położył mu rękę na ramieniu. - Co chcesz teraz robić?

- Chcę... chcę się zobaczyć z Joem. Muszę go spytać o Dona i Annette.

Daniel już dawno zauważył, że ilekroć Stephenowi było ciężko, zwracał się do Joego, a nie do niego - ojca.

- Joe pewnie nie ma czasu. Właśnie wróciliśmy ze szpitala, więc lepiej...

- Tato, nie., nie odsyłaj mnie na górę - wszedł mu w słowo Stephen. - Proszę, nie odsyłaj... Jest mi... jest mi smutno... wszędzie w domu jest mi smutno. Chcę... chcę odwiedzić Dona. Widziałem... widziałem to wczoraj. Ja...

- Wiem - przerwał mu szorstko Daniel. - I jesteś zdenerwowany. Ale spróbuj się uspokoić i nadal bądź grzecznym chłopcem. Obiecuję ci, że jak tylko Don i Annette poczują się nieco lepiej, zawiozę cię do szpitala. Co ty na to?

- Zawieszysz?

- Tak. Obiecuję. Jak tylko poczują się nieco lepiej. Ale musisz być greczny. Wiesz, co mam na myśli?

- Wiem, tato, wiem. Będę greczny - przyrzekł płaczącym głosem ten wieczny chłopiec, zwiesiwszy głowę.

- Idź teraz do Maggie do kuchni, a ja na chwilę pójdę na górę. Jak wrócę, pogawędzimy. Chciałbyś? Albo zagramy w bilard.

- Naprawdę, tato? Zagram z mną?

- Tak, tak, zagram. A teraz już idź.

Stephen uśmiechnął się z zadowoleniem i powłócząc nogami ochoczo udał się do kuchni.

Daniel zerknął na stojącą na kredensie karafkę, lecz po chwili wahania zrezygnował z wypicia trzeciej whisky i ruszył na pierwsze piętro.

- Jesteś tam? - zawołał, zatrzymując się przed drzwiami sypialni Winifred.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wszedł do środka.

Zastał żonę przy toalecie. Często zastanawiał się, dlaczego Winnie przesiaduje przed lustrem i nieodmiennie dochodził do wniosku, że ona po prostu podziwia swoją pozbawioną zmarszczek cerę oraz włosy, w których nie było śladu siwizny. Zastanawiało go, że żona nie stara się zrzucić nadwagi, bo gdyby zeszcupiała, byłaby bardzo efektowną kobietą. Lekarz twierdził, że jej brak dyscypliny w przestrzeganiu diety bierze się ze skrywanych lęków. Daniel nie po raz pierwszy pomyślał, że przez te wszystkie lata wywarły one negatywny wpływ na pozostałych członków rodziny.

Zatrzymał się w nogach łóżka i położył rękę na słupku baldachimu.

- Jestem zmuszony powiadomić cię o czymś.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na jego odbicie w lustrze jak zawsze, kiedy zastawał ją przy toalecie.

- Chodzi o wizyty w szpitalu. Doktor Richardson uważa, że w ciągu najbliższych dni byłoby rozsądnie przychodzić w odwiedziny tylko na chwilę. To mogłoby pomóc Donowi...

- Pomóc? - Gdy wolno odwracała się na krześle, jej tłuszcz zbijał się w fałdy, a mięśnie rąk napinały pod obcisłymi rękawami sukni. Duże piersi zaczęły falować. Ktoś obcy mógłby wziąć to za oznakę chęci uwodzenia, lecz Daniel wiedział aż nadto dobrze, że to tylko sygnał narastającego w żonie gniewu. - Pomóc? Nagle chcesz mu pomóc? Dręczy cię poczucie winy? To ty ułożyłaś mu życie. Ty zarządziłaś ten ślub. Posunęłaś się do ostateczności, byle tylko odsunąć go ode mnie. Ożeniłaś go również po to, by uspokoić swoje sumienie z powodu własnych uczynków, co? - Mówiła wolno, jak zwykle na początku awantury, coraz bardziej podnosząc głos. - Bo nie mogłaś znieść myśli, że chronię jego niewinność, że pilnowałam, by nie poszedł w twoje ślady i nie zaczął się zadawać ze sprośną kobietą.

- Milcz! Zamknij się!

Skoczyła z krzesła jak tygrysica i stanęła w nogach łóżka. Zaczęła szarpać drugi słupek baldachimu, jakby chciała go wyrwać.

- Nigdy tak do mnie nie mów! A teraz posłuchaj. Jeśli mój syn umrze, zabiję cię. Słyszysz? Zabiję! - Już wrzeszczała. - Nie mogłeś się doczekać wczorajszej nocy, kiedy miał zostać splugawiony i zamienić się w mężczyznę, w takiego jak ty rozpustnika.

Dostała cios prosto w usta, ale nawet się nie zachwiała, tylko rzuciła się na Daniela i paznokciami rozorała mu twarz, obrzucając go przy tym tak nieprzyzwoitymi wyzwiskami, że z trudem wierzył własnym uszom. Chwytał ją za gardło, usiłując obezwładnić. Gdy po chwili doszła w nim do głosu nienawiść równa nienawiści, jaką czuła do niego Winifred, stracił panowanie nad sobą. Na szczęście poczuł na sobie czyjeś ręce. Krew zalewała mu oczy. Gdy oprzytomniał, stał przed nim Harvey, a Joe trzymał Winifred - na wpół leżała na szeszlunku w nogach łóżka.

- Sprowadź Maggie! - polecił Joe Peggie, która stanęła w drzwiach sypialni i z przerażeniem rozejrzała się po wnętrzu.

Gospościa zjawiała się w jednej chwili, jakby wyrosła spod ziemi. Spojrzała na zakrwawioną twarz Daniela.

- Zawołaj panią Jackson. Jest w ogrodzie ze Stephenem. I zadzwoń po lekarza! - krzyknęła do Peggie i już normalnym głosem powiedziała do Harveya: - Proszę go stąd wyprowadzić. Proszę.

Daniel nie zaprotestował.

Zatrzymali się przy schodach, zaskoczeni widokiem księdza Cody'ego.

Duchowny miał niewiele ponad trzydzieści lat i wygląd ascety. Zjadał końcówki wyrazów i trudno było rozpoznać jego akcent.

- Słyszałem jakiś hałas. Wpadłem pomiędzy mszami, żeby spytać' o stan zdrowia młodej pary. Boże drogi! Wdał się pan w awanturę, a to nie czas na obwinianie siebie nawzajem. Pańska żona bardzo cierpi. Nie wie pan o tym? Jest jej

potrzebny spokój, zwłaszcza teraz. Te dwie biedne niewinne istoty... Ale słyszał pan... - uniósł rękę - że dzieci są karane za grzechy ojców, nawet do trzeciego lub czwartego pokolenia. W życiu za wszystko trzeba płacić. Bóg się o to stara. Tak. tak...

- Proszę stąd wyjść! - Daniel wyrwał się z uścisku Harveya.

- Nie zrobi pan tego! Nie odważy się! - Wikary uniósł obie ręce. - Nie postępuj tak ze mną, Danielu Coulsonie. Jestem spowiednikiem twojej żony. Z pewnością oczekuje teraz mojej pomocy.

- Jeśli ksiądz nie chce poczuć mojej nogi na swoim tyłku, proszę natychmiast opuścić ten dom. I nie życzę sobie, by ksiądz tu przychodził.

Kapłan spojrzał na Harveya, jakby liczył, że czarny przywoła do porządku tego nieopanowanego osobnika.

- Człowieku, gdybym był na twoim miejscu, już wziąłbym nogi za pas - usłyszał basowy głos.

- Nie zastraszyście mnie. - Ksiądz Cody przesunął spojrzenie z Harveya na Daniela. Gdy ten drugi zbliżył się do niego jednym skokiem, zaciskając pięści, odwrócił się błyskawicznie. - Bóg działa w tajemniczy sposób, ale chroni swoich wybranych. Przekona się pan.

- Niech ksiądz się wynosi do wszystkich diabłów, byle jak najdalej stąd - pożegnał go Daniel.

Spoglądali z Harveyem ze szczytu schodów na ubraną w czarne palto postać.

- Ruszajmy. Trzeba zdezynfekować rany - odezwał się Harvey, gdy ksiądz zniknął w drzwiach, i wziął Daniela pod



rękę. Po chwili dodał: - Obawiam się, że nie pójdzie do wszystkich diabłów. Schodząc ze schodów, przeżegnał się. Widziałeś?

Kiedy indziej taka uwaga wywołałaby śmiech. Winifred nadal wrzała takim gniewem, że niemal nie zwróciła uwagi na to, iż lekarz podał jej środek uspokajający.

- Nawet tygrysica nie działałaby wiele więcej – zażartował medyk na widok twarzy Daniela. - Na wszelki wypadek zrobię panu zastrzyk. - Gdy już wychodził, oświadczył: - Rychło może przyjść dzień, kiedy pańska żona będzie potrzebowała pomocy, szczególnej pomocy. Rozumie pan, co mam na myśli?

Rozumiał to aż nadto dobrze. Chciał tylko, żeby wszystko stało się jak najszybciej.

Około drugiej zjawiał się ksiądz Ramshaw. Nie natknąwszy się na nikogo w hallu, co było czymś niecodziennym, skierował się do kuchni.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Maggie.

- Myślę, że Daniela znajdzie ksiądz w gabinecie. Pozostali są w swoich pokojach.

- Właśnie z nim chcę się zobaczyć. Nie masz pod ręką świeżej herbaty?

- Nie, ale w każdej chwili mogę mieć.

- Będę rad.

Przeszedł przez hall do gabinetu i zapukał.

- To ja - zaanonsował się.

Daniel zdjął nogi ze skórzanej kanapy i usiadł. Na widok jego twarzy osłupiały ksiądz zatrzymał się w pół kroku.

- O mój Boże! Nie... Co ci się stało? Ale czy muszę pytać... - Usiadł na skraju kanapy i kręcąc głową, mruknął pod nosem: - Coś z tym trzeba zrobić. Niestety, chyba tylko jeden Bóg wie, co. Bo wszystko ma swoje granice. Świadczy o tym twoja twarz. Ale czy można być pewnym, że to już tym razem miarka się przebrała? Wyobrażam sobie, jak marnie się czujesz...

- Nie najlepiej. Czy ksiądz przyszedł z powodu swojego asystenta?

- Ma się rozumieć. - Z udawaną srogością spytał: - Czy zdajesz sobie sprawę, że ubliżyłeś wikaremu? O ile się orientuję, posłałeś go do wszystkich diabłów. – Odwrócił głowę. - Czasami żałuję, że nie mam dość odwagi, by samemu mu to powiedzieć. Tylko się nie uśmiechaj, bo będzie cię bolało. - Przez chwilę spoglądał na Daniela w milczeniu. W końcu stwierdził z powagą: - Wygląda na to, że straciła rozum. Dlaczego cię tak podrapała?

- Zrobiła scenę w szpitalu, bo nie pozwolono jej czuwać przy Donie. Lekarz poprosił mnie, bym jej wytłumaczył, że w ciągu najbliższych dni nie może prześadywać przy łóżku chorego dniami i nocami. Poszedłem do niej i spokojnie jej to powiedziałem, ale ona... - Daniel westchnął - obarczyła mnie winą za ten wypadek. Oświadczyła, że gdybym nie wmanewrował Dona i Annette w małżeństwo, to nie jechaliby wtedy samochodem i nic złego by się nie wydarzyło. Według niej ja ponoszę za wszystko odpowiedzialność.

- Danielu, w pewnym sensie ona ma rację, bo tylko za twoją zgodą stali się parą, a wczoraj ich ożeniłeś. Wiem, że brzmi to dziwacznie, ale, jak powiedziałem, w pewnym sensie ona ma rację. Oczywiście twoje intencje były jak najlepsze. To pewne. Chciałeś zapobiec zdominowaniu przez nią Dona. Jeśli można mówić o czymś takim jak kompleks Edypa na odwrót, to chyba ona jest najcięższym spośród znanych mi przypadków. A z kilkoma zetknąłem się osobiście. To wcale nie jest takie rzadkie, choć najczęściej zamaskowane. Bo ileż kobiet traktuje swoje synowe jak ladacznice, miesza się do małżeństwa młodych i przyczynia do jego rozpadu? Znałem taką jedną, która doprowadziła do rozwodu, a to byli katolicy i w ogóle porządni ludzie. Rozdzieliła syna z synową, budząc w nich wzajemną nienawiść. Ale kiedyś młodzi spotkali się przypadkowo na ulicy i on, zgodnie z tym, co mi potem wyznał, powiedział do swojej byłej żony: „Musiałem zgłupieć, że jej słuchałem i Uczyłem się z nią bardziej niż z tobą. Gdybyś tylko zechciała do mnie wrócić, pokażę matce, gdzie jest jej miejsce”. I wiesz, że

przez dziesięć lat byli szczęśliwym małżeństwem? Jednak najciekawsze jest zakończenie tej historii, bo gdy ów człowiek zachorował i zmarł, to matka i synowa stały się najlepszymi przyjaciółkami. Uwierzysz w to? Nie ma nic dziwniejszego od ludzkiej natury. Zresztą wiesz coś o tym z własnego doświadczenia. — Proboszcz przerwał i mocno przycisnął dłoń do świeżo ogolonych policzków. — Obawiam się, że niedługo trzeba będzie stąd zabrać Winifred. Zdajesz sobie z tego sprawę? Przynajmniej na jakiś czas. Potrzebuje specjalnej opieki. To dla jej własnego dobra.

Daniel patrzył na księdza zaskoczony, że ten wypowiedział dręczącą go od dawna myśl. Zresztą usiłował wyperswadować ją sobie za pomocą argumentu, iż nie można uważać, że ktoś potrzebuje pomocy psychiatrycznej, ponieważ nie-normalnie kocha swoje dziecko. Ale czy rzeczywiście nie można? Bo czy ta miłość w końcu nie przyprawiła Winifred o obłęd?

- Słyszałem, że stan Dona jest ciężki. Wygląda na to, że byłoby dla niego lepiej, gdyby Pan go zabrał...

- Na jakiej podstawie ksiądz tak sądzi? Chirurg, doktor Richardson, nie dał za wygraną. Myślę, że...

- Wiem, co myślisz. Gdzie życie, tam nadzieja. Znam tę rodzinę, znam Freddiego Richardsona od dzieciństwa. Nie wiedziałem, że to on opiekuje się Donem, ale wyczułem, że zna ten przypadek. Powiedział mi, że chłopak jest w ciężkim stanie. Danielu, musisz stawić temu czoło i wiem, że potrafisz. Winifred chyba nie. Kiedy tu byłem ostatnio, napomknąłeś, że chcesz od niej odejść, a mnie udało się odwieść cię od tego zamiaru. Jednak teraz wątpię, czy udzieliłem ci najlepszej rady. Czasami żałuję, że nie jestem bliżej Boga, bo gdybym był, wiedziałbym, jak postąpić w takiej sytuacji. Daniel wolno podniósł się z kanapy.

- Myślę, że jest ksiądz tak blisko, jak tylko może być człowiek.

- Och, przestań. Nie miałem na myśli świętości czy czegoś w tym rodzaju. Chodziło mi o moją omyłność.

- Zrozumiałem, o co księdzu chodziło. I coś księdzu wyznam... może dlatego, że czuję się otumaniony i nie wiem, czy to sen czy jawa... ale jest ksiądz moim najlepszym przyjacielem; wie o mnie wszystko - zarówno to, co dobre, jak i to, co złe. I nie sądzę, by cokolwiek, co księdzu powiem, obrócił ksiądz przeciwko mnie. Nawet to, że dziś rano chciałem ją udusić.

- To zrozumiałe, że w takich okolicznościach w człowieku dochodzą do głosu najgorsze instynkty, ale oczywiście trzeba z nimi walczyć. Wiem o tym aż nadto dobrze. – Uśmiechnął się posępnie. - Dziękuję ci, Danielu, że nazwałeś mnie swoim przyjacielem. Naprawdę dziękuję. Czas na mnie, ale... - pogroził mu palcem - zanim wyjdę, muszę cię zganić za obrażanie mojego wikarego i posyłanie go do wszystkich diabłów. To absolutnie musi się skończyć, bo naruszasz mój wyłączny przywilej.

Daniel nie potrafił opanować śmiechu.

- Dobrze, niech ksiądz zachowa ten przywilej dla siebie i trzyma wikarego z dala ode mnie. Od początku go nie znoszę, ale dziś przebrał miarę.

- Najbardziej dotknęło go to, że czarny miał czelność kazać mu wyjść - powiedział z szerokim uśmiechem ksiądz, pochyliwszy się w stronę Daniela i konspiracyjnie zniżywszy głos. - A ja od razu polubiłem tego Mulata. Jaki on ma głos! Aż miło posłuchać. No i zabójczo przystojny. Ma wzięcie. Zwróciłeś na to uwagę? Wczoraj zrobił niezłe zamieszanie, w pozytywnym znaczeniu, co można uznać za zdumiewające. Ludzie wypytywali mnie o niego. Jak to określił jeden stary patyk - ten czarny wysławia się jak prawdziwy dżentelmen. A kobiety! Och! Lepiej nie mówić... Ale co byśmy bez nich zrobili? Jedno wiem na pewno: będą się wstydziły przyjść do mnie do spowiedzi. No, idę. Nie oczekuję cię dziś w kościele. Radziłbym ci wypić dwie podwójne whisky i położyć się do łóżka. Módl się, żeby jutro twoja twarz wyglądała choć trochę lepiej. Oczywiście twoją prośbę trudno będzie spełnić, ale jak wytłumaczysz ludziom, co ci się stało? W

każdym razie postaraj się lepiej jutro wyglądać. Zostawiam cię z tym problemem. Do widzenia.

- Do widzenia.

Daniel usiadł na kanapie. Z pewnością musi się o to postarać, bo kogo oszuka? Nikogo - ani w pracy, ani poza nią.

TLR

## Część druga

TLR

## Rozdział pierwszy



**Don** wpatrywał się w drzwi. Tęsknił za widokiem jednej twarzy, a myśl o zobaczeniu drugiej przerażała go. Jak długo już tu leży? Lata, całe lata; z pewnością sześć lat, a nie sześć tygodni. Ale w rzeczywistości jego świat legł w gruzach przed sześcioma tygodniami.

Wolno uniósł jedną rękę, potem drugą. Nadal miał sprawne ręce i głowę: widział, słyszał, rozmawiał. Posiadał te wszystkie zdolności, lecz do czego były mu teraz potrzebne? Nie dysponował już tym samym co dawniej ciałem. Oczywiście nadal miał płuca, ale o tym, że wciąż są na swoim miejscu, upewniał go ból towarzyszący każdemu oddechowi. I, Boże drogi, nie stracił też pęcherza czy odbytnicy, jednak oddawanie moczu i kału stało się dla niego czymś wstydlivym. Ale gdyby skończyło się tylko na tym... Nie miał przecież nóg. To znaczy nadal istniały, a jakże, i patrzył teraz na sterczące stopy, ale jaki był z tych bezwładnych kończyn pożytek? Dlaczego mu ich nie amputowano, skoro częściowo odjęto tyle innych organów wewnętrznych?

Annette, pospiesz się, pospiesz. Boże spraw, żeby matka dziś nie przyszła. Chciałby się zobaczyć z ojcem i z Joem. Tak. Joe działa kojąco. Wczoraj powiedział, że przywiezie na chwilę Stephen. Na chwilę. Prawie wszyscy wpadali na chwilę. Żałował, że niektórzy nie zostają dłużej i że Annette nie ma tu przez cały czas. Wczoraj siedziała przy nim niemal cały dzień.

I przedwczoraj. Nie, przedwczoraj była tu jego matka. Spojrzał na miejsce, gdzie stało jej krzesło. Głaskała go, poklepywała, szeptała do niego. Niepokoiło go to. Był zbyt słaby, by dawać sobie z nią radę. Nie powinni jej tu wpuszczać. Don musi powiedzieć o tym ojcu, nie ma innego wyjścia. Ojciec go rozumie, Joe też. I oczywiście Annette. Jak dobrze ona go rozumie. Nie lubił jej rodziców, właśnie to odkrył. Ojciec Annette był taki napuszony, a matka, tak jak matka Dona. Została zarażona dewocją. „Zarażona dewocją”... Zabawna myśl. Zdziwiło Dona, że jeszcze przychodzą mu do głowy zabawne myśli -jak choćby ta, by wstać i ubrać się. Pomyślał o tym niedawno, w rzadkiej chwili jasności umysłu. Dokładnie tak pomyślał, choć wiedział, że już nigdy nie wstanie i nie ubierze się. Nigdy. Zaciśnął powieki i modlił się: Boże, spraw, żebym nie płakał. Błagam! Jezu, spraw, żebym nie płakał. I ty. Matko Boska, spraw, żebym nie płakał.

- Don... Don...

- Och, Annette, kochanie! Nie wiedziałem, że już jesteś. - Wyciągnął do niej rękę i lekko, na ile pozwalały mu siły, uściskał jej dłoń. - Och. najdroższa, tak za tobą tęskniłem.

- Nie było mnie tu tylko przez godzinę. Na chirurgii zdjęli mi gips. Spójrz. Muszę chodzić na masażę i na terapię, ale wkrótce wszystko będzie dobrze.

- Tylko przez godzinę? - Zamrugnął powiekami.

- Tak, kochanie.

- Annette, mam taki zamęt w głowie. Wszystko mi się płącze. Czasami potrafię jasno myśleć, ale zaraz pojawia się jakaś dziwna mgła.

- To przejdzie. W ostatnim tygodniu twój stan bardzo się polepszył. Wszyscy są pod wrażeniem.

- Naprawdę?

- Ależ tak, kochanie.

- Czy kiedykolwiek wrócę do domu?



- Oczywiście, najdroższy.
- Mam na myśli nasz dom...
- Wrócisz do naszego domu. Jest urządzony.

Rozejrzał się po białym szpitalnym pokoju. Zerknął na zastawiony kwiatami stół i na kartki z życzeniami, piętrzące się na drugim.

- Annette, już nigdy nie będę chodził - powiedział cicho.
- Ależ będziesz. Są na to środki i sposoby.

- Nie ma. Słyszałem, jak doktor Richardson mówił o tym asystentom, którzy byli przy operacji. Nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa, ale nie straciłem słuchu. Mówił o funkcji odcinka lędźwiowego w kręgosłupie i zadał zebrany pytanie:

„Jaki jest skutek zmiążdżenia kręgów lędźwiowych?”

- Kochanie, nie myśl o tym. Wyzdrowiejesz. Naprawdę. Dopilnuję tego. Nie zapomniałeś chyba, dzięki czemu możemy mieć nadzieję? Nie zapomniałeś?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Absolutnie nie. - Głos mu się ożywił. - Czy rzeczywiście jest tak, jak mi powiedziałaś? Naprawdę tylko złamałaś rękę i potłukłaś się?

- Tak, tylko tyle, najdroższy.

- To cudownie. - Odwrócił wzrok i powtórzył: - Cudownie. Tak musiało się stać, prawda?

- Być może, kochanie, być może - odparła z płaczem. Pochyliła się i dotknęła ustami jego ust, a on przytulił ją do siebie. Po chwili oparła głowę na poduszce i patrząc na niego wyznała: - Kocham cię.

- A ja ciebie uwielbiam. Zawsze uwielbiałem i będę do końca moich dni. - Z oczu płynęły mu łzy.

- Och, najdroższy, będziesz żył, będziesz czuł się coraz lepiej. Posłuchaj... Nie dokończyła, bo do pokoju weszła Winifred.

Głowy Dona i Annette spoczywały na poduszce, ale młoda pani Coulson zaraz usiadła i spojrzała na kobietę, która piorunowała ją wzrokiem.

- Dzień dobry, teściowo - powiedziała spokojnym głosem.

Matka Dona nie odwzajemniła powitania, tylko od razu ruszyła do syna. Podeszła do łóżka z drugiej strony, przyjrzała się Donowi i pochyliwszy się, wolno pocałowała go w usta, a następnie przysunęła sobie krzesło.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Dobrze, matko... Coraz lepiej.

- Przyniosłam ci placek z jabłkami. Przepadasz za nim. Maggie go upiekła. - Ruszyła po pakunek, który położyła wcześniej na stole przy wejściu. - I powiedziałam tym tutaj... - skinęła głową, spoglądając na drzwi - jakie lody lubisz najbardziej.

Don zamknął oczy.

- Matko, oni wiedzą, co powinienem jeść. I są bardzo mili.

- Są mili, ale na niczym się nie znają. Dają ci szpitalne jedzenie. Masz teraz osobny pokój, a dalej karmią cię tym samym. - Spojrzała na Annette. - Och, zdjęli ci gips?

- Tak. - Synowa zgięła rękę. - To nie było zbyt poważne złamanie. Miałam szczęście.

- O tak, miałaś.

Zapadło milczenie.

Gdy na czole Dona pojawiły się krople potu i Annette pochyliła się, żeby je wytrzeć swoją chusteczką, Winifred wstała z krzesła.

- Tak się nie robi - zwróciła synowej uwagę, po czym podeszła do umywalki w rogu pokoju, zmoczyła flanelowy ręcznik i umyła nim twarz syna.

- Matko! Już mnie myto. Proszę, przestań - zaprotestował, gdy zaczęła mu wycierać dłoń, i cofnął rękę.

- Nie wpadaj w podniecenie. Leż spokojnie. - Spojrzała na Annette. - Od jak dawna tu jesteś?

- Od rana.

- Och... Nie ma potrzeby, żebyśmy tkwiły tu obie. Myślałam, że dogładasz domu, żeby wszystko było w porządku.

- Dom jest już urządzony. A poza tym tu jest moje miejsce.

- Siostro! Siostro! - krzyknął Don i nacisnął dzwonek.

- Gdy po chwili do pokoju weszła pielęgniarka, powiedział:

- Czuję się zmęczony.

- Panie pozwolą? - Pielęgniarka wymownie spoglądała na matkę i żonę chorego.

- Annette! Annette! - zawołał Don, gdy zaskoczona, niechętnie ruszyła wraz z Winifred do drzwi.

- Tak, kochanie? - Pospiesznie podeszła do łóżka i pochyliła się nad mężem.

- Nie martw się. Zaraz tu będę. Nie martw się.

- My dwie w pokoju to o jedną za dużo - odezwała się na jej widok czekająca na korytarzu teściowa.

- Absolutnie się zgadzam, ale to ja mam pierwszeństwo. Jestem żoną. Proszę o tym pamiętać.

- Jak śmiesz!

- Śmiem i nie zamierzam ustąpić.

Annette skierowała się do drzwi, na których widniała wizytówka: „Siostra Bell”. Zapukała, a gdy została poproszona, przedstawiła pielęgniarce swój problem.

- Siostró, kto ma pierwszeństwo czuwania przy chorym? Matka czy żona?  
- Oczywiście, że żona. Pani Coulson, proszę się nie niepokoić. Orientuję się, o co chodzi. Poproszę doktora Richardsona o opinię w sprawie dalszych odwiedzin u pani męża jego matki. Przeżywa pani bardzo trudny okres. - Wyszła z za biurka i położyła rękę na ramieniu Annette. - I jest pani bardzo dzielna. Proszę nie płakać i zostawić mi rozmowę z pani teściową. Czy ona czeka na korytarzu?

- Chyba tak.

- Proszę tu zostać, dopóki nie wrócę.

- To mój syn. Zorientuję się w sprawie - usłyszała Annette po kilku sekundach zdanie, do którego już przywykła w ciągu ostatnich tygodni.

Na korytarzu zapadła cisza, lecz pielęgniarka nie wróciła od razu, a gdy się zjawiała, uśmiechała się nieco wymuszenie.

- Proszę wracać do męża. Nie ma już przeszkód.

- Dziękuję, siostró. Bardzo dziękuję. A przy okazji... Kiedy będę mogła zabrać go do domu?

- Och... - pielęgniarka uniosła brwi - obawiam się, że potrwa to jeszcze kilka tygodni. Za parę dni czeka go następna operacja, a w domu przez jakiś czas musi być pod stałą opieką medyczną.

- Rozumiem.

- Jednak nadejdzie ten dzień. Proszę się tego trzymać. Poza tym pani mąż dochodzi do siebie o wiele szybciej, niż się spodziewaliśmy, a ilekroć pani jest z nim, zawsze sprawia wrażenie, że czuje się lepiej.

Annette wróciła do pokoju męża.

Don miał zamknięte oczy. Zorientował się, że ktoś wszedł dopiero, gdy wzięła go za rękę.

- Och, Annette. Co ja mam z nią począć?

- Nie przejmuj się tym. Siostra się tym zajmie.

- Matka wyprowadza mnie z równowagi. Nie potrafię zapanować nad nerwami. Przeraża mnie myśl, że ona tu znowu przyjdzie. Co ja mam zrobić?

TLR

- Leż spokojnie i zdrzemnij się. Pomyśl, że za kilka tygodni będziesz w domu. Będziesz na pewno. - Ujęła jego dłoń w swoje. - Ciagle żyję myślą, że wkrótce cię tam zabiorę.

- Jak sobie ze wszystkim poradzisz?

- Och... - roześmiała się - jeśli nie masz większych zmartwień, to przestań o tym myśleć. Będę miała pomoc, ale nawet gdybym została sama, podołałabym obowiązkom. Przekonasz się, co potrafię.

- Ale jak długo to wytrzymasz, kochanie?

Patrzyła na niego w milczeniu. Pytanie dotyczyło dwu różnych spraw, jednak nie potrafiła odgadnąć, którą z nich Don ma na myśli.

- Tak długo, jak długo będzie trzeba - odparła równie zagadkowo. - A teraz, najdroższy, zamknij oczy i śpij. Chyba nie chcesz, żeby mnie też wyrzucili z tego pokoju?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią.

Uniosła rękę Dona i przyłożyła ją do piersi.

## Rozdział drugi



Wysłuchaj mnie, moje dziecko - powiedział Daniel do Annette i otoczył ją ramieniem, gdy ruszyli do zaparkowanego przed szpitalem samochodu. - Chyba nikt bardziej ode mnie nie pragnie, żeby przewieźć Dona od razu do waszej willi. Uwierz mi, kochanie. Ale lekarz wypisze go do domu tylko pod warunkiem, że będzie miał zapewnioną właściwą opiekę. Oczywiście możesz wynająć pielęgniarki, które będą czuwały przy Donie w dzień i w nocy, jednak jedna osoba na dyżurze to za mało. Nie zapominaj, że Dona trzeba podnosić i odwracać, no i nie potrafi utrzymać moczu oraz kału. Nie się pod tym względem nie zmieni do końca jego dni. Ma tak uszkodzą wątrobę, płuca i klatkę piersiową, że nigdy nie będzie mógł o własnych siłach siadać i kłaść się. Doktor Richardson godzi się na wypisanie Dona ze szpitala tylko z tego powodu, iż pobyt tu działa na niego depresyjnie - głównie dlatego, że nie może cię widywać dostatecznie często. No i nie zapominaj, że zdjęli ci gips z ręki całkiem niedawno. Raczej nie będziesz mogła pomagać pielęgniarce przy podnoszeniu Dona, natomiast w naszym domu zawsze możesz liczyć na Joego i na mnie. Rozważyliśmy wszystko z Joem i on podsunął pomysł, żebyście tu zamieszkali. Pamiętasz pokój wypoczynkowy obok sali bilardowej? Jest duży i jasny; ma dwa wysokie okna, które wychodzą na ogród. Przylega do niego pokój, w którym kiedyś trzymaliśmy rzeczy potrzebne do prowadzenia oranżerii. Joe uważa, że pokój wypoczynkowy można przerobić na wygodną sypialnię. Już nawet przeniósł tam z piętra łóżko i zaproponował, żeby położyć dodatkowe materace, które podwyższą je do wysokości łóżka szpi-

talnego. Łatwiej będzie Dona podnosić. A w tym pokoju obok można urządzić salonik. Znasz zamiłowanie i talent Joego do konstruowania różnych urządzeń technicznych. Powinien był zostać inżynierem elektrykiem... Powiedział, że założy wewnętrzny telefon, który połączy twój salonik z jego pawilonem i z moim apartamentem na piętrze. Zawsze, w razie potrzeby, będziemy pod ręką. Oczywiście tylko w razie potrzeby.

- A co... z teściową? - spytała Annette z goryczą, przystanawszy na chodniku. - Zacznie przesiadywać w sypialni Dona, a ja nie będę mogła liczyć na pomoc pielęgniarek i lekarzy, bo to jej dom.

- To mój dom.

- Tato, nie dziel włosa na czworo, Ja... tego nie wytrzymam. Mamy już dość utarczek z nią. I wiesz, jak Don czuje się w jej towarzystwie.

- Wiem, kochanie, ale obiecuję, że wprowadzę stosowne zasady współżycia i wyegzekwuję ich przestrzeganie. Poza tym, jeśli zacznie je łamać, można ją postraszyć między innymi tym, że przeprowadzicie się do willi. Ruszajmy, moje dziecko. Zgódź się przez jakiś czas mieszkać u mnie wraz z Donem. To dla jego dobra. Myśl o tym w ten sposób.

- Tato, nie mogę, bo to głównie z powodu matki jest stale podenerwowany. Musisz to brać pod uwagę.

- Ależ biore, biore, tyle że na razie nie widzę innego wyjścia. Don może nadal przebywać w szpitalu lub wrócić do swojego dotychczasowego domu. Jak powiedziałem, będziecie mieszkali u mnie przez jakiś czas, dopóki Don nie zacznie korzystać z wózka inwalidzkiego. Pamiętaj o tym. – Znowu otoczył ją ramieniem. - Chodź. Tak dzielnie się spisujesz. Chcę ci tylko pomóc. Jestem tym wszystkim bardzo przybity.

- Tato, przepraszam, jeśli cię uraziłam.

- Co słyhać u twoich rodziców?



- To, co zwykle. Matka marudzi, usiłując znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego doszło do tego wszystkiego. Ojciec zresztą też, choć głównie jej kibicuje.

Odwrócił ją do siebie i spojrzał jej w oczy.

- Są dla ciebie mili? Rozumieją twoją sytuację?

- Są mili na swój sposób, ale nic nie rozumieją. Nigdy mnie nie rozumieli i nigdy nie będą.

- Chodźmy. Podwiozę cię - odezwał się po chwili milczenia.

- Myślałam, że jedziesz do Newcastle w interesach?

- Jadę, ale mogę cię podrzucić.

- Wezmę taksówkę.

- Daj spokój. Idziemy do samochodu.

Po pięciu minutach byli już przed bramą domu rodziców Annette.

- O ósmej wpadnę po ciebie do szpitala. Dobrze?

- Tak. Dziękuję, tato.

Pomachał jej, zawrócił i ruszył w kierunku Newcastle, a faktycznie na Bowick Road 44 w Fellburn.

Maggie otworzyła mu natychmiast, jakby stała za drzwiami i czekała na niego, co zresztą było prawdą. Objęli się i namiętnie pocałowali.

- Zmarzłeś. Mam gorącą zupę - odezwała się trzeźwo.

- Zrobiło się zimno. Na Boże Narodzenie może spaść śnieg.

- Daj. - Wzięła od niego palto oraz kapelusz i powiesiła je na wieszaku w korytarzu.

Gdy wróciła do pokoju, ponownie się objęli.

- Usiądź. - Wskazała dwuosobową sofę w rogu pokoju, naprzeciwko kominka, w którym żarzył się węgiel.

Daniel skorzystał z zaproszenia. Wysunął nogi i spoglądał w ogień. Usadził się wygodnie, opierając głowę na sofie, i westchnął ciężko.

- O której wyszłaś? - krzyknął do krzątającej się w kuchni Maggie.

- W południe.

- Co?! Byłaś gotowa, zanim pojechałem do pracy.

- Tak, ale musiałam się zająć Stephenem. Wiesz, jak się zachowuje, kiedy wychodzę z domu, zwłaszcza w moim wolnym dniu. Zjawił się w kuchni w szlafroku. Akurat byłam w swoim pokoju, ale usłyszałam go. Jak zwykle przed napadem złego humoru mówił podniesionym głosem. Powtórzyła się stara historia: chciał pójść ze mną do miasta albo odwiedzić Dona. Nigdy nie należało mu tego obiecywać. On pamięta takie rzeczy. Przecież dawno temu zostało postanowione, że nie będzie mu się obiecywało niczego, czego nie można spełnić. Ale wyobraź sobie, że Winifred niespodziewanie zjawiła się w kuchni i Stephen zaczął histeryzować. W żaden sposób nie można go było uspokoić. Rzucił się po podłodze jak trzylatek. Znasz to. Matka wymierzyła mu policzek.

- Co?!

- Uderzyła go, ale miała rację. W tym przypadku na pewno. Od razu przestał się miotać, jednak zaczął beczeć, więc poszłam z nim na górę, kazałam mu się wykapać i ubrać. A później rozmawiałam z nią.

- I co? - zachęcił ją, przysuwając się bliżej drzwi, bo umilkła.

Wniosła do pokoju tacę z dwoma talerzami zupy i postawiła je na nakrytym stoliku na wprost kominka.

- Zapukałam do jej apartamentu. Wyglądała przez okno. Miała rozpuszczone włosy. Nigdy dotąd nie widziałam jej z rozpuszczonymi włosami. Daniel, ona płakała. Płakała.

- Można to zrozumieć. - Podszedł do stolika. - Użala się nad sobą, że nie może robić, co jej się podoba, i mieć syna tylko dla siebie.

- Gdy spytałam, czy nie ma nic przeciwko temu, bym zabrała Stephena na krótki spacer, stwierdziła, że przecież to mój wolny dzień - ciągnęła Maggie, nie patrząc na Daniela. - Powiedziałam, że to żaden problem, bo nie mam nic spe-

cyjnego do zrobienia, ale nie zareagowała na to. Zmieniła temat. Wiesz, co mi powiedziała? - Maggie znowu patrzyła na Daniela, - Powiedziała: „Maggie, kiedyś to był szczęśliwy dom, prawda?”

- Przeklęty „szczęśliwy” dom! Nigdy nie był szczęśliwy, nawet na samym początku. Chciała, żebym go kupił, by mogła się nim chwalić i mieć gdzie ukrywać Stephena.

- Wiem, wiem, ale dla niej porównanie przeszłości z teraźniejszością wypada na korzyść przeszłości. A kiedy powiedziała: „Życie nie jest sprawiedliwe”, odparłam: „Nie, psze pani, nie jest”. Następnie spytała mnie, czy jestem szczęśliwa, więc zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że bywam, ale rzadko, bardzo rzadko. Danielu, po raz pierwszy w życiu zrobiło mi się jej żal. Ona ma coś na swoją obronę. Nie potrafi zmienić uczucia wobec Dona, tak jak my nie mamy wpływu na nasze wzajemne uczucia. - Położyła dłonie na jego ramionach. - Bądź dla niej uprzejmy. Lily zwierzyła mi się, że nie znosi obsługiwać was podczas posiłków, bo oboje rozmawiacie tylko z Joem. Lily powiedziała, że niedawno rozmowa waszej trójki przy stole była tak wymuszona, jakby spotkali się nie ludzie, ale kukielki. Mówi, że jeśli nie jesz razem z nimi, to Joe i Winifred rozmawiają ze sobą normalnie. Atmosfera się poprawi, gdy wprowadzi się Annette, ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby od czasu do czasu wpadała pani Jackson z panem Rochesterem. On nawet twoją żonę potrafi rozśmieszyć.

- Jakie to dziwne, że jest ci jej żal. - Zdjął ze swoich ramion jej dłonie i trzymał je złączone.

- Jest mi jej żal i mam wyrzuty sumienia.

- O Boże! Maggie, daj sobie z tym spokój. Nie bądź obłudna.

- Wiesz, że nie jestem. - Wysunęła dłonie z jego rąk. - Codziennie ją widzę i obserwuję. Przeważnie zachowuje się sztucznie. Nie lubię jej i nigdy nie lubiłam. Nie tylko dlatego, że cię kocham. Nie lubię jej jako kobiety. Zachowuje się jak typowa parweniuszka i jest egoistyczna. Ma mnóstwo przykrych cech, ale potra-

fię zrozumieć jej miłość do syna... nie, to nie jest miłość, lecz przywiązanie czy mania... Ileż to razy, mój Boże, żałowałam, że nie mam syna, którego mogłabym kochać do szaleństwa... Twojego syna.

- Och, Maggie, Maggie. - Objął ją i oparł głowę na jej ramieniu.

- Zupa całkiem wystygnie. Siadaj. Na pewno jesteś głodny jak wilk - prychnęła i odsunęła się.

- Jestem, ale nie chodzi o jedzenie.

- Och... - Uśmiechnęła się i gładząc go delikatnie po ramieniu oświadczyła: - O tym też trzeba będzie pomyśleć, ale obowiązuje jakaś kolejność. Siadaj i jedz.

**Gdy** stanął przy drzwiach, dochodziła szóstka.

- Maggie, tak jak każdy człowiek, nie jestem panem swojego czasu i nie wiem, ile go dostałem, ale oddałbym

resztę mojego życia za kilka tygodni spędzonych z tobą w tym domu. -  
Uśmiechnął się. - No, może niekoniecznie w tym, bo nie mógłbym równocześnie  
dzielić go z Helen. Ucałuj ją ode mnie.

- Nic z tego, mogę ją najwyżej serdecznie pozdrowić. Dobranoc, mój drogi.  
Uważaj na siebie. Jest mroźno. Może być ślisko...

Ledwie znalazł się w hallu, podszedł do niego Joe. Daniel miał wrażenie, że  
tak jak wcześniej Maggie, tak teraz syn czekał na niego za drzwiami.

- Tato, możemy porozmawiać?

- Oczywiście. O co chodzi? Wejdźmy do gabinetu.

- Po południu była tu Annette. Rozmawiała z mamą. Wiem tylko tyle, że  
zgodziła się na przywiezienie tu Dona pod warunkiem, że będą mieli zagwaran-  
towane nieco czasu wyłącznie dla siebie. Pielęgniarka ma zostać zatrudniona tyl-  
ko na dzienną zmianę, bo w nocy Annette może wezwać na pomoc mnie albo  
ciebie. Wszyscy będziemy zajmować się Donem wieczorem, po wyjściu pielę-  
gniarki i rano, zanim ona przyjdzie. Annette nie powiedziała mi, jak mama to  
przyjęła, tylko oświadczyła, że tak zostało ustalone. Ale nie uwierzysz, jaka  
potem zaczęła się krzątanina. Mama kazała Lily i Peggie posprzątać pokoje Dona  
i Annette, a nawet przyprowadziła Stephena, żeby pomógł mi poprzestawiać me-  
ble. Sugerowałem, żeby się wstrzymać do twojego powrotu, ale powiedziała, że  
dzięki pomocy Stephena dam sobie radę bez ciebie, bo on jest silny. To prawda i  
potrafi zrobić coś pożytecznego, jeśli ma na to ochotę. Oczywiście był zachwy-  
cony.

- Dobrze! Świat się zmienia.

- Tato. - Joe wyciągnął do niego rękę. - Mama sprawia wrażenie takiej jak  
kiedyś... odmienionej, szczęśliwej - wzruszył ramionami - to znaczy na tyle, na  
ile ona potrafi być szczęśliwa. Tato, postaraj się panować nad sobą, przynajmniej  
do czasu...

Daniel patrzył mu w oczy - temu życzliwemu człowiekowi o nienagannych manierach. To było zdumiewające, że dwoje ludzi, których kochał i z którymi nie łączyły go więzy krwi, wstawiało się u niego za Winifred uważając, że ona ma coś na swoją obronę.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Nie należę do tych, którzy niszczą zgodę. Ale jak myślisz, co się stanie, kiedy prysną złudzenia? Znajac Winifred wiem, że tak będzie. Dziwię się tylko, że balon jeszcze nie pękł. No cóż, do tego potrzeba tylko szpilki. Pęknie. Zobaczysz. Ale dobrze... dobrze, postaram się panować nad sobą i obiecuję, że ja nie będę go nakłuwał.

TLR

## Rozdział trzeci



Złudzenia przysły szóstego dnia po powrocie Dona ze szpitala, a od pierwszej chwili było jasne, że Winifred postanowiła nie rozmawiać z Danielem do końca życia oraz ignorować Annette.

Na początku doszło do drobnego spięcia przy okazji wstawiania do sypialni Dona drugiego łóżka. Było przeznaczone dla Annette, a w czasie zmiany pościeli miał na nim leżeć Don. Wieczorem w przeddzień powrotu Dona ze szpitala, łóżko zostało przeniesione do sąsiadującego z sypialnią saloniku. Oczywiście na polecenie Winifred zrobili to Bill i John. Jednak to nie Daniel kazał z powrotem umieścić je tam, gdzie było, gdyż zanim się o wszystkim dowiedział, Joe załatwił sprawę. Bardzo przejęty rychłym zjawieniem się brata w domu, zdemontował łóżko, przeniósł je do sypialni i postawił na dawnym miejscu, korzystając z pomocy Stephena.

Winifred wpadła w gniew przekonana, że wszystko stało się na polecenie męża. Gdy zaś dowiedziała się, że to sprawka Joego, zaczęła go besztać.

- Jak śmiałeś!

Jednak zanim zdążyła powiedzieć więcej, Joe odezwał się w taki sposób, że przez chwilę nie potrafiła wydobyć głosu.

- Mamo, oni są małżeństwem. Nic na to nie poradzisz. Annette jest jego żoną, ma prawo spać u boku męża. Jeśli przyjmiesz to do wiadomości, od razu poczujesz się lepiej. I atmosfera w domu się poprawi.

Taka odpowiedź musiała zaskoczyć Winifred, a może nawet wprawić ją w osłupienie, bo do tej pory tylko Joe spośród wszystkich domowników rozmawiał z nią uprzejmie, a nawet starał się łagodzić napięcia.

W pośpiechu wyszła z sypialni Dona, a łóżko zostało.

Codziennie rano nagabywała w hallu przychodzącą na dyżur pielęgniarkę, udzielając jej zbędnych wskazówek.

Siostra Pringle, kobieta w średnim wieku, z długoletnim doświadczeniem zawodowym, spotykała już takie nadopiekuńcze matki, więc z uśmiechem potakiwała i dalej robiła swoje.

Po tym „instruktażu” Winifred zjawiała się w pokoju śniadaniowym. Żaden kłopot nie był w stanie odebrać jej apetytu. Przeciwnie, im bardziej coś ją dręczyło, tym więcej jadła. Dopiero gdy była najedzona, szła do chorego syna. Zwalczyła w sobie pokusę wchodzenia do sypialni Dona w szlafroku, tuż po przebudzeniu, bo bała się, że nie zniesie widoku tej dziewczyny zbyt blisko syna. Mogłaby nawet zastać ją leżącą z nim w łóżku. W ciągu minionych tygodni Annette Allison zmieniła się tak bardzo, że zupełnie nie przypominała tej zaręczonej z Donem, cichej wychowanki klasztoru, jakby wraz ze ślubem natychmiast wydoślała. Poza tym Winifred musiała się wyrzec całowania i pieszczenia Dona, bo gdy się ożenił, zachowywał się tak, jakby go to oburzało. Nie chciała zauważyć, że już od dawna reaguje w taki sposób na jej bliskość.

Nie zaprotestowała przeciw ustaleniu, że Daniel i Joe będą zmieniać pościel w łóżku Dona, ale gdy dowiedziała się, iż mycie chorego nie należy do obowiązków pielęgniarki, oznajmiła Annette, że ona, matka, będzie to robiła.

- Mnie Don nie pozwala, więc i matce nie pozwoli - powiedziała na to dziewczyna.

W ciągu tych pięciu dni Winifred nieraz miała ochotę wymierzyć policzek młodej, pewnej siebie Annette. Nigdy nie powiedziałaby o synowej, że jest piękna, bo nie uważała jej za taką. Dla niej Annette nie była nawet ładna.



Podążając przez hall do sypialni Dona, by złożyć mu poranną wizytę, jak zwykle zbierała siły do walki, a gdy usłyszała dochodzący zza drzwi śmiech, zacisnęła szczęki.

Weszła do środka i stała przez chwilę w milczeniu, obserwując, co się dzieje. Jej najstarszy syn, Stephen - bez wątplenia był jej synem, choć nie mogła znieść tej prawdy - stał odwrócony plecami do Dona.

- Don, klepnij mnie w tyłek, klepnij. Maggie zawsze tak robi, gdy jestem grzeczny. No, klepnij, bo jestem grzeczny od chwili, kiedy wróciłeś do domu - powtarzał ze śmiechem.

Ani pielęgniarka, ani Annette nie zareagowały na jej wejście. Śmiały się, spoglądając na Dona, który po raz któryś spełnił życzenie brata.

- To na zapas, za cały dzisiejszy dzień - oznajmił Don.

- Tak. Dziś też będę grzeczny. Zobaczysz. Będę. A jutro pomogę cię podnieść. Pytałem tatę o pozwolenie. On mówi, że jestem silny jak byk. Pomogłem Joemu przenieść tu drugie łóżko. Tak. Pomogłem! Pomo...

- Stephen!

- Tak, mamó? - Najstarszy syn odwrócił się natychmiast, zeszywniały ze strachu.

- Idź do swojego pokoju.

- Dopiero... dopiero przyszedłem. A... a Don lubi, jak tu jestem. Rozśmieszam go.

- Idź na górę.

- Idź. - Don skinął na niego. - Przyjdiesz później. Na kawę i ciastka czekoladowe. Odpowiada ci?

- O tak. Lubię ciastka czekoladowe. - Stephen podszedł szybko do drzwi, okrążając matkę.

- Musi pani być wobec niego stanowcza. Nie może tu wchodzić, kiedy mu się spodoba. Męczy Dona – Winifred pouczyła pielęgniarkę, po czym odwróciła się do chorego syna, jakby nie oczekiwała od niej odpowiedzi.

- Matko, Stephen mnie nie męczy. Przyjmuję go tu z przyjemnością - oświadczył spokojnie.

- Jak się czujesz? - Zignorowała tę uwagę i podeszła do niego.

- Dobrze spałem. Naprawdę dobrze, bez porównania lepiej niż w szpitalu. Wkrótce będę siedział na wózku inwalidzkim. Wczoraj siostra wspominała o tym. Co siostra na to?

- Całkiem możliwe, choć zależy to od tego, jak będzie się pan sprawował. Musi pan być grzeczny jak pana brat. - Pielęgniarka przeniosła wzrok na Annette. - A teraz możecie państwo dalej rozwiązywać krzyżówkę. Wychodzę do halu, zatelefonować. Potrzebuję nowych leków i chcę porozmawiać z doktorem Richardsonem.

- O czym pani chce z nim rozmawiać? - spytała Winifred.

- Muszę zdać relację ze stanu zdrowia pacjenta - poinformowała spokojnie pielęgniarka.

- Może pani powiedzieć to mnie, a ja mu przekażę.

- Przykro mi, pani Coulson, ale wypełniam swój obowiązek. Wykonuję polecenie doktora Richardsona.

- Ma pani tupet.

- Przykro mi, że pani tak uważa. Jeśli ma pani jakieś zastrzeżenia...

- Siostro. - Annette stała po drugiej stronie łóżka. Przestała układać kwiaty w wazonie na stole przy oknie. - Proszę robić to, co siostra uważa za stosowne. I nie sądzę, żeby cechował panią tupet. Mój mąż jest pani bardzo wdzięczny za opiekę. Prawda, Don?

- Tak. Jestem bardzo zadowolony - mruknął. Drżały mu usta. - Proszę... proszę wybaczyć matce. Ona nie zna szpitalnego reżimu. - Zmusił się do uśmiechu. - Nigdy nie leżała w szpitalu przez długie tygodnie.

Pielęgniarka wyszła.

W sypialni zapanowała atmosfera wzajemnej wrogości.

- Coś trzeba z tym zrobić. Już nie mam nic do powiedzenia we własnym domu. - Winifred spazmatycznie wciągnęła powietrze.

- Matko! Na litość boską, czy możesz się uspokoić?

Jeśli znowu zaczniesz, poproszę o przewiezienie z powrotem do szpitala. Nie, nie... - Potrząsał głową w taki sam sposób jak Stephen podczas napadu hysterii. - Przeniesiemy się do willi. Zrobimy to. - Chwytał Annette za rękę i dodał niemal z płaczem: - Nie wytrzymuję tych utarczek. Druga pielęgniarka będzie przychodziła na noc i zatrudnimy kogoś takiego jak John - człowieka do wszystkiego. Pielęgniacza. Tak.

- Przepraszam. Nie denerwuj się, proszę. Naprawdę przepraszam. To... się już nie powtórzy.

Don i Annette zdawali sobie sprawę, ile te słowa musiały Winifred kosztować.

- Proszę, niech teściowa postara się zaakceptować sytuację. Wszystko potoczy się wtedy gładko - odezwała się pojednawczo Annette. - Don... chce matkę widywać. Prawda, kochanie? - Spojrzała na niego.

Skinął głową.

- Gdyby tylko teściowa... - Przerwała, bo z wyrazu twarzy Winifred wyczytała, że dalsza przemowa nie ma sensu. Pani Coulson pospiesznie zmierzała do drzwi.

- Annette, nic z tego nie będzie - odezwał się Don.

- Będzie, kochanie. Przyzwyczajai się, jestem tego pewna. Ale zajmie to trochę czasu. Do pewnego stopnia rozumiem jej wzburzenie. Ukradłam cię jej. Gdyby ktoś próbował mi ciebie zabrać, czułabym... to samo co ona.

- To niemożliwe!

Oczywiście miał rację. Annette nigdy nie potrafiłaby wzbudzić w sobie tego rodzaju emocji, które opanowały Winifred. Z teściową było coś... Nie potrafiła znaleźć na to właściwego określenia.

- Nie wolno ci się zadreć. W tym wszystkim to jest najważniejsze. Nie wolno. Sam powiedziałaś przed chwilą, że możemy się przenieść do willi. I któregoś dnia, kochanie, zrobimy to. Jak wiesz, od razu chciałam cię tam zabrać.

- I szkoda, najdroższa, że uległaś namowom. Wielka szkoda.

Ona też teraz tego żałowała... Ale byli tu, choć wiedziała, że nie potrwa to długo, bo scena, którą Winifred urządziła przed chwilą, oznaczała zaledwie drobną zapowiedź tego, co mogło się zdarzyć. I zdarzyło się tego samego dnia - wieczorem, o wpół do dziesiątej.

**Winifred** nie mogła się uspokoić. Kolejna osoba spośród przebywających w jej domu, czyli pielęgniarka, była przeciwko niej. Teraz wyłącznie służący zachowywali się wobec Winifred uprzejmie. Niestety, nie przyszło jej do głowy, iż jest tak tylko dlatego, że im za to płaci. Nawet Joe całkowicie trzymał stronę tej dziewczyny. Ale oczywiście musiał...

Poczuła głód. Od czasu, gdy jadła po raz ostatni, minęły dobre trzy godziny. Musi coś przekąsić. Zeszła na dół. W domu panowała grobowa cisza. Tylko z piwnicy dobiegał warkot bojlera. Wkroczyła do kuchni. Nie zastała tu nikogo. Maggie bez wątplenia była w swoim pokoju, a Lily w stróżówce, bo kończyła pracę o ósmej. Peggie Danish z pewnością jeszcze się nie położyła. O tej porze

mogła pójść tylko do Stephena, spodziewając się, że zajrzy tam również Joe. Winifred postanowiła mieć tę dziewczynę na oku. Uważała ją za straszną gąskę.

Otworzyła lodówkę. Był w niej tylko kupiony w sklepie pasztet cielecy i ser, który należało zjeść od razu, bo po otwarciu opakowania nie nadawał się do dalszego przechowywania. Po zjedzeniu tego sera zwykle nie mogła spać.

Ukroiła kawałek pasztetu i położyła na talerzu. Nie lubiła jeść w kuchni, więc ruszyła do jadalni, ale po drodze postanowiła pójść do oranżerii. Na niebie świecił księżyc. Uznała, że będzie przyjemnie przekąsić właśnie w oranżerii. Potem postanowiła wejść na chwilę do sypialni Dona. Tylko na chwilę.

Światło księżycyca nieco rozjaśniało panujący w oranżerii mrok. Usiadła na krześle i zaczęła pałaszować pasztet. Gdy skończyła, oblizwała końce palców i wytarła je chusteczką. Przez chwilę spoglądała na ogród. Drzewa pokrywała tak gruba warstwa szronu, że wyglądały jak obsypane śniegiem. Winifred rzadko było zimno, ale teraz przeszył ją dreszcz. Otuliła się szczelniej szlafrokiem i ruszyła do drzwi. Zanim do nich dotarła, zatrzymała się i spojrzała na te drugie, prowadzące do pokoju przerobionego na salonik Annette, który przylegał do sypialni Dona. Dlaczego by tam nie zajrzeć? Zaskoczy ich i sprawdzi, jak się zachowują, a zwłaszcza ta dziewczyna, bo z pewnością nie przepuszcza okazji sypiania obok Dona. To dlatego nie chciała zatrudnić pielęgniarki na nocnym dyżurze.

Przy stanie zdrowia Dona leżeć w łóżku przylegającym do jego łóżka! To było odrażające!

Szybko podeszła do drzwi, otworzyła je ostrożnie i zatrzymała się. W saloniku panował mrok. Tylko spod drzwi prowadzących do sypialni Dona sączyło się słabe światło. Dotarcie do nich nie nastęczało trudności, bo środka saloniku nic nie zagrażało. Winifred wyciągnęła rękę i ruszyła w kierunku światła. Wymacała klamkę i otworzyła drzwi.

Zamarła w bezruchu na widok syna i synowej w jednym łóżku. Ta dziewczyna, ta zuchwała dziewczyna była naga! A on trzymał rękę na jej brzuchu! Synowa przyciskała ją obiema dłońmi!

Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, Annette ześliznęła się z łóżka i sięgnęła po szlafrok.

- Nie! Zostań tak jak jesteś! - krzyknął Don.

Przez chwilę stała niezdecydowana, trzymając w ręku szlafrok.

Winifred nie potrafiła się pogodzić z tym, co zobaczyła. To nie mogło się zdarzyć! Ta jedna myśl świdrowała jej w mózgu. Wypadek miał miejsce w chwili ich wyjazdu z domu w podróż poślubną. Niemożliwe, że... Nagle przyszło jej do głowy przerażające wytłumaczenie. Czuła się tak, jakby wyłaniało się ono z mroków jej umysłu i rozrywało go na strzępy niczym eksplozja. Nie mogła uwierzyć własnym myślom.

- Ty rozpustna dziwko! Ty sprośna kreaturo! Jesteś w ciąży i wrabiasz w to mojego syna! Ty podła...

- Przestań! - Don opierał łokcie na poduszce, żeby łatwiej było mu trzymać w górze dłonie. - Kobieto, uspokój się!

Zbliżyła się do łóżka i zaczęła wrzeszczeć:

- Nigdy! Nigdy! Znam ciebie. Zapomniałeś, że jestem twoją matką? Byłeś posłuszny, porządny, niepokalany...

- Niepokalany? Do jasnej cholery!

- Don, leż spokojnie. Poradzę sobie sama.

Annette, już w szlafroku, podeszła do niego, jednak nie spełnił jej prośby, lecz na tyle, na ile mógł, podciągnął się na rękach.

- Kobieto, posłuchaj! - krzyknął do matki. - Choć raz posłuchaj! Dziecko jest nasze... moje. Żyjemy ze sobą od roku. Od roku. Jak myślisz, co to znaczy? To, że robiliśmy to pod twoim nosem! Niczego takiego się nie spodziewałaś, co? Jej matka traktowała ją jak westalkę, ty zaś usiłowałaś mnie zmusić do noszenia pie-

luszki, a my byliśmy ze sobą przez okrągły rok! Wiemy, kiedy to się stało. - Gwałtownie odwrócił głowę. -I pragnąłem tego. Chciałem, żeby doszło do wybuchu. Słyszysz? Do wybuchu, który wyrwałby cię z mojego życia!

- Don! Dość tego! Przestań! Połóż się.

- Leżę wystarczająco długo. I jeszcze jedno musisz wiedzieć: mam za sobą cudowny rok. Nazywam go rokiem niepokalanego życia.

Winifred już nie rozpoznawała w tym mężczyźnie swojego syna. Był ordynarny i sprośny jak jej mąż. Ale jedno wiedziała na pewno. Tak się zadurzył w tej dziwce, że po prostu ratował jej dobre imię.

- Nie wierzę w nic, co powiedziałeś! Mnie nie oszukasz.

Chronisz ją!

Gdzieś na końcu korytarza trzasnęły drzwi. Doszła do wniosku, że to drzwi do pawilonu Joego.

- To jego dziecko? Dziecko Joego. Tak! Zawsze chciał cię mieć. I miał cię, ile razy chciał! Z pewnością miał cię nawet wtedy, gdy niby to byłaś zaręczona z Donem. To Joe. Dziewczyno, powiedz mi prawdę. Nie powiesz, bo jesteś przeżarta kłamstwem. Jesteś ordynarną, rozpustną flądą. Ty...

Gdy Joe wszedł do sypialni, zaczęła go obsypywać obelgami.

- Wrabiasz mojego syna w twoje sprośne uczynki?!

- O co chodzi? - Zmieszany, odwrócił się do Dona.

- Nie zadawaj takich pytań, tylko popatrz na jej brzuch! Ale oczywiście wiesz, o co chodzi! Jesteś bękartem, więc jej też zrobiłeś bękarta! - wrzasnęła Winifred, nie dopuszczając Dona do głosu.

- O mój Boże! - Don niemal stracił oddech. Opadł na poduszki, z trudem wydobywając z siebie słowa. - To... wariatka, absolutna wariatka. Zawsze nią była. Joe, wyprowadź... wyprowadź ją stąd... Natychmiast.

Joe nie ruszył się z miejsca. Patrzył na swoją przybraną matkę, w duchu wyznając Bogu, że żałuje, iż to, co powiedziała o dziecku Annette, nie jest prawdą.

- Kiedyś się cieszyłaś, że zjawił się w tym domu czyjś bękart. Poza tym to całkiem co innego być dzieckiem z nieprawego łoża niż bękartem własnych rodziców. Pomyśl o tym. A teraz idę spać - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Chwyciła ze stołu karafkę z wodą i wycelowała w głowę Joego. Trafiła go w ucho, a gdy się odsunął, ruszyła do niego z wyciągniętymi rękami, jakby chciała wydrapać mu oczy.

- Na litość boską, co tu się dzieje?! - Do pokoju wbiegł Daniel.

Dużo czasu upłynęło, zanim wspólnie z Joem wyprowadzili Winifred z sypialni Dona. Wyrывała się i obrzucała ich najgorszymi obelgami. Gdy w końcu udało im się wyjść do hallu, widok rozhisteryzowanej pani domu sprawił Peggie Danish w osłupienie. Natomiast Maggie nie okazała zdenerwowania. Z kamienną twarzą przyjmowała obelgi Winifred, starając się unikać wymierzanych przez nią kopniaków, gdy pomagała prowadzić ją po schodach. Bała się tylko, by we czwórkę z powrotem nie stoczyli się po stopniach do hallu.

- Dziewczyno, rusz się! Zadzwoń po lekarza! – krzyknęła do Peggie, trzymając się jedną ręką poręczy.

Na piętrze było im nieco łatwiej prowadzić rozhisteryzowaną, opierającą się kobietę do jej sypialni.

- Szybko! - Daniel popędził syna, otworzył kopniakiem drzwi i wepchnął Winifred do środka. Wyjął z zamka klucz i zamknął drzwi od zewnątrz. Gdy przystanęli, ciężko dysząc, w pokoju rozległ się przenikliwy krzyk, a zaraz po nim trzask rozbijanych przedmiotów. Odsunęli się, bo coś ciężkiego uderzyło w drzwi. Daniel odwrócił się do Joego. - O co poszło?

- Nareszcie otworzyła oczy i przyjrzała się Annette. Zjawilem się pod koniec awantury, więc nie wiem, jak to się zaczęło - warknął w odpowiedzi przybrany syn.

- Zdemoluje pokój - zaniepokoiła się Maggie, gdy po raz drugi coś ciężkiego uderzyło w drzwi.



- Niech zdemoluje. - Daniel ruszył na schody.

Don był upiornie blady i roztrzęsiony.

- Co się stało? Jak się zorientowała? - spytał Daniel Annette.

- Byłam rozebrana. Pewnie spostrzegła, że Don trzyma rękę na moim brzuchu - wyznała, spuszcżając głowę. - Teściowa przysłała tu z oranżerii. Zaskoczyła nas.

- Kiedyś musiała się dowiedzieć. - Daniel starał się pomniejszyć problem.

- Tato, jutro przewiożę Dona do willi. - Annette spojrzała mu w oczy.

- Może nie być takiej potrzeby. Oczywiście wymagana jest opinia drugiego lekarza, ale i tak Winifred zostanie stąd zabrana. Od dawna byłem na to przygotowany.

**Gdy** po upływie pół godziny do apartamentu Winifred wszedł prowadzony przez Maggie lekarz, osłupiał. Przystanął w drzwiach i rozejrzał się po wnętrzu. Spośród znajdujących się tu rzeczy chyba tylko łożo z baldachimem nie zostało zniszczone. W poprzek materaca leżała kobieta, która od lat była jego pacjentką i której z umiarem przepisywał leki, bo wiedział, że i tak jej nie pomogą.

Po chwili ruszył do łoża. Zatrzymał się po tej stronie, po której spoczywała głowa pani domu.

- Pani Coulson, wszystko w porządku - przemówił łagodnie, dotykając jej czoła. - Proszę usiąść. Proszę usiąść.

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, obojętna, lecz ton głosu zdradzał przeżywany wstrząs.

- On jest niepokalany. Pilnowałam go - zaczęła mówić, jakby lekarz wiedział, co zaszło. - To... - Odwróciła głowę i zacisnęła powieki, jakby z wysiłkiem coś sobie przypominała. Po chwili gwałtownie wstała z łożka i krzyknęła: - To jego sprawka! Chciał, żeby syn był taki sam jak ojciec! Nie potrafił znieść czy-

jejś niewinności! Nie, nie... - Potrząsała głową jak ktoś, kto postradał zmysły i chwyciła lekarza za rękę. – To Joe. Zobacz pan, że się przyzna. On jej to zrobił. Zawsze chciał ją mieć.

- Tak, tak. Proszę usiąść. - Posadził ją delikatnie na skraju łóżka i zerknął na Maggie, a następnie na swoją walizkę, którą wcześniej postawił na podłodze.

Maggie położyła walizkę na łóżku.

Gdy otworzył ją i zaczął czegoś szukać, Winifred skoczyła na równe nogi.

- Nie uśpi mnie pan. Jeszcze nie skończyłam, oj, nie skończyłam. Mam wiele do zrobienia. Rozniosę ich na kawałki i wszystko w tym domu. Jak to załatwię, już nie da się tu żyć.

- Tak. Porozmawiamy o tym jutro. Proszę usiąść.

Gdy się cofnęła, przez chwilę spoglądał na nią bezradnie, po czym, nie spuszczać z niej oka, cicho poprosił Maggie o przywołanie mężczyzn.

Czekali za drzwiami, więc zjawili się od razu.

Na widok Daniela i Joe Winifred zaczęła z furią rozglądać się za czymś, czym mogłaby w nich rzucić.

Gdy skoczyła do toaletki, zrzucając na podłogę flakony i kryształowe pudernice, mąż i syn podbiegli do niej. Schwytali ją i trzymali z całej siły. Znowu zaczęła ich obrzucać najgorszymi wyzwiskami, ale nie reagowali, spokojnie czekając, dopóki lekarz szybkim ruchem nie wbije igły w tłustą rękę. Po zastrzyku nie opierała się zbyt długo. Gdy środek usypiający zaczął działać, osunęła się na podłogę.

Lekarz odetchnął głęboko, spoglądając na jej bezwładne ciało.

- Oczywiście musi zostać przewieziona do szpitala i to zanim się obudzi. Zadzwoń po karetkę.

- Do okręgowego? - spytał cicho Joe, wpatrując się w poskręcane ciało matki, które kojarzyło mu się teraz bardziej z ciałem zwierzęcia niż człowieka.

- Jeśli nie tam, to do Hetherington. W jej przypadku ten drugi szpital byłby nawet lepszy, ale wszystko zależy od tego, gdzie mają wolne miejsce. Lepiej szybko się dowiedzieć - odparł doktor Peters.

Daniel przez cały czas milczał. W ciszy, jaka zapadła, gdy Joe i Maggie opuścili wraz z lekarzem apartament Winifred, nadal wpatrywał się w uśmiechniętą żonę. Nawet nie zauważył, że syn i gosposia obserwowali go i że Maggie wzięła Joego za rękę porozumiewawczym gestem. Daniel był zatopiony w myślach. Szukał odpowiedzi na dręczące go pytania.

Czy ponosi winę za to, co się stało? Nie. Nie mogło tak być, bo nigdy nie zadawałby się z innymi kobietami, gdyby Winifred zachowywała się jak żona. Ale czy kiedykolwiek była oddaną żoną? Czy bardziej niż męża nie pragnęła poczucia bezpieczeństwa i wysokiej pozycji społecznej? A kiedy zaczęły się poważne kłótnie i wzajemne oskarżenia? Z chwilą, kiedy zorientowała się, że Stephen jest opóźniony w rozwoju. Poza tym, czy była prawdziwą żoną wtedy, kiedy grała rolę matki wobec adoptowanego Joego? Była, ale tylko dzięki wyrażonemu żądaniu Daniela.

Ilu kobiet użył z powodu jej oziębłości? „Użył” to było właściwe określenie, bo nie łączyła go z nimi ani czułość, ani namiętność. Niewykluczone, że ksiądz Ramshaw zna dokładną liczbę, bo dobrze pamięta spowiedzi. A Daniel, ilekroć zszedł z drogi cnoty, zawsze się spowiadał. Czy dlatego, że bał się kary boskiej, czy też z powodu sympatii do księdza, którego uważał za człowieka rozumiejącego innych? Reczywiście ten duchowny go rozumiał, nawet jego skomplikowany związek z Maggie. Jak do tego doszło, że Daniel się w niej zakochał? Z pewnością stało się to wtedy, gdy podjęła tu pracę. Jednak dopiero w ostatnich latach powoli zaczęło to docierać do jego świadomości. Gdyby tylko dała mu wcześniej do zrozumienia, że go kocha, nie musiałby tak pokalać swej duszy, bo nigdy zbyt długo nie utrzymywał kontaktów z jedną kobietą. Mimo że miał pieniądze, kwitnącą firmę, piękny dom i zyskał powszechny szacunek - skąpiło mu go zaledwie

kilka osób, w tym ojciec Annette - miał za sobą piekielne życie. Piekielne, ponieważ uważał, że tak naprawdę liczy się tylko miłość. Nie jest ważne nawet to, czy człowiek potrafi się podpisać, czy jest głuchy lub ślepy, bądź tępy, bo jeśli rzeczywiście kogoś kocha i jest kochany, umie znieść własne ułomności.

Odwrócił wzrok od żony. Czy ona kocha Dona? Nie. Jest opanowana przez obsesję zachowania go dla siebie, a nawet przez uczucie bliskie kazirodztwa. Miłość to całkiem coś innego. Ale co?

Rozejrzał się po pokoju, jakby mogło mu to pomóc znaleźć właściwą odpowiedź.

- Miłość to dobroć. Tak, to jest miłość – powiedział głośno.

To życzliwość, chęć niesienia pomocy, sympatia do kogoś ze względu na niego samego, zdolność wybaczenia. Nigdy by się o tym nie dowiedział, gdyby w jego życiu nie pojawiła się Maggie. Jakże to wszystko dziwne. Zawsze tu była, lecz dopiero teraz zaistniała dla niego jako ktoś bliski.

Postawił przewrócone krzesło. Ale gdy sięgnął po leżący na podłodze, roztrzaskany obraz, znieruchomiał, bo przyszło mu do głowy, że jutro będzie dość czasu na posprzątanie tej sypialni. W domu zapanuje spokój i nic, daj Boże, nie zakłóci go pojutrze, przez najbliższy tydzień, miesiąc...

Znowu spojrzał na żonę. Świadomość, że Winifred wkrótce zostanie stąd zabrana, a także widok leżącego na podłodze, poskręcane go ciała, obudziły w Danielu chęć przeniesienia jej na łóżko. Ludzki odruch nakazywał mu ułożyć żonę na pościeli w normalnej, wyprostowanej pozycji, bo te bezładnie spoczywające na parkiecie członki pozbawiały Winifred godności. A żona Daniela Coulsona, nawet gruba, poruszała się z godnością damy. Niestety, na myśl o dotknięciu jej ciała poczuł nagłe obrzydzenie. Będą musieli podnieść ją sanitariusze albo Joe czy lekarz, bądź ktokolwiek inny.

Pobiegł do drzwi, potykając się o rozbite meble.

Na korytarzu czekał na niego Joe, jak zawsze gotów pospieszyć z pomocą.

- Niedobrze mi - wymamrotał Daniel.

Syn chwycił go za rękę i zaprowadził do łazienki na korytarzu. Trzymał za głowę wymiotującego Daniela, a potem posadził go na krześle i przemył mu twarz zimną wodą.

- Tato, na twoim miejscu poszedłbym do łóżka. Zrób to. Ja się wszystkim zajmę.

- Nie. Dotrwam do końca. Lekarz jakoś długo dzwoni.

- Don był tak roztrzęsiony, że doktor Peters musiał mu podać środek nasenny. Teraz uspokaja Annette, która nie czuje się dużo lepiej od Dona.

Daniel wstał z krzesła i poprawił ubranie.

- Dziwne, że Stephen potrafił to wszystko przespać - oznajmił, prostując krawat.

- Nie. Jest z Maggie w kuchni. Zszedł do hallu, kiedy wszyscy byliśmy w sypialni matki. Gdy go tam zobaczyłem, stał sparaliżowany strachem.

Słyszając dochodzące z dołu głosy, w pośpiechu opuścili łazienkę.

W hallu lekarz rozmawiał z dwoma sanitariuszami.

- Chyba nie czuje się pan na siłach pojechać z nami do szpitala? Ale ktoś musi nam towarzyszyć. Może pański syn? - zasugerował na widok pobladłego Daniela.

- Nie, ja pojedę.

- Bardzo proszę.

Lekarz i dwaj sanitariusze ruszyli w ślad za Joem do sypialni Winifred, a Daniel został w hallu, borykając się z myślą, że to jeszcze nie koniec, że będzie musiał dostarczyć żonę do szpitala.

W domu panowała grobowa cisza. Tykanie wysokiego stojącego zegara tylko ją potęgowało. Właśnie trzykrotnie rozległ się dźwięk wahadła. Była za kwa-

drans dwunasta. Don pograżył się w głębokim śnie, który miał potrwać do rana. Także Stephen już spał, podobnie jak Peggie. Maggie zaś wycofała się do swojego pokoju, choć jeszcze się nie położyła. Nie zamierzała tego robić, dopóki nie usłyszy przed domem warkotu samochodu Daniela. Joe i Annette również nie spali. Siedzieli w salonie na sofie naprzeciwko kominka. Tkwili tu od jakiegoś czasu, bo chcieli porozmawiać, jednak żadne nie wiedziało, jak zacząć.

- Przykro mi, że zostałeś w to wmieszany, ale ona nie miała pojęcia, o czym mówi. Wiesz, o co mi chodzi? - odezwała się w końcu Annette, kierując wzrok na Joego, który opierał łokcie na kolanach w charakterystyczny dla niego sposób i pochylał głowę.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Nie potrafił się uwolnić od pragnienia, by w tym, o co oskarżała go Winifred, było ziarno prawdy.

- Wiem, wiem. Wysunęła przeciwko mnie niedorzeczny zarzut, ale, jak to ujęłaś, nie miała pojęcia, o czym mówi. Poza tym... poza tym zawsze traktowałaś mnie jak młodsza siostra.

- Och, kiedyś wcale cię tak nie traktowałam! – odparła z bladym uśmiechem. - Nie pamiętasz, że snułam się za tobą jak cień? Jako czternastolatka żywiłam w stosunku do ciebie coś w rodzaju namiętnej miłości.

- Z pewnością było to „coś w rodzaju” namiętnej miłości, a nie namiętna miłość - odparł z wymuszonym uśmiechem.

- Joe, nie zachowuj się jak idiota. Nadal siebie nie doceniasz. To absurd. Taką Irenę Shilton... Wystarczy, żebyś skinął na nią palcem. Czy Jessica Bowbent. - Zawahała się, po czym dodała: - Powinieneś się ożenić i wyprowadzić z tego domu. - Potrząsnęła głową i utkwiała wzrok w kominku. - Zostaw ich wszystkich... nas wszystkich... Stephena, bo to problem taty, Dona, gdyż... teraz ja jestem za niego odpowiedzialna, i samego tatę. Jeśli tego nie zrobisz, to wkrótce kłopoty nas wszystkich będziesz dźwigał na swoich barkach.

Kiedy spojrzała na niego, miał ochotę wziąć ją w ramiona i wyznać: „W każdej chwili mógłbym zacząć dźwigać twoje kłopoty na swoich barkach. Gdybym wiedział, że jest na to szansa, czekałbym tak długo, jak długo trzeba”.

- Joe, oni wszyscy ciebie wykorzystują, bo jesteś zbyt dobry. Zawsze taki byłeś. Uważasz, że masz wobec nich jakieś zobowiązania, ponieważ cię przygarneśli. A według mnie wobec nikogo nie masz żadnych zobowiązań. Odpłaciłeś im samym sobą - wypełniając pustkę w ich życiu.

- Możliwe, ale wypełniałem ją bardzo krótko. - Ze smutkiem pokręcił głową.  
- Gdy urodził się Don, przestał istnieć problem pustki. Odczułem to jako dziecko, choć nie miałem i nie mam o to żalu do Dona. Kochałem go i nadal Kocham.

- Och, Joe, Joe... - Wyciągnęła do niego rękę.

- Annette, nie płacz, proszę... - Uścisnął jej dłoń, choć zrobił to po chwili wahania. - Wszystko się ułoży. Zobaczysz. Pomożemy mu. Poczuj się lepiej.

- Joe, nie oszukuj się i nie próbuj oszukać mnie - powiedziała z wysiłkiem, szcękając zębami. - Usta jej drżały, a po policzkach płynęły łzy. - On nigdy nie poczuje się lepiej. Gdyby chodziło tylko o nogi, byłaby jakaś nadzieja, ale on ma popękane wnętrzości. Wiesz o tym. On też wie. I tak samo jak ja zdajesz sobie sprawę z tego, że on nigdy nie poczuje się lepiej.

- Annette. Och, moja droga... - Gdy oparła głowę na jego ramieniu, objął ją. Najwyższym wysiłkiem woli starał się zapomnieć o jej słowach. Kochał Dona. Nadal traktował go jak rodzzonego brata, choć ten zajął jego miejsce w życiu Annette. Przysunął usta do jej włosów. - Don jeszcze długo pożyje. Zadbamy, żeby zdążył nacieszyć się swoim dzieckiem i widział, jak ono dokazuje.

Miał pod ręką jeszcze wiele zwyczajowych słów pocieszenia, ale Annette odsunęła się i otarła łzy.

- Joe, jesteś najlepszym człowiekiem na świecie. - Dotknęła jego policzka. - Potrafię ci wyznać różne rzeczy bez uczucia wstydu. Nie czułam się zażenowana, gdy ci powiedziałam, że jestem w ciąży. A teraz nie obawiam się zdradzić ci

swoich obaw. Boję się jutro pójść do domu... to znaczy do domu moich rodziców... Jeszcze nie odzwyczaiłam się od myśli, że to również mój dom... Wiesz, co będzie, jak im powiem o dziecku? Wyrzekną się mnie.

- To niemożliwe!

- Joe, wyrzekną się. Pod jednym względem moja matka jest podobna do waszej. Jej wiara jest chora. Od pewnego czasu już się nie modlę. Nie proszę Boga o zdrowie dla Dona, ani o cokolwiek innego, bo całe moje dzieciństwo i lata dziewczęce upłynęły na modlitwach - rano, w południe, wieczorem, przy stole, w domu, poza domem... i na czytaniu ksiązek religijnych. Znam żywoty wszystkich świętych i ich męczeństwa. A okres spędzony w szkole klasztornej... W czasie Wielkiego Postu codziennie rano musiałam być na mszy i przyjmować komunię. Mogłabym mdleć z głodu, a matka i tak kazałaby mi przystąpić do komunii. Nawet zakonnice nie wymagały, żebym robiła to codziennie, choć pewnie widziały w tej pobożnej dziewczynce przyszłą świętą. A ja coraz bardziej nienawidziłam Boga. Byłam opanowana przez przerażające, straszne uczucia. Myśli, jakie przychodziły mi do głowy na temat Najświętszej Marii Panny, przyprawiały moje sumienie o nieopisane udręki. Chciałam tylko od tego uciec. I w dniu ślubu oboje z Donem sądziliśmy, że udało nam się uciec od naszego dotychczasowego życia. Ale, jak często powtarza matka, Bogu nie wolno uragać. Po wypadku zaczęłam wierzyć, że ona ma rację i że spotkała nas kara. Teraz już tak nie myślę. To ludzie sprowadzają na siebie nawzajem nieszczęścia. Bóg nie ma z tym nic wspólnego. I to z powodu ich słów i uczynków odsuwamy się od niego czy zwracamy przeciwko niemu. Tak czy inaczej, rozumiesz, Joe, dlaczego przeraża mnie jutrzejsze spotkanie z rodzicami. Ale... boję się również tego domu. Mam przeczucie, że grozi nam tu jakieś niebezpieczeństwo. - Rozejrzała się z uznaniem po salonie.

- To piękny dom, jednak napawa mnie dziwnym lękiem. Chcę się stąd wyprowadzić i być daleko od teściowej. Teraz jej tu nie ma, lecz czuję, że wkrótce



się zjawi. A po jej powrocie raczej nie moglibyśmy dalej mieszkać tu z Donem. Dlatego muszę go stąd zabrać. Rozumiesz?

- Rozumiem, moja droga. Rozumiem. Ale nie martw się. Teraz musisz przede wszystkim troszczyć się o siebie i o dziecko... i o Dona.

- Oczywiście. Zanim dziś doszło do tej awantury, zamierzaliśmy cię o coś spytać. Już postanowiliśmy, że się stąd wyprowadzimy i chcielibyśmy, żebyś przeniósł się z nami do willi. Co ty na to?

Ile bólu można znieść, nie dając nic po sobie poznać?

Przynajmniej w swoim pawilonie Joe mógł znaleźć schronienie, mógł uciec do niego w każdej chwili. Wpadał do domu, robił, czego od niego oczekiwano, podtrzymywał kontakty rodzinne.

- Chyba nieprędko się stąd wyprowadzicie - odparł wymijająco. - Sprawy tak się potoczyły, że nie musisz go zabierać do willi.

- Więc nie przeniesiesz się?

- Annette... - Spojrzał jej w oczy i wziął ją za rękę. - Zrobię wszystko, o co poprosisz, żebyś mogła czuć się szczęśliwa. - Ale zaraz osłabił tę deklarację, dodając:

- Ty i Don.

## Rozdział czwarty



Msza dobiegła końca. Mszał został przeniesiony na drugą stronę ołtarza. Ksiądz nakrył kielich, uklęknął przed tabernakulum i wyszedł do zakrystii, poprzedzany przez dwóch ministrantów. To była msza poranna, o ósmej, i w kościele znajdowało się zaledwie kilkanaście osób regularnie w niej uczestniczących - z jednym wyjątkiem.

Po zdjęciu komży ksiądz Ramshaw nie skierował się jak zwykle do bocznych drzwi, by przejść na plebanię i zjeść śniadanie - zawsze jadł je z apetytem - lecz wrócił do kościoła. Wiedział, że jeden z parafian wciąż tkwi na swoim miejscu.

- Gdybyś usiadł jeszcze trochę dalej, znalazłbyś się na dworze - mruknął, spoczywając obok Daniela w ostatniej ławie. - Co słyszeć? Wyglądasz strasznie.

- Bo czuję się strasznie.

- Co się stało tym razem?

- Wczoraj wieczorem Winifred zwariowała; kompletnie. Zorientowała się...

- Że?

- Że Annette jest w ciąży... że będzie miała dziecko...

- Wiem, wiem. Nie musisz mi tego tłumaczyć. Dziwi mnie tylko, dlaczego Winifred spostrzegła to tak późno. Co jej się przydarzyło?

- Nie chciała przyjąć do wiadomości, że to dziecko Dona. - Daniel patrzył na ołtarz. - Oskarżyła o wszystko Joego i w histerii rzuciła się na niego. Gdy zamknęliśmy ją w sypialni, zniszczyła wszystko, co się dało. Zabrali ją do szpitala okręgowego.

- Do okręgowego?! Boże drogi! Boleję, że tak się to wszystko skończyło, choć nie jestem zaskoczony. Jakoś dojdzie do siebie w tym piekle. Bóg natchnie ją otuchą. Nienawidzę tam chodzić. Nie żal mi tych naprawdę obłąkanych, bo czują się szczęśliwi wierząc, że są Churchillami, Czang Kajszekami czy tak zwanymi gwiazdami telewizyjnymi. Współczuję tym, którzy przechodzą okresowe załamanie, bo mają świadomość własnej sytuacji. Winifred należy do tej kategorii pacjentów. - Proboszcz zacisnął dłoń na oparciu ławki, jakby musiał się czegoś przytrzymać. Zmrużył oczy i spojrzał na Daniela. – Czy to wyrzuty sumienia przywiodły cię na poranną mszę?

- Dlaczego miałbym mieć wyrzuty sumienia? Ksiądz zna moje życie.

Ksiądz...

- Znam wystarczająco dobrze. Nie jesteś całkiem bez winy. Spytaj samego siebie, dlaczego przyszedłeś tak wcześnie do kościoła, skoro, jak sięgam pamięcią, nigdy jeszcze nie byłeś w dzień powszedni na mszy. Tak, Danielu, ty też ponosisz winę za to, co przydarzyło się Donowi. Nie tylko Winifred. W jakiś sposób wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za grzechy innych. Chodzi o to, że najpierw jesteśmy odpowiedzialni za nasze myśli, bo one podsuwają nam określone słowa. Pytam cię, czy to, co mówimy, nie ma wpływu na ludzi i zdarzenia? Jasne, że nie zawsze świadomie doprowadzamy do nieszczęścia. Ale zastanów się nad sobą, Danielu. Chciałeś uwolnić syna od zaborczej matki i do czego to doprowadziło? Wiem, że przerysowuję sytuację i to w chwili, w której uważasz, że masz prawo do współczucia. Jednak chcę ci uświadomić, że nie jesteś wolny od winy.

Daniel patrzył na księdza ze zdumieniem. Przyszedł tu po odrobinę otuchy. Wrócił do domu o drugiej w nocy i nie mógł zasnąć. W szpitalu zobaczył tylko jedną salę, ale jej wygląd i głosy pacjentów nie dawały mu później spokoju. Gdy spytał lekarza o możliwość umieszczenia Winifred w oddzielnej sali, ten odparł,

że przy obecnym stanie nerwów pacjentki nie wchodzi to w grę, a poza tym nie ma tu izolatek. A teraz jego drogi przyjaciel tak go traktuje!

- Odnoszę wrażenie, że ksiądz stanął nagle po jej stronie - oświadczył urażony.

- Danielu, ja nie jestem po niczyjej stronie. Jak zwykle stoję z boku. Powstrzymuję się od wydawania ocen, prosząc Sędziego, by czuwał nad przestrzeganiem zasad. Ale muszę przyciągnąć Jego uwagę. Obawiam się że i On, jak wielu ludzi, myśli, że przyznałem sobie prawo sądenia, więc nie patrzmy w moją stronę Danielu, ja jestem zwyczajnym człowiekiem, a nie kimś nawiedzonym i nie aspiruję do takiej roli. Nie dzielę ludzi na świętych i grzeszników. Większość z nas jest zdolna i do złego, i do dobrego.

Nigdy wcześniej żadne z używanych przez księdza Ramshawa porównań nie zirytowało Daniela. Teraz zaś zaprezentowany przez kapłana punkt widzenia, że prawda leży pośrodku, mógł tylko zwiększyć jego napięcie.

- Nie będę księdza zatrzymywał. Na pewno chciałby ksiądz zjeść śniadanie - oświadczył, przerywając milczenie i wstał, ale proboszcz szarpnął go za rękaw i przygwoździł do siedzenia.

- Śniadanie może poczekać, a poza tym nie zdołałbym niczego przełknąć, gdybyś wyszedł stąd urażony. Posłuchaj... - Odwrócił się do Daniela i położył mu rękę na ramieniu.

- Wiem, co przeszedłeś z nią przez te wszystkie lata. Nawet usprawiedliwiłem sposób, w jaki się przed nią broniłeś, bo uważam, że powinienem cię rozgrzeszyć z tych twoich szaleństw z kobietami. Ilekroć słuchałem tyrad Winifred na temat jej syna, Boga i dobroci serca, dochodziłem do wniosku, że na twoim miejscu robiłbym to samo. Niech Bóg mi wybaczy. Ale żał mi każdej ludzkiej istoty, która dźwiga brzemień nienormalnej miłości do kogoś. Winifred nie potrafiła nad nią zapanować, tak samo jak Don i Annette nad swoimi instynktami. Jeśli chcesz wiedzieć, jestem po twojej stronie, ale podtrzymuję to, co powiedział-

łem - że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za grzechy innych. I nie należy przystępować do spowiedzi w przekonaniu, że z chwilą wyznania Bogu grzechów za pośrednictwem kapłana już nie ma się nic na sumieniu. Tak nie jest, ale protestanci myślą, że my tak uważamy. - Powrócił do swobodniejszego sposobu bycia. - Według nich katolik jest przekonany, że jeśli wyzna księdzu podczas spowiedzi, że popełnił morderstwo, to ten mu odpowie: „Ach, popełniłeś morderstwo? Nic się nie martw. Porozmawiam o tym z Bogiem i wymaże to z twojego konta. Możesz nadal robić, co ci się podoba”. Dałem skrajny przykład, ale oczywiście chodzi również o pijaństwo, nierząd czy o przychodzenie na niedzielną mszę bez poczucia, że należy się przeprosić z sąsiadami, krewnymi i tak dalej. - Poklepał Daniela po ramieniu. - Za wszystko w tym życiu trzeba płacić. Jestem z tobą, przez cały czas. Pamiętaj o tym. A teraz jedź do domu, weź kąpiel, bo nie jesteś taki wymuskany jak zwykle, zjedz dobre śniadanie i weź się do pracy. Praca to jest to. Nie ma lepszego środka na kłopoty. - Uścisnął dłoń Daniela i odprowadził go do drzwi. Wzdrygnął się i zażartował na pożegnanie: - Jest tak zimno, że można by zamrozić bekon w kuchence. Z pewnością w Boże Narodzenie będziemy mieli śnieg. Nie cierpię śniegu. Jedź ostrożnie. Strasznie dziś ślisko.

Ciekawe, że ludzie zawsze powtarzają to sobie nawzajem:

„Jedź ostrożnie. Strasznie dziś ślisko”, jakby ostrzegali się przed tym, jakie jest życie.

- Do widzenia. Dziękuję księdzu.
- Do widzenia, Danielu.

**Lily** i **Peggy** sprzątały zdemolowaną sypialnię **Winifred**.

- O Boże! Na to też się rzuciła. - **Peggie** podniosła z podłogi szklaną pudernicę.

- Kompletnie poprzestawiało się jej w głowie. To był dla mnie szok - wyznała Lily.

- Według mnie poprzestawiało się jej dawno temu. Chyba oślepla, że wcześniej tego nie zauważyła. Od jakiegoś czasu panna Annette tylko wymiotuje i przeważnie jest biała jak papier. Ale zobaczysz, co będzie, jak nie da się już tego ukryć. W kościele zrobi się gorąco...

John Dixon i Bill White byli w szklarni. Też rozmawiali o wczorajszych wydarzeniach.

- Jeszcze nie spaliśmy, jak do stróżówki dotarł jej wrzask - zaczął Bill. - Nie poszedłem tam, bo myślałem, że to ich zwykła awantura. Ale kiedy przyjechała karetka, poleciałem. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wynieśli ją na noszach. Myślałem, że zabierają ją do normalnego szpitala, ale nie, zawieźli ją do okręgowego. Mój Boże! Skończyć w okręgowym! Ale wcale nie jestem zaskoczony, bo od lat to była megiera - i dla własnej rodziny, i dla obcych. A jak się nadymała w aucie. Wiesz, co mi powiedziała, całkiem niedawno? Że powinienem nosić uniform. Doniosłem o tym szefowi, a on na to: „Bill, ale ty przecież nie chciałbyś nosić uniformu?” To ja mu: „Nie ma strachu, szefie, żebym kiedyś chciał”. „Więc nie będziesz” - powiedział. I o to chodziło. A skoro już o nim mowa - on to ma z nią życie. Na jego miejscu posłałbym ją tam wcześniej.

- Och, jakoś sobie to osładza.

- A kto ma mu to za złe? Ja nie mam. Przez jakiś czas chyba będzie tu spokój.

- Tak myślisz? Poczekaj tylko, niech się wszyscy dowiedzą o młodych. Mój Boże! Gdyby to się stało w noc poślubną, byliby czyści. Ciekawe, jak przyjmą to jej rodzice? Udana z tych Allisonów para. Widziałeś kiedyś kogoś takiego jak jej ojciec? Stoi, nic nie mówi, tylko patrzy. No, zabierajmy się stąd. Trzeba narąbać drzewa. Narąbmy na zapas, zanim spadnie śnieg. Czuję, że spadnie, tylko patrzeć.

Siostra Pringie wyszła z pokoju ze słowem „nie” na ustach. Twierdziła, że nie jest zaskoczona tym, co się wydarzyło wczoraj wieczorem. Należałoby chyba wiele dokazać, żeby ją wprawić w zdziwienie.

- To zimna facetka - orzekł Don, ledwie zamknęły się za nią drzwi.

- Musi taka być - broniła jej Annette.

- Dobrze się czujesz? Jesteś biała jak papier.

- Nic mi nie jest. Proszę, tylko nie martw się o mnie.

- A o kogo mam się martwić? - Poglaskał ją po rękę, zatrzymując na niej wzrok. - To dziwne, ale mam wrażenie, że ta wczorajsza awantura mi się przyśniła, że nie wydarzyła się naprawdę. Z drugiej strony nawet nie mogę powiedzieć, że to był koszmarny sen, bo dobrze spałem. Wiem, że powinienem ubolewać nad tym, co się przydarzyło matce, ale nie potrafię. Po prostu się cieszę, że przez jakiś czas nie zobaczę jej w drzwiach tego pokoju. Czy to nie przerażające? - Spojrzał na Annette. - Oczywiście, reaguję w nienormalny sposób, ale nic w naszych kontaktach nie było normalne. - Położył głowę na poduszce. - Dziwne jest również to, że dziś po raz pierwszy nic mnie nie boli. Czuję się tak... - uśmiechnął się posępnie - jakbym mógł wstać i chodzić.

- To dobry znak.

- Jak myślisz, jak długo ona będzie w szpitalu?

- Och, trudno powiedzieć. Tata się tam dziś wybiera, więc pewnie się dowie. Ale przypuszczam, że potrzymają ją przez dłuższy czas. Wymaga leczenia.

O tak, Annette miała nadzieję, że leczenie teściowej potrwa wystarczająco długo, by mogła w spokoju urodzić dziecko i zdołała wymusić na Danielu i Joem przeniesienie Dona do willi. Zdawała sobie sprawę, iż są przeciwni tej przeprowadzce nie tylko dlatego, że tu mogą pomagać przy Donie. Chodziło również o to, że nie chcieli tracić z nim kontaktu. Dopóki mieszkał w tym domu, rodzina

nadal trzymała się razem. Teraz Annette o wiele łatwiej potrafiła przeniknąć cudze zamiary. Jeszcze przed czterema miesiącami taka myśl nie przyszłaby jej do głowy. Ale gdy po wypadku odzyskała przytomność, poczuła się o wiele starsza, jakby za jego sprawą nagle wydorosłała. Może jednak stało się to wcześniej, w rok przed wypadkiem, kiedy - jak Don wczoraj wykrzyczał matce w twarz - wszystko się zaczęło? Przywołała w pamięci ten dzień, w którym byli ze sobą po raz pierwszy. Oszukali czujność jej matki i rzekomo poszli do kina. Gdyby tylko matka Annette wiedziała, co się wtedy wydarzyło, straciłaby rozum tak samo jak Winifred.

O mój Boże! Annette wciąż miała przed sobą wizytę w domu rodzinnym i nieuniknioną scenę.

- Pamiętasz, kochanie, co muszę zaraz załatwić? – Spojrzała na Dona.

- Oczywiście - zaczął zmartwiony, krzywiąc się boleśnie.

- To nie w porządku, że sama musisz stawić temu czoło. Powinienem tam z tobą być, powinienem...

- Przestań się niepotrzebnie denerwować. Jeśli wiem coś na pewno, to to, że rozmowa skończy się, zanim się naprawdę zaczniesz. Tak będzie. I wcale mnie to nie martwi.

- Jesteś pewna? Bo poza wszystkim innym oni...

- Nie wspominaj moich rodziców. Przecież już o nich rozmawialiśmy. - Pocałowała go i uśmiechnęła się. - Pamiętasz ten dzień, w którym powiedziałam ci, co o nich myślę, a ty pękałeś ze śmiechu? Czułam się strasznie, mówiąc takie rzeczy, ale tobie też płynęły łzy po policzkach, gdy zacząłeś opowiadać o swojej matce. Oczywiście zauważyłam, że ona patrzy w ciebie jak w obrazek i nie jest normalną matką, jednak mówiłeś o tym w taki zabawny sposób, że ja też pękałam ze śmiechu. Nie mogliśmy przestać się śmiać. Pamiętasz?

- Oczywiście. - Wodził palcami po jej twarzy. – Dlaczego zdarzył się nam ten wypadek? - Głos mu się załamał.



- Codziennie zadaję sobie to pytanie - odparła po chwili milczenia.

- I powtarzasz sobie: „Już nigdy nie będzie mógł się ze mną kochać” - wypowiedział tę straszną prawdę, spoglądając na Annette w napięciu.

- Nie, nie - zaprzeczyła stanowczo. - Bo potrafimy się kochać... i bez tego.

- Och, Annette. - Wyciągnął do niej rękę. - Nie oszukuj się. Przecież „to” również przynależy do małżeńskiej miłości.

- Już dużo „tego” mieliśmy... - Teraz jej głos się załamał. - Nie zapominaj tej prawdy. No i jest rezultat. – Poglądziła swój brzuch i tłumiąc płacz, roześmiała się. - Dziś zamierzam spać obok ciebie, w tym samym łóżku, więc będziesz musiał się posunąć. - Wymierzyła mu pieszczotliwego klapsa w policzek i szybko się odwróciła. - Przygotuję się do wyjścia.

Po trzydziestu minutach wsiadła do samochodu. Do domu jej rodziców jechało się stąd około pięciu minut. Wiedziała, gdzie ich zastanie, gdy zjawi się tam o dziesiątej. Ojciec będzie w swoim gabinecie. Zawsze rano zapoznawał się z raportami dotyczącymi utargu w jego sklepach w dniu poprzednim. Miał cztery spożywcze, trzy warzywne, antykwariat w najlepszej dzielnicy i magazyn ze starymi przy placu targowym. O wpół do jedenastej rozpocznie ich wyrywkową kontrolę i będzie starał się przyłapać kogoś na - jego zdaniem - zaniechaniu obowiązków. Ludzie mówili, że u nikogo tak często nie zmienia się personel. Nie tolerował nawet najdrobniejszego wykroczenia. Matka już krzątała się po kuchni, przekazując Polly dzienny jadłospis oraz sprawdzając zawartość spiżarni, lodówki i kredensu. Był czwartek, więc po południu w salonie zbiorą się członkinie Katolickiego Związku Kobiet. I prawdopodobnie pani Allison udzieli Janie i Sarah cotygodniowej nagany z powodu ich niechęci do noszenia plisowanych czepków i fartuszków. Wciąż upierała się, by miały je na sobie nie tylko wtedy, gdy

podawały lunch. Annette często zastanawiała się, jak Janie zdołała tak długo wytrwać w tym domu jako gosposia. Kiedyś, nie spostrzegłszy wchodzącej do kuchni Annette, z furią zerwała z głowy czepek i cisnęła go na podłogę. „Nie powie panienska?” - spytała ze śmiechem. „Nie powie, bo inaczej nie dostanie o jedenastej placzka z konfiturami” - odpowiedziała jej Polly. W rodzinnym domu Annette nie wolno było jeść w przerwach między posiłkami.

Otworzyła jej Sarah.

- Och, dzień dobry, panienko. Chyba jest bardzo zimno? Zmarzł panience nos. Jak panienska się miewa?

- Dobrze, Sarah. A ty?

- Och, wie panienska. Czekam na tego bogacza, żeby przyszedł i porwał mnie w ramiona. - Zawsze to mówiła.

- Jak go spotkam, gdy stąd wyjdę, to mu powiem, żeby się pospieszył. - Annette zawsze tak jej odpowiadała.

Sarah, Polly, Janie i ich poprzedniczki to były jedyne osoby w tym domu, w których towarzystwie mogła się odprężyć.

- Gdzie jest matka?

- W pokoju wypoczynkowym.

- U Polly i u Janie wszystko w porządku?

- Tak, panienko. Miło by było, gdyby panienska wpadła do nas do kuchni przed wyjściem - powiedziała cicho.

- Spróbuję, ale wątpię, czy mi się to uda.

- Ach... - Sarah zacisnęła usta. To był znak, że rozumie, iż sytuacja jest skomplikowana.

W tak imponującym domu nie było hallu, tylko szeroki, długi korytarz. Żeby dojść do pokoju wypoczynkowego matki, należało skrócić w inny korytarz, równie szeroki, lecz krótszy.

Annette zapukała do drzwi.

- Proszę wejść - usłyszała po krótkiej chwili głos matki.

Wkroczyła do pokoju nieodmiennie sprawiającego na niej wrażenie domowej kaplicy, bo w jednym z rogów znajdował się niewielki ołtarz - pośrodku stał krucyfiks, po jednej stronie figura Matki Boskiej, a po drugiej świętego Józefa. Do ściany było przymocowane naczynie z wodą święconą, a na wprost ołtarza znajdował się wyściełany klęcznik. Annette wiedziała, że matka właśnie podniosła się z klęczek.

- Dzień dobry, kochanie.

- Dzień dobry, matko.

- Wczesnie przyszłaś.

- Chyba tak.

- Jak się czuje Don?

- Nie ma specjalnych zmian... Matko?

- Tak, kochanie?

- Muszę ci coś powiedzieć. Usiądź.

Pani Allison spojrzała na córkę z zaskoczeniem. Nie przywykła do tego, by ktoś, a zwłaszcza jej dziecko, decydował za nią, kiedy ma usiąść.

- Dobrze, usiądę. Co takiego musisz mi powiedzieć?

- Wczoraj teściowa została zabrana do okręgowego szpitala psychiatrycznego.

- Co?! - Pani Allison na wpół wstała z krzesła, ale zaraz usiadła. Przez chwilę z trudem łapała oddech. - To nie jest specjalnie zaskakujące. Winifred zawsze żyła w strasznym napięciu. Ale co się do tego przyczyniło? Jakaś awantura?

- Można tak powiedzieć.

- Awantura z twojego powodu? - Zanim pani Allison to powiedziała, kilka razy poruszyła bezgłośnie ustami.

- Wyłącznie z mojego... Matko, spodziewam się dziecka. Dziwię się, że jeszcze nie zauważyłaś mojej ciąży. Oczywiście od jakiegoś czasu wkładam luź-

ne suknie i palta. A poza tym, ty bardzo rzadko na mnie patrzysz albo patrzysz nieuważnie....

Matka podtrzymywała dłonią podbródek, przyciskając palce do policzków tak mocno, że skóra wokół opuszek zbielała.

- O mój Boże! - krzyknęła, ale dźwięk był stłumiony, bo zasłaniała dłonią usta. - Wiedziałam, że coś jest nie tak... że powinnam zauważyć, ale nie to, o czym mówisz. Och! Och!... Twój ojciec. - Odsunęła dłoń od ust i przyciskała ją do głowy, jakby w ten sposób zmuszała się do dalszego siedzenia. - Boże drogi.

W przypadku matki Annette dwukrotne wezwanie imienia Bożego oznaczało, że jest bardzo wzburzona. Ale nigdy nie wrzeszczała i to różniło ją od teściowej. Pani Coulson musiała wyładować swój gniew, a pani Allison potrafiła nad nim panować - za wszelką cenę starała się zachowywać pozory.

Nie spuszczać oka z córki, nacisnęła dzwonek w ścianie.

- Poproś tu pana Allisona, jeśli ma wolną chwilę. Chciałabym z nim porozmawiać - z niezmaconym spokojem i z normalnym wyrazem twarzy poleciała stojącej w drzwiach Sarah, co wprawiło Annette w osłupienie.

- Tak, psze pani.

- To będzie miało fatalne skutki dla twojego ojca i dla jego pozycji w parafii - oznajmiła znowu roztrzęsionym głosem, zaledwie pokojówka wyszła na korytarz. - Och! - Zamknęła oczy. - Dziewczyno, czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? Zrujnowałaś nas. Już nie podniesiemy naszych głów. I ten ślub! Ci wszyscy goście i ty w bieli... w dziewiczej bieli. Och! - Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po pokoju.

Annette już zamierzała przystąpić do obrony, gdy zjawił się ojciec. Jak zwykle zdawał się wypełniać swoją sylwetką całe wnętrze. Pomniejszał je optycznie z powodu wysokiego wzrostu, barczystych ramion i tej masy ciała noszonego jak pancierz. Nie pamiętała, by kiedykolwiek wygląd ojca zdradzał wzburzenie.

- Dzień dobry, Annette - przywitał ją obojętnym głosem.

- Dzień dobry, ojczec.

- Wczesnie przyszedłaś. Czy coś...

- James, nie pora na kurtuazję. Ona ma ci coś do powiedzenia. - Żona ośmieliła się przerwać mu w pół zdania.

Oddechnął głęboko i przez długą chwilę patrzył pytająco na córkę.

- Słucham?

Żołądek podszedł Annette do gardła. Poczowała mdłości. Ale strach przed tym człowiekiem nie był dla niej niczym nowym. Zawsze go odczuwała. Stał przed nią jej ojciec, jednak zupełnie niepodobny do innych ojców. Nigdy jej nie objął i nie przytulił, a całował ją tylko w czoło, zresztą rzadko. Od czasu gdy zaszła w ciążę, zastanawiała się nieraz, jak sama została poczęta - co skłoniło ojca do odbywania stosunków płciowych i jak reagowała na nie sztywna, powściągliwa matka? Czy czuli się zawstydzeni? Oczywiście. Annette potrafiła to sobie wyobrazić. Z pewnością od chwili, kiedy została spłodzona, modlili się o wybaczenie im tych stosunków, bo nigdy nie widziała, by się całowali. Nawet nie trzymali się za ręce. Spali oddzielnie - jak daleko sięgała pamięcią. Matka rozbierała się wyłącznie w garderobie i zdejmowała bieliznę, włożywszy uprzednio nocną koszulę, czego nauczyła córkę. Teraz Annette przypomniała sobie widok samej siebie wczoraj wieczorem - nagiej i z ręką Dona na brzuchu. Intrygowało ją, czy taki widok potrafiłby zburzyć spokój malujący się na twarzy ojca.

- Ojczec, będę miała dziecko.

Jego twarz nawet nie drgnęła, tylko odrobinę zmrużył oczy.

- Słyszałeś, James? Słyszałeś? - Matka zaciskała dłonie na gorsie wełnianej sukni, jakby jej było zimno. - To musiało się stać...

- Spokój! - Ojciec nie wymówił tego słowa zbyt głośno, lecz tak stanowczo, że brzmiało jak rozkaz. - Mówisz, że spodziewasz się dziecka?

- Tak, ojczec.

- Nieślubnego?

- Możesz to tak określić, ojcze.

- Ja mogę? A jak ty musisz? Ty - wychowana w przykładowej pobożności - skalowałaś siebie.

- Musimy stąd wyjechać. Nie udźwignęłabym tego - wmieszała się do rozmowy matka.

- O tak, jak Tollettowie! - krzyknęła Annette. - Oni też wstydziła się z powodu ciąży Marii, wychowanej jak ja i wiele innych dziewcząt w przykładowej pobożności. Jesteście obłudni! - Nareszcie w wyglądzie ojca spostrzegła zmianę. Jego twarz oblała się purpurą i miał osłupiałą minę z powodu bezczelności córki, która ośmieliła się go oskarżać i której już nie uważał za swoje dziecko. - Myślę tak od dawna, a teraz to powiem. Robicie wszystko na pokaz. Łóżycie na kościelne witraże i na nowe organy, a ekspedientce z waszego sklepu wydarlibyście szylinga. Spójrzcie tylko na siebie. - Wyciągnęła rękę, wskazując ich kolejno. - Czy choć przez chwilę potrafiliście być ze sobą szczęśliwi? Cieszyłam się, że mogę pójść do szkoły po prostu dlatego, że nie musiałam być w tym domu.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś? - spytał przez zaciśnięte zęby ojciec. Jego podniesiony głos zdradzał zawziętość. - Rozstałaś się ze mną.

Annette poczuła ucisk w gardle i łzy w oczach. Myślała, że zdoła przebrnąć przez to spotkanie bez płaczu, lecz nie potrafiła nad nim zapanować.

- Wczoraj wieczorem teściową zabrali do szpitala psychiatrycznego nie tylko dlatego, że weszła do pokoju, gdy byłam rozebrana przy własnym mężu. Stało się to głównie z tego powodu, że, tak samo jak wy, należy do ludzi owładniętych religijną manią, i do nienormalnych rodziców. I nie martwcie się, że musicie rozstać się ze mną. Ja też muszę się z wami rozstać.

Nawet gdyby była wcielonym diabeł, nie patrzyliby na nią z większą zgrozą i odrazą. Wydawało się jej, że ojciec puchnie, i tak się go przestraszyła, że w jednej chwili postanowiła uciec z tego domu. Wybiegła na korytarz.

Przy drzwiach frontowych czekała na nią Sarah.

- Och, panienko! Proszę tak nie rozpaczać. Wszystko się ułoży. Trzeba wytrwać przy swoim. Jesteśmy z panienką.

Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Biegła, oślepią przez łzy, do samochodu, ale włączyła silnik dopiero wtedy, gdy odzyskała spokój. Wylała twarz, zawróciła i odjechała spod rodzinnego domu świadoma, że od tej pory rodzice nie będą jej poznawali na ulicy.

TLR

## Rozdział piąty



**Kończył** się marzec. Była sobota - dzień odwiedzin w okręgowym szpitalu psychiatrycznym. Świeciło słońce i ucichł wiejący od kilku dni silny wiatr. Pogoda zupełnie nie przypominała marcowej. Daniel, Flo i Harvey stali na korytarzu wraz z innymi gośćmi i pacjentami. Ogród wokół szpitala już wypełniali ludzie. Spacerowali alejkami wśród drzew i kłombów, na których rosły ozdobne krzewy.

- Gdyby ten budynek był choć w połowie tak przyjemny jak jego otoczenie - westchnął Daniel, wyglądając przez otwarte drzwi.

- Jak sądzisz, dlaczego musimy czekać? - spytała Flo.

- Wiem tyle samo, co ty. Na samą wzmiankę o mnie Winifred dostała ataku hysterii.

- Podczas naszej ostatniej wizyty wydawało mi się, że stan jej zdrowia bardzo się poprawił - odezwał się Harvey.

- Tak - potaknął Daniel. - Nie chciałbym nikogo urazić, ale muszę powiedzieć, że toleruje nawet ciebie, podczas gdy ja nadal działam na nią jak płachta na byka i prawdopodobnie tak będzie do końca. Chyba nie ma szansy na wyleczenie Winifred, dopóki w jakiś sposób nie zostaną wyeliminowany z jej życia.

- Nie mów tak - napomniała go stanowczym tonem Flo.

- A zmieniając temat... Odniosłam wrażenie, że w tym szpitalu leczy się pacjentów skutecznie.



- Byłaś tu tylko dwa razy. Ja uważam inaczej. Z tego, co widziałem, wynika, że ci z nich, którzy nie popadli w całkowity obłęd i chcą się stąd wydostać, muszą nabrać dystansu do pozostałych. Niestety, nie jest to łatwe, bo bez wątpienia chorzy nawzajem zarażają się swoimi maniami i obsesjami. Nie cierpię tego miejsca. - Odwrócił się gwałtownie do pielęgniarki, która przystanęła obok nich.

- Panie Coulson, siostra przełożona chciałaby zamienić z panem kilka słów.  
- Uśmiechnęła się szeroko do całej trójki.

Daniel ruszył za pielęgniarką przez korytarz.

W gabinecie siostry przełożonej siedziała za biurkiem raczej młoda kobieta, a obok niej, z boku biurka – mężczyzna w średnim wieku.

- Jak się pan miewa, panie Coulson? - Mężczyzna wstał i podał mu rękę.

- Dziękuję, dobrze, panie doktorze. - Ucisnęła lekarzowi dłoń i skłonił głowę przed pielęgniarką, po czym usiadł, czekając, aż któreś z nich zacznie rozmowę.

- Oczywiście chciałby pan wiedzieć, jaki jest stan zdrowia żony - odezwał się lekarz. - W ciągu ostatnich dwóch czy trzech tygodni... Był tu pan po raz ostatni przed trzema tygodniami? - Odwrócił się do siostry przełożonej.

- Zgadza się?

- Tak. - Sprawdziła w rejestrze pacjentów.

- Miałem gripę - Daniel zaczął się usprawiedliwiać sądząc, że wypominają mu w ten sposób zaniechanie wizyt.

- Oczywiście... - Lekarz dla żartu pogroził mu palcem.

- Jesteśmy jak najdalej od krytykowania pana z powodu nieobecności tutaj w trzy kolejne soboty. Poprosiliśmy pana do gabinetu, bo siostra uznała, że należy panu powiedzieć, jak przebiega leczenie i co wydaje się je utrudniać...

- Co to takiego? - spytał Daniel widząc, że lekarz się waha.

- Otóż... - włączyła się do rozmowy pielęgniarka. - Obawiam się, panie Coulson, że to pańska obecność tutaj. Zapewne pan pamięta, jak poprzednim razem żona zareagowała na pana widok. Zresztą sama wzmianka o panu lub synu

powoduje... pogorszenie stanu zdrowia pacjentki. Tak to określimy. Wydaje się, że służą jej tylko spotkania z siostrą i z przyjacielem siostry.

- Czy to nie dziwne? - podjął temat lekarz. - Sądziliśmy, że pana żona zwróci się przeciwko wszystkim mężczyznom, ale tak się nie stało, bo za pierwszym i za drugim razem przyjęła przyjaciela siostry zupełnie normalnie; nie wykazywała żadnych odchyłeń psychicznych. Innymi słowy nastąpiła pozytywna zmiana w jej zachowaniu, gdyż nie miewa już ataków hysterii. Leczenie przebiega nadspodziewanie dobrze. W związku z tym uważamy, że byłoby lepiej, gdyby pan przez jakiś czas tu nie przyjeżdżał, za to siostra żony powinna bywać u niej częściej, jeśli to tylko możliwe. Dotychczas myśleliśmy, że wkrótce pani Coulson będzie mogła wrócić do domu lub przynajmniej spędzać tam jeden czy dwa dni w tygodniu, ale dziś zmieniliśmy zdanie. Obawiam się, że to wykluczone. Przykro nam.

- Och, nie ma powodu. Świetnie rozumiem, w czym rzecz. Proszę mi jednak powiedzieć, jak długo może potrwać jej pobyt w szpitalu, skoro tak fatalnie działam na nią ja i nasza rodzina?

- W takich przypadkach nigdy tego nie wiadomo. Leczenie chorób psychicznych jest długotrwałe. Spodziewamy się, że być może elektrowstrząsy osłabiają, a może nawet wymażą z jej pamięci urazy, jakie żywi w stosunku do pana - odparł lekarz.

Daniel powiedział do siebie w myślach, że jedynie śmierć może wymazać nienawiść, jaką pała do niego Winifred.

- Zatem będzie lepiej, jeśli przestanę się tu pojawiać? - Podniósł się z krzesła.

- Przez jakiś czas. - Lekarz podszedł do niego. - Natomiast, jak powiedziałem, częstsze wizyty jej siostry mogłyby okazać się pomocne.

- Flo mieszka w Londynie. To niemożliwe, żeby przyjeżdżała tu co tydzień.

- Więc niech bywa tak często, jak będzie mogła.

- Poproszę ją. Dziękuję. - Skinął głową na pożegnanie i wrócił do długiego hallu.

Flo obserwowała przez okno Harvey'a spacerującego po ogrodzie z nieznaną pacjentką.

- Czy to nie przygnębiające? – odezwała się na widok Daniela. - Ta kobieta rozmawiała z nim całkiem normalnie, zupełnie tak samo jak ty czy ja, a może nawet bardziej normalnie od nas, po czym nagle zaprosiła go na spacer po ogrodzie.

- Nie chcę, żebym tu przyjeżdżał, za to proszę, żebyś ty zjawiała się częściej. Co ty na to? - zmienił temat, nie będąc w odpowiednim nastroju, by dzielić się odczuciami na temat zachowania pacjentów.

- Dobrze. Nie będzie nam łatwo przyjeżdżać tu co tydzień, ale postaramy się - odparła po chwili wahania, wzruszywszy ramionami. - Byle tylko można było jej pomóc. Czy mogę ją teraz odwiedzić?

- Tak. Sądzę, że tak.

- Danielu, nie powinieneś być zaskoczony tym, że ona nie chce cię widzieć - skomentowała, zatrzymując się w pół kroku.

- Nie, nie powinienem. Nie wiem, dlaczego przyjechałem.

- Zapewne dlatego, że uważasz to za swój obowiązek.

- Chyba tak. Ale na razie zostałem z niego zwolniony. Wszystko spada na twoją głowę.

- Och, nie podchodź do tego w ten sposób. Zresztą porozmawiamy później.

Gdy poszła do Winifred, odwrócił się do okna. Widząc Harveya spacerującego z pacjentką, ruszył do ogrodu.

- Ach, to ty. - Harvey nie spytał go, dlaczego nie jest w odwiedzinach u żony, lecz przedstawił mu nieznaną kobietę. - Chciałbym, żebyś poznał panią Deebbar.

Pacjentka, na oko tuż po sześćdziesiątce, spojrzała na Harveya.

- Niewłaściwie wymawia pan moje nazwisko – zwróciła mu uwagę, uśmiechając się promiennie. - Mówi się „De-bar”. To nie jest „De” w „Debrett”.

- Och, przepraszam. - Harvey skierował wzrok na Daniela.

- Pani Debar jest pisarką. Opublikowała książkę pod tytułem... - Spojrzał na kobietę.

- „Wychowanie i formy towarzyskie w epoce wiktoriańskiej” - dokończyła za niego z tym samym promiennym uśmiechem.

- To brzmi bardzo interesująco. - Daniel skłonił głowę.

- Tak. Należy dawać z siebie wszystko. Pan Disraeli bardzo mi pomógł.

Daniel i Harvey wymienili spojrzenia, idąc w milczeniu obok pacjentki.

Nagle odwróciła się do Harveya.

- Dziękuję za to, że dotrzymał mi pan towarzystwa. Nieczęsto w życiu nadarza się okazja do rozmowy z dzikim człowiekiem. To może naprawdę oświecić, a nawet czegoś nauczyć. A teraz pozwolę panowie, że ich pożegnam. Spieszę do przybywającego na podwieczorek pana Macmillana. Życzę miłego dnia.

Harvey i Daniel wymamrotali słowa pożegnania, a ona ruszyła, posuwając się niepewnie wśród klombów, do budynku szpitala. Dopiero gdy zniknęła w drzwiach, wymienili spojrzenia, a Harvey zachichotał.

- Powinienem być na to przygotowany, ale na początku mówiła zupełnie normalnie, tak samo jak ty i ja - skomentował.

- Niech Bóg ma ją w swojej opiece! - Daniel był bardzo przejęty.

- Nie sądzę, że trzeba się nad nią użalać. Jeśli się dobrze zastanowić nad jej sytuacją, można dojść do wniosku, że pani Debar jest szczęśliwsza w swoim świecie niż my w naszym. Trzeba było przyjrzeć się jej twarzy. Malował się na niej anielski spokój. Z pewnością kiedyś ta kobieta odznaczała się niepospolitą urodą. - W jego głosie zadźwięczał smutek. - Tylko ten ostatni kawałek o „dzikim”... — Zachichotał. — Ale chyba nadal mnóstwo ludzi uważa nas za takich. — Gdy skierowali się do szpitala, spytał Daniela: - O co chodzi z Winifred?

- O coś, co nie może cię ucieszyć. Lekarze doszli do wniosku, że moje przyjazdy tutaj tylko pogarszają sprawę, natomiast wizyty Flo są jak najbardziej wskazane.

- Nie widzę żadnych przeszkód, żebyśmy tu bywali. Naprawdę. Zapewniam cię, że nie mam nic przeciwko temu, wręcz jestem zadowolony ze sposobności wyrwania się z Londynu.

- Nie wiesz przecież, jak długo to wszystko potrwa.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. A jeśli moje i Flo przyjazdy tutaj stanowią twój jedyny kłopot, to możesz przestać się martwić. Jak wiesz, Flo i Winifred nigdy ze sobą dobrze nie żyły, ale Flo... jest szczerze żal siostry.

- Jak większości ludzi.

- Prawdopodobnie tak. Przypomina to nieco ich stosunek do zbrodni. Na ogół nie pamiętają ofiary, natomiast interesuje ich życie, a zwłaszcza schwytywanie przestępcy. Danielu, nie miej wyrzutów sumienia z naszego powodu. Masz już dość zmartwień. Kiedy Annette urodzi?

- Zostało jej jeszcze trochę czasu. Ale z tym wiąże się kolejny problem, bo przecież nie wiadomo, jak Winifred przyjmie wiadomość, że została babką. Ja nie robię sobie nadziei, że narodziny wnuczki lub wnuka natchną ją chęcią do życia. Nie widzę nikogo poza mną, kto potrafiłby ją wyrwać ze stanu apatii, nawet jeśli wyzwalam w niej tylko negatywne uczucia.

Jednak Daniel niesłusznie uważał, że wyłącznie on jest zdolny doprowadzić żonę do furii. Winifred właśnie siedziała z siostrą przy stoliku w dużym pokoju wizyt. Byli tu także inni ludzie - zapewne głównie krewni pacjentów. Jedni rozmawiali z chorymi, a drudzy po prostu patrzyli na tych, którzy milczeli, niezdolni do nawiązania kontaktu. W jednej z grupek znajdowały się dwie rozchichotane dziewczynki. Ich naturalny śmiech wydawał się tu nie na miejscu.

Sytuacja siostry rzeczywiście budziła we Flo żal i współczucie. Nie lubiła Winifred i bardzo się od niej różniła, ale nikomu nie życzyła, by znalazł się w

takim położeniu i w takim miejscu. Winnie żyła w dostatku, folgując swojej słabości do wykwintu, dobrego jedzenia i innych przyjemności, lecz brakowało jej ludzkiej sympatii i czułości. Pragnęła być kochana i kochać, bardzo pragnęła - Flo nie miała co do tego wątpliwości - a zarazem fatalnie postępowała z najbliższymi jej osobami.

- Don prosił, żeby ci przekazać, że cię kocha. – Położyła dłoń na dłoni Winifred.

- Kto?

Wyraz oczu siostry nie wskazywał, że ta postradała rozum, a w każdym razie Flo nie takiego spojrzenia oczekiwała po kimś chorym psychicznie. Nie umiała określić wyrazu tych oczu, ale nie miał on nic wspólnego z obłędem.

- Winnie, nie zachowuj się w taki sposób! – powiedziała nieco ostrzejszym tonem. - Don to twój syn i kochasz...

- Nie mam syna.

- Masz trzech.

- A to dopiero! Mówisz, że aż trzech? Zatem musiałabym być matką idioty, bękarta i kaleki - syknęła.

Flo przeraziła nienawiść malująca się na twarzy siostry, gdy ta w przewrotny sposób powiedziała prawdę o swoich synach. Istotnie - Winifred była matką idioty, bękarta i kaleki, ale fakt, iż nie potrafiła się z tym pogodzić, nie wróżył nic dobrego. Dopiero teraz Flo w pełni zdała sobie sprawę, że ta kobieta nie postradała rozumu, tylko przepełnia ją nienawiść. Znając Winifred wiedziała, że siostra nigdy nie uwolni się od tego niebezpiecznego uczucia, a to znaczyło, że tu zostanie... Zdesperowana potrząsnęła głową na myśl, że Winifred do końca swoich dni będzie przebywała w tym strasznym miejscu.

- Winnie, nie mów tak. Jeszcze tyle przed tobą. Wkrótce urodzi się dziecko. Zostaniesz babką.

Siostra z taką siłą odepchnęła jej rękę, że nadgarstek uderzył o oparcie krzesła. Flo zacisnęła palce na przegubie bolącej dłoni, z wysiłkiem panując nad sobą. Z powodu takiej reakcji Winifred żałowała później tej uwagi, ale teraz patrzyła osłupiała na trzęsące się ze złości ciało siostry.

- To ty powinnaś być w tym szpitalu, skoro masz czelność sugerować, że zostanę babką bękarta, spłodzonego przez dziwkę i innego bękarta. Mój syn jest niepokalany. Słyszysz? Niepokalany - syknęła.

Podeszła do nich pielęgniarka, dyskretnie dając Flo znak, by wyszła, co ta natychmiast zrobiła.

W korytarzu podbiegli do niej Harvey i Daniel.

- Co się stało? Jesteś strasznie blada. - zaniepokoił się Daniel.

- Jaka byłam głupia. - Spuściła głowę. - Zaczęłam z nią rozmawiać o czymś, o czym nie powinnam, ale próbowałam odbudować... odbudować... - Spojrzała na Harveya. - Och, kochanie!

Objął ją w milczeniu poprowadził do wyjścia.

- Najlepiej będzie, jeśli wszyscy przestaniemy ją odwiedzać. Niech się dusi swoją nienawiścią, skoro tego chce – powiedział z goryczą Daniel, gdy już siedzieli w samochodzie.

- Och, nie mów tak. Można popaść w obłąd tylko z powodu przebywania w tym miejscu - obruszyła się Flo.

- Spróbuj się uspokoić. Nie płacz. I nie użalaj się już nad tymi ludźmi. - Harvey przytulił ją do siebie. - Posłuchaj. Mieliśmy z Danielem ciekawą przygodę.

Nie roześmiała się, ani nawet nie uśmiechnęła, gdy opowiedział jej o pani Debar.

- Niech Bóg ma ją w swojej opiece. Ją i ich wszystkich - westchnęła.

**Właśnie** skończyli jeść wieczorny posiłek.

- Dobrze się czujesz, dziecino? Zmizerniałaś – zagadnął Daniel Annette, przełamując sztywną atmosferę.

- Tato, nic mi nie jest.

- To zmęczenie - wmieszał się do rozmowy Joe. - Od rana jest na nogach.

Dlaczego pielęgniarki tak upierają się przy wolnych weekendach? Popełniliśmy błąd. - Zamknął oczy i zasłonił je dłonią. - To było niemądre powiedzieć im, że w weekendy sami damy sobie radę, skoro jesteśmy wszyscy w domu. - Spojrzał na siedzącą po przeciwnej stronie stołu Annette. - Ale gdybyś tylko pozwoliła nam, to znaczy mnie i Stephenowi, zajmować się Donem w weekendy, przekonałabyś się, że świetnie dajemy sobie radę.

- Uważam, że trzeba was pilnować - odparła z uśmiechem.

- To zdumiewające, jak Stephen się zmienił, chyba pod każdym względem - odezwała się Flo, spoglądając na Daniela.

- Naprawdę tak uważam. Jesteśmy tu rzadko, więc zauważamy takie rzeczy. Prawda, Harvey?

- Prawda. Ja też to stwierdzam. Przestał zachowywać się jak dziecko, choć może lepiej byłoby powiedzieć - dziecinnie.

- Całkowicie się z tym zgadzam - przytaknął Joe. - Najbardziej zadziwiające jest dla mnie to, że od tygodni nie moczy się w nocy, to znaczy od... - Zawahał się, nie wiedząc, jak to delikatnie powiedzieć. - Od czasu zabrania mamy do okręgowego... Od kiedy trzeba się opiekować Donem.

- Stephen uwielbia z nim przebywać - włączyła się do rozmowy Annette. - A pielęgniarka traktuje go wspaniale. Nazywa go superintendentem. Słyszając to, Stephen promienieje. Don też dobrze się z nim czuje, a jeszcze przed kilkoma tygodniami nie byli w stanie spędzać ze sobą tyle czasu. Która godzina? - Zerknęła na zegar. - Już późno, a ja mam obowiązki... choć właściwie źle to nazwałam.



- Obowiązki, nie obowiązki, ale nie musisz wstawać od stołu - odezwał się Joe. - Poplotkuj sobie. Ja się wszystkim zajmę. Lepiej zrób, co ci każe. - Pogroził jej palcem. - Zrób choć raz. - Odwrócił się do Flo i powiedział ze śmiechem:

- Ko-bieto, przypilnuj jej.

- Hej, wielki, uważaj. Tylko ja, dziki człowiek, mam prawo zwracać się do niej w ten sposób - przestrzegł go ze śmiechem Harvey.

Gdy Joe ruszył do drzwi, przy stole panowała wesoła atmosfera. Był z siebie zadowolony, bo żartami udało mu się przełamać sztywność.

W sypialni Dona też usłyszał śmiech, przerywany czkawką, bo w taki sposób śmiał się Stephen.

- Opowiadam Donowi o tym... Joe, pamiętasz? Kiedy przyszła do nas pani Osborne... Pamiętasz? Powiedziałem jej, żeby piła ze spodka i dmuchała na herbatę.

W sypialni Dona znowu rozległ się śmiech.

- Jasne, że pamiętam. Zostałeś za to wytrzaskany po tyłku.

- Teraz nie odbierał Stephena jak chłopca czy nastolatka, lecz jak kogoś bardziej dorosłego. Dostrzegał w nim to samo, co Harvey. Stephen nie moczył się już w nocy, a od miesięcy nie miał napadu hysterii. Podnosił Dona tak samo zręcznie jak on, Joe, czy ojciec i pomagał go przebierać, wykazując przy tym nadzwyczajną delikatność. Spoglądając na stolik przy łóżku Dona, dodał karąco: - Tak go bawiłeś, zdolny przeszkadzacz, że nie pozwoliłeś mu zjeść obiadu?

- Nie jestem głodny - replikował Don. Wskazując dłonią Stephena, spytał: - Pamiętasz tę grę, w którą kiedyś grywaliśmy?

- Pchełki?

- Nie, tę którą nazywałeś „zderzakami”, podobna do warcabów. Jest w twoim pokoju. Może skoczysz po nią? Chętnie był zagrał...

- O tak, już pędzę. - Przy drzwiach gwałtownie odwrócił się do Joego, jakby nie był pewny, czy istotnie powinien pójść po tę grę. - Dobrze?

- Dobrze. Idź.

- Joe, chcę ci coś powiedzieć, zanim zjawi się tu Annette... - Don wsparł się na łokciach i lekko uniósł. - Chyba jeszcze nigdy nie udało się nam być tu sam na sam... Już od jakiegoś czasu szukam sposobności, żeby ci to... coś powiedzieć. Możesz usiąść?

- No to wal - zachęcił Joe, sadowiac się na krzesło i spoglądając z troską na upiornie bladą twarz Dona.

TLR

- Chodzi o... Annette.

- O Annette? Przecież czuje się dobrze. Nic jej nie dolega. Zanim się spostrzeżesz, przyniosą ci tu twoje...

- Sam powiedziałaś... Zanim się spostrzegę. - Don przycisnął jego dłoń.

- Och, tylko nie to! - Joe wyszarpnął rękę. – Przestań opowiadać nonsensy i nie nadużywaj moich słów. Od czasu powrotu ze szpitala stan twojego zdrowia nie pogorszył się ani trochę.

- Joe, proszę... - Don nie patrzył na brata. - Jeśli... jeśli z tobą nie mogę szczerze porozmawiać, to z kim? Wiesz tak samo dobrze jak ja, że zbliża się koniec mojego życia. - Poklepał kołdrę w miejscu brzucha. - Zastanawiali się, czy nie wziąć mnie z powrotem do szpitala w związku z wątrobą, ale wiedzą, że jeśli mnie wezmą to zaraz będzie wszystkim, tylko czekają. Ale ja już wiem. I... odycham z coraz większym trudem. Posłuchaj! - Ponownie spojrzął na Joego. - Proszę. Ona może tu wejść w każdej chwili, a to o niej chcę mówić. I nie odzywaj się, dopóki nie skończę. Bez względu na to, co pomyślisz - nie odzywaj się. Chodzi o to, że uczciwie mówiąc, to ty miałeś prawo ożenić się z Annette. Proszę! - Zacisnął dłoń. Nie dopuścił Joego do słowa, choć ten stanowczo zamierzał mu przerwać. – Gdyby tata nie kierował tym wszystkim i nie sprzyjał mi... wychodząc z założenia, że małżeństwo to najlepszy sposób na wyrwanie mnie z... uścisku mamy, Annette nadal by cię adorowała, bo tak było - wiesz o tym - już w szkolnych czasach. Nawet wtedy, gdy przyjęła moje zaloty, bałem się, że jednak wszystko skończy się fiaskiem i ona wróci do ciebie. Joe, kocham cię, ale ją też. Dlatego... - Przerwał, by zaczerpnąć powietrza i przez chwilę dyszał ciężko, po czym niemal pospiesznie wyznał: - Chciałem mieć pewność, że będzie należała do mnie i z rozmysłem to zrobiłem... Ja wykazałem inicjatywę, nie ona... Ale było mi mało. Bo wszystko mogło trwać dalej bez żadnego widocznego rezultatu, lecz... lecz zdecydowałem, że będzie rezultat, a przynajmniej miałem na to nadzieję. I po jakimś czasie okazało się, że jest. Przestraszyłem się. Oboje się prze-

straszyliśmy. I dlatego tak upierałem się przy szybkim ślubie... Jak trudno przewidzieć konsekwencje własnych uczynków. *Najmędrsze plany myszy, ludzi krzyżuje los*<sup>\*1</sup>. Boże, trafniej chyba nie można tego ująć...

- Już nic nie mów. Ja o tym wszystkim wiedziałem.

- Naprawdę?

- Tak. Jechaliście do miasta pod opieką taty, ale urywał się, zostawiając was samych, a wy pędziliście prosto do willi.

- Skąd o tym wiesz?

- Intuicja, a poza tym zdarzyło mi się kiedyś przyjechać do willi z planami, bo, pamiętasz, Annette chciała, żeby poszerzyć kuchnię. Zanim zdążyłem wjechać na drogę dojazdową, spostrzegłem przed domem twój samochód. I tego wieczora rozmawialiście z tatą tak, jakbyście byli ze sobą od dawna. Więc co cię trapi? Powiedz mi o czymś, o czym nie wiem.

- Powiem. Kiedy... kiedy odejde... zaopiekuj się Annette i dzieckiem. Zrób to, co zawsze chciałeś zrobić - ożeń się z nią.

- Don, ty żyjesz i jeszcze długo będziesz żył – oświadczył dobitnie Joe, wstając z krzesła. - I nie wziąłeś pod uwagę tego, że Annette traktuje mnie jak starszego brata. Ona cię kocha i nigdy nie przestanie.

- Joe, proszę, usiądź. Kochać kogoś po jego śmierci... Ostatnio dużo o tym myślałem. Annette kochała mnie w ciągu tego roku, gdy byliśmy ze sobą. Dziwne, że w czasie awantury z mamą nazwałem go rokiem niepokalanego życia, choć istotnie Annette była dziewicą, a ja prawiczkiem. To prawda, że miłość pozostaje miłością, nawet jeśli się zmienia. I Annette nadal... nadal mnie kocha, tyle że... inaczej. Jest moją pielęgniarką, przyjaciółką, a nawet w pewnym sensie - matką, choć to trochę osobliwe, skoro niebawem ma mieć własne dziecko. Oczekiwanie na macierzyństwo sprawia, że trochę zamknęła się w sobie. Gdyby nie

---

<sup>1</sup>\* R. Burns. *Do myszy*.

ten wypadek, pewnie potrafiłbym to lepiej rozumieć... Nosząc pod sercem dziecko, nieco się ode mnie oddaliła, jakby zaczęła polegać przede wszystkim na sobie i była zaabsorbowana rozwijającym się w niej nowym życiem.

Z pewnością wszystkie kobiety tak reagują na ciążę. Leżąc tu i rozmyślając, dochodzę do wniosku, że gdy kobieta spodziewa się dziecka, zmienia się jej miłość do mężczyzny. Bo... bo... ono wzrasta w jej brzuchu, więc mąż w jakimś sensie ją traci. Jakie to dziwne. - Uśmiechnął się blado. - Ale biorąc to pod uwagę, potrafię zrozumieć nawet mamę, choć, mój Boże, nie chciałbym jej już zobaczyć do końca swoich dni. Joe. - Po omacku szukał jego ręki. - To może świadczyć o mnie... bardzo źle, ale przeraża mnie myśl, że ona tu kiedyś wróci.

- Nie powinieneś się tym zamartwiać. Z tego, co mówi tata, wynika, że sama myśl o spotkaniu z nim przyprawia mamę o szaleństwo, a Flo to potwierdza.

- Jednak dzięki terapii po jakimś czasie zapewne wyjdzie ze szpitala. Mam tylko nadzieję, że nie będę już wtedy żył.

- Nie umrzesz. Czy mógłbyś przestać opowiadać takie rzeczy?

- Joe, nie przestanę, bo muszę ci wyznać, że nie... nie boję się śmierci, choć było tak jeszcze przed kilkoma miesiącami. Boją się jej ludzie zdrowi, silni... tacy jak ty, Joe. Ale jeśli traci się ciało i ma do dyspozycji tylko umysł, zmienia się stosunek człowieka do świata. Żyję tylko dla jednej sprawy... Chcę zobaczyć moje dziecko. A potem bez oporu odejdę... - Głos mu się załamał. - Joe, mnie wszystko boli, strasznie boli. Pastyłki nie są wystarczająco silne. Zastrzyki tak, ale nie chcę, żeby mi je robiono zbyt często.

Joe nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Z ulgą powitał wchodzącego z impetem do sypialni Stephena, który trzymał pod pachą wąskie drewniane pudełko.

- Strasznie się naszukałem. Znalazłem tę grę dopiero na szafie. Pamiętacie, Maggie ją tam schowała, bo warcaby strasznie hałasowały.

- Ukryła ją, bo oszukiwałeś.

- Joe, to nieprawda. Don, oszukiwałem?

- Nie. Stephen, ty nigdy nie oszukujesz.

- Joe, tak sobie zażartowałeś?

- Tak sobie zażartowałem, duży chłopcze. - Joe poczochnął mu włosy i dodał cicho: - Nie wiem, czy będąc na twoim miejscu, grałbym dziś z Donem. Jest trochę zmęczony.

- Don, jesteś zmęczony?

- Trochę. Zagramy jutro. Ach... - Spojrzał w stronę drzwi.

- I oto szefowa. Nie pozwoliłaby nam grać na świeżo zmienionej pościeli.

- O co chodzi? - spytała Anette.

- Przyniosłem... przyniosłem warcaby.

- Och, jak one grzechocą.

- A widzisz. - Joe skinął głową na Stephen. - Założę się, że długo tu z nimi nie pobędiesz.

- Chciałbyś, żebym miał kłopoty? - Stephen dla żartu wymierzył Joemu kuksańca.

- Tak, gdyby to tylko było możliwe, ale ostatnio nie sposób cię na cymkolwiek przyłapać.

- Och, Joe, drażnisz się ze mną? Chciałbyś mi podstawić nogę? - spytał Stephen reagując na zaczepki Joego.

- Nie drażnię się z tobą i nie podstawiam ci nogi. Nie posunąłbym się do tego.

Gdy Stephen wybuchnął śmiechem, Joe uświadomił sobie, że mówienie o nogach, zwłaszcza w żartach, jest niestosowne, ale Don się uśmiechnął.

- Hej, wy dwaj, idźcie już stąd. Wynoście się. Nie mogę spędzić ani chwili sam na sam z moją żoną. Zawsze kręci się tu któryś z was. No już dobrze, dobrze. - Pogroził Stephenowi palcem. - Przegrasz jutro ze mną.

- Zmywamy się, chłopie. - Joe wyprowadził Stephena z pokoju, przybierając sztywną żołnierską postawę.

- Nie sądzisz, że Stephen się zmienił na lepsze? – zagadnęła Annette, siadając na krześle przy łóżku.

- Och, tak. Myślałem, że tylko mi się tak wydaje, ale skoro ty to mówisz. — Spojrzał na nią i po chwili wahania spytał:

- Powiedz mi, jak się naprawdę czujesz? Nie zbywaj mnie.

- Jeśli mam być szczerą, kochanie, to sama nie wiem, bo po raz pierwszy spotkał mnie ten zaszczyt, że jestem w ciąży. - Uszczypnęła go lekko w nos. - Przypuszczam, że to naturalne czuć się... tak... - Skrzywiła się. - Czasami wydaje mi się, że ona lub on przyjdzie na świat lada chwila, choć do porodu jest jeszcze wiele tygodni.

- Nie czujesz się zdrowa? To znaczy...

- Czuję się absolutnie zdrowa. Przestań się martwić. Poprawię ci poduszki. - Wstając z krzesła, dodała jednak: - Czuję się dziwnie. Na tyle dziwnie, że w poniedziałek pójdę do lekarza.

## Rozdział szósty



**Ostatni** tydzień marca 1961 roku był bardzo zimny. Niektórzy przepowiadali, że spadnie śnieg, a inni przewidywali najwyżej dwa dni silnego mrozu.

Gdy zadzwonił dzwonek, właśnie minęła siódma i w domu panowała wieczorna cisza. Maggie przechodziła przez hall, więc otworzyła drzwi.

- Och, ksiądz. Dobry wieczór.

- Dobry wieczór, Maggie. Jezdnia śliska jak lustro! Wcale bym się nie zdziwił, gdyby spadł śnieg.

- Słyszę to dziś bez przerwy, a przecież kwiecień za pasem. I zakwitły żonkile. Czy czuje się już ksiądz lepiej? Wszyscy mówili, że ksiądz miał paskudną gripę.

- To ja wymyśliłem termin: „symulacja” - wmawiał Maggie pomagającej mu zdjąć palto. - Inni twierdzą, że został ukuty na potrzeby wojska, ale nie wierz im. Przez dwa tygodnie wszyscy ode mnie uciekali, bo tak dobrze udawałem, że zarazam gripą. Świetnie się bawiłem. - Zakaszlał tak, że aż zadudniło mu w płucach.

- Wierzę księdzu, wierzę, zwłaszcza słysząc ten kaszel. - Roześmiała się, odebrała od niego palto i przewiesiła je przez poręcz krzesła. - Wierzę też, że jest ksiądz bardzo oryginalnym człowiekiem.

- Zgadza się, Maggie, absolutnie. Każdego, kto mówi inaczej, nazywam kłamcą. Nie ma ode mnie dziwaka większego. Wraz z moim przyjściem na świat pojawiło się określenie „zbikowany facet”. Gdzie są wszyscy?

- Och, w różnych miejscach.



- Chyba jakoś ich odzyskam. - Już zmierzał w swoją stronę, lecz nagle się odwrócił. - Maggie, masz wolną chwilę? – Gdy podeszła do niego i spojrzała pytająco, powiedział: - Wielki post wkrótce się skończy, a w związku z tym powinniśmy jak najszybciej zaniechać różnych miłych nam uczynków i spróbować takich, które dopiero mogą okazać się miłe. Maggie, wiesz że zawsze pragnąłem kogoś nawrócić, a w całej mojej długiej posłudze jeszcze tego nie dokonałem, w każdym razie nic o tym nie wiem. Czy byłabyś tak dobra i dała satysfakcję starszemu człowiekowi, wreszcie przebywając ten mur?

- Niech ksiądz nie traci niepotrzebnie czasu - śmiejąc się ponagliła proboszcza, lekko go popychając. - Jeśli w ogóle ktoś mógłby próbować nawrócić mnie na waszą wiarę, to tylko ksiądz, ale i on nie jest w stanie nakłonić mnie do tego. Za żadne skarby nie zmienię wyznania.

- Maggie, jesteś twarda. Ani przez chwilę w to nie wątpiłem - oświadczył, ale uśmiech zaprzeczał jego słowom. Pochylając się, dodał konspiracyjnym szeptem: - Wraz z butelką przynieś gorącą wodę i cukier.

- Gorąca woda i cukier to coś w sam raz dla „zbzikowanego faceta”. To jest to - odparła rozchichotana.

Gdy się odwrócił, spostrzegł na korytarzu Annette.

- Dobry wieczór. Już ksiądz wstał?

- Gdybym tego nie zrobił, musiałbym teraz tkwić w łóżku, mając na sobie wszystkie swoje ubrania. Jak się czujesz, moja droga? - Położył rękę na jej ramieniu. - Słyszałem niedawno, że lekarz kazał ci położyć się na jakiś czas.

- Tak, ale czuję się już dobrze.

- Jesteś pewna?

- Prawie.

- A cóż to znaczy?

- Właśnie to.

- Nie nabierasz mnie?

- Nie, absolutnie nie. Chodzi tylko o to, że... – uśmiechnęła się - to po raz pierwszy. - Położyła rękę na wielkim brzuchu.

- Uważaj na siebie, dziecko - przestrzegł ją z powagą.

- To krytyczny okres. Wykonuj polecenia lekarza. Rozmawiałem z nim o tobie, kiedy usiłował ustalić, co mi jest. Nic mu z tego nie wyszło. Powiedział mi: „Lepiej niech ksiądz wstanie, bo ja tu już więcej nie przyjdę”. Dowiedziałem się od niego, że jesteś przemęczona. Nic w tym dziwnego... - Znowu mówił z powagą. Położył rękę na głowie Annette.

- Uważaj na siebie. Don chciałby zobaczyć dziecko. Masz tego świadomość?

- W myślach dodał: „Żyje tylko po to”.

- Tak, wiem o tym.

- I powiedzieli ci, że może będą musieli ponownie zabrać go do szpitala?

- O tym też wiem.

- Zatem wszyscy wiemy, na czym stoimy... - Po krótkiej pauzie spytał już normalnym, nie ściszone głosem: - Gdzie się podziewa głowa tego domu?

- Gdy widziałam go po raz ostatni, szedł do gabinetu.

- Zamienię z nim kilka słów i zajrzę do Dona.

- Ucieszy się. Brakowało mu księdza.

- Miło to słyszeć. Człowiek od razu czuje się lepiej, jeśli ktoś pragnie się z nim spotkać. Ale muszę ci wyznać, że jest osoba, która nigdy nie odczuwa braku mojego towarzystwa.

Ostatnio, o ile się nie mylę, miała na ambonie życiowe występy. Oczywiście wiesz, o kim mówię.

- Wiem, wiem. Przez ostatnich kilka niedziel w kościele było bardzo gorąco.

- Czyli otworzył kilka kolejnych piekieł? - spytał ze śmiechem ksiądz. - To dobrze się składa. Niech no tylko znowu stanę na tej „estradzie”, zaraz ich ochłodzię. Masz na to moje słowo.

- Absolutnie w to nie wątpię.

Rozstali się oboje roześmiani.

Ksiądz zapukał do drzwi gabinetu.

- To ja. Mogę wejść?

- Och, bardzo proszę - odezwał się Daniel. Gdy proboszcz wszedł do środka, powiedział: - Nie spodziewałem się zobaczyć dziś księdza. Nie wiedziałem, że ksiądz już wstał.

- Zdaje się, że już nikt nie spodziewa się mnie zobaczyć, wyjąwszy dzień mojego pogrzebu. Rozczarowałem tylu ludzi. Wchodząc do domu, złożyłem u Maggie zlecenie na gorącą wodę i cukier. Czy słusznie postąpiłem?

- Niech ksiądz siada. Przy kominku.

- Całkiem dobrze grzeją - orzekł proboszcz, spoglądając na elektryczne grzałki, przypominające kształtem szczapy drewna. - Przy odrobinie wyobraźni człowiek może nawet zobaczyć siebie, jak wali w nie pogrzebaczem. Zafunduję sobie takie w swojej sypialni, bo, nie uwierzysz, w Islandii jest cieplej. Dorobiłem się tego w tym zimnie. - Poklepał się po klatce piersiowej. - Po tym, jak złapałem tę gripę, chcę założyć na plebani centralne ogrzewanie. A ludzie wierzą w taki nonsens, że ziąb ma dobry wpływ na duszę i łagodzi emocje. Z powodu tych zimnych sypialni ludzie sypiają po dwoje w jednym łóżku. No, ale zmieńmy temat. Jak się czujesz?

- Och, całkiem dobrze. A ksiądz? Od kiedy ksiądz jest na nogach?

- Od trzech dni. A przy okazji. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tego, co powiem, ale niepokoi mnie wygląd Annette. Jest mizerna i przemęczona. To niby oczywiste w jej stanie, jednak wydaje mi się, że nie jest zdrowa.

- Martwi się o Dona, tak jak my wszyscy.

Maggie wniosła do gabinetu tacę, na której stała karafka, dzbanek z gorącą wodą, cukiernica i dwie szklaneczki.

- Oto prawdziwa pociecha dla duszy. Dziękuję, Maggie. Jesteś niezastąpiona  
- powitał ją proboszcz i wrócił do tematu.

- Nadal nie zdecydowałaś się przebyć tego muru? - W reakcji na pytające spojrzenie Daniela zaczął wyjaśniać z udawaną powagą: - Namawiałem ją, żeby została pierwszą nawróconą przeze mnie katoliczką, niestety - odmówiła. Powiedziała mi prosto w oczy, że nic z tego nie będzie. Nie wie, ile traci. Kiedy byłem chłopcem, wierzyłem, a przynajmniej tak utrzymywała moja matka, że wystarczy nawrócić jedną osobę, by zdobyć przepustkę do nieba, bez względu na to, co się będzie robiło później, ponieważ ten uczynek nigdy nie zostanie człowiekowi zapomniany. Dlatego już jako chłopiec ciężko na to pracowałem. Uważałem, że skoro już ta przepustka wpadnie mi w ręce, to będę mógł rozrabiać, ile zechcę, a moja niebiańska przyszłość i tak nie zostanie mi odebrana – dom z salą bilardową i mnóstwo...

- Czy to nie straszny człowiek? - Maggie patrzyła na Daniela.

- Ja najgorsze z nim chwile mam już za sobą. Dziękuję.

- Skinął głową i zerknął na tacę.

- Jak uporacie się z tym „mnóstwem”, to zadzwońcie.

Napełnię wszystko od nowa.

Wybuchnęli śmiechem.

- Ona jest dla ciebie dobra, a ty dla niej nie - orzekł ksiądz, gdy drzwi zamknęły się za Maggie. - Danielu, wiesz o tym?

- Wszystko zależy od tego, co ksiądz rozumie przez dobroć. Ważne jest też, dlaczego człowiek jest dobry, dla kogo jest dobry i czy ktoś odwzajemnia jego dobroć. Jak ksiądz wie, mam za sobą kawał życia, w którym nie było wzajemnej dobroci pomiędzy mężem i żoną.

Gdy Daniel nalewał whisky, proboszcz obserwował go w milczeniu, a następnie z uznaniem powąchał trunek i wypił sążnisty łyk.

- Dziś po południu widziałem się z Winifred. – Ksiądz Ramshaw oparł się wygodnie na krześle.

- Zamieniam się w słuch.

- Przejeżdżałem tamtędy, więc wstąpiłem do niej.

- No i jak ksiądz ją znajduje?

Duchowny westchnął i odstawił szklaneczkę.

- Myślę, że tylko cud wieli cud mógłby ją przywrócić do normalności.

Wprawdzie mówi nawet do rzeczy, ale tylko do chwili... - lekko uderzył dłonią w stół... - w której wymienia się ten dom lub któregoś z domowników. Może nie powinienem był podejmować drażliwego tematu, ale to zrobiłem. Przypomniałem, że wkrótce jej ukochany syn zostanie ojcem, a ona babką i z naciskiem spytałem, czy to nie cudowne.

- A ona wpadła w szal?

- Nie. Siedziała i patrzyła na mnie. Ale nie byłem w stanie znieść wyrazu jej twarzy i widoku zeszywniałego ciała, więc zwołałem pielęgniarkę i wyszedłem. W drodze powrotnej rozmyślałem o rzeczach, które czynimy z pobudek moralnych, na przykład nakłaniając ludzi, by postępowali zgodnie z powszechnie przyjętymi zasadami czy spełniali swoje obowiązki. I doszedłem do wniosku, że gdybym cię nie namówił do pozostania z Winifred, kiedy po raz pierwszy chciałeś od niej odejść, to może udałoby się uniknąć tego wszystkiego.

- Och, niczego ksiądz nie musi sobie wyrzucać. Obojętnie jak bym postąpił, niczego nie dałoby się uniknąć, bo proszę nie zapominać, że... Nie chcę bluźnić, ale... jestem pewny, że wmówiła sobie, iż przydarzyło się jej niepokalane poczęcie lub dzieworództwo, czy cokolwiek innego. No i nie chodzi tylko o to, że inna kobieta zabrała jej syna, ale również o to, że został zbezczeszczony... To jej ulubione określenie... Żył z kobietą przed ślubem. Łajdaczył się... To też lubi powtarzać... Przez cały rok praktycznie pod jej nosem. Tym się wykończyła. Oczywiście od dawna wiedziałem, że mnie nie cierpi. Jednak nigdy nie chciała, bym od-

szedł, bo nie potrafiłaby pogodzić się z myślą, iż została porzucona, i znieść wyrazów fałszywego współczucia ze strony przyjaciółek z parafii. Ksiądz też o tym wie, że nie lubiano jej nawet w najbliższym gronie, ponieważ przez cały czas udawała damę, i to tak nieudolnie, że łatwo było się zorientować, z jakiego środowiska pochodzi. Co więcej, zawsze chciała wszystkim kierować - w Stowarzyszeniu Matek w Dzieciach Marii, w Komitecie Pomocy Dzieciom z Biednych Rodzin... O tak, chciała, by ją uważano za najlepszą z najlepszych.

- Danielu, przemawia przez ciebie taka gorycz, a przecież Winifred, niech Bóg ma ją w swojej opiece, płaci teraz za swoje słabości. Na swój sposób zdaje sobie z tego sprawę. Ona nie popadła w obłęd, lecz przestała nad sobą panować z powodu przepełniającej ją nienawiści, zawziętości i poczucia klęski. To jest największe nieszczęście, jakie mogło ją spotkać. By udźwignąć klęskę, a tym samym ją przezwyciężyć, trzeba mieć wielki hart ducha. Ale do czego zmierzam... Z tego, co wiem, wynika, że Winifred pozostanie w szpitalu przez długi czas. Potwierdziła to siostra przełożona, której później złożyłem wizytę. Twojej żony nie można odesłać do domu. W obecnym stanie, bo zagrażałaby sobie i innym.

- Nie powiem, że żałuję, bo to byłaby obłuda. Gdyby tu wróciła, musiałbym się wyprowadzić, podobnie jak Annette i Don. - Odwracając głowę, Daniel dodał: - Wie ksiądz aż nadto dobrze, że on może wkrótce umrzeć. Dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby Winifred nigdy nie wyszła ze szpitala.

- Mówisz, że gdyby wróciła, ty i Annette opuścilibyście ten dom, a co z Joem i Stephenem? - dążył ksiądz.

- Zabrałbym Stephena ze sobą. Jestem za niego odpowiedzialny. Zabrałbym również Maggie.

- Ale co z Joem? - Ramshaw nie odrywał oczu od twarzy Daniela.

- On ani nie zechce tu zostać, ani zamieszkać ze mną. Rozpocznie samodzielne życie. Zresztą w pewnym sensie zawsze je prowadził. Uważa mnie za oj-

ca, a ja jego za syna, lecz to tylko pozór związku rodzinnego. On czuje się samotny. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że usiłował odnaleźć swoich prawdziwych rodziców, a przynajmniej ustalić, kim jest jego matka. Przypadkowo natknąłem się na starą pielęgniarkę, przez wiele lat pracującą w katolickim domu dziecka, z którego wzięliśmy Joego. To kobieta dobrze już po siedemdziesiątce, niedawno przeszła na emeryturę. Podeszła do mnie na ulicy i z uznaniem mówiła, że mój przybrany syn wyrósł na wspaniałego człowieka. Nie zdawałem sobie sprawy, że go zna. Powiedziała, że jakiś czas temu Joe odwiedził siostrę przełożoną w katolickim domu dziecka, ale nie dostał od niej żadnej informacji na temat prawdziwej matki. Oświadczyła, że gdyby zgłosił się do niej, wyjawiałaby mu interesujące go fakty. Na ogół uważa się, że w takich sprawach należy zachować milczenie, ale ona się z tym nie zgadza. Sądzi, że dziecko ma prawo znać prawdę o swoich rodzicach.

- No i co, spytałeś ją o jego matkę?

- Tak.

- Czego się dowiedziałeś?

- Podała mi jej nazwisko po mężu i ostatni adres, jaki znała.

- I popchnąłeś sprawy dalej?

- Do pewnego stopnia. Pojechałem do tego domu, lecz okazało się, że od jedenastu lat mieszka tam rodzina przybyła z Azji. Dowiedziałem się od tych ludzi, że poprzedni właściciel wyemigrował do Australii.

- Nie powiedziałeś o tym Joemu?

- Nie.

- A sądzisz, że powinieneś?

- Mam wątpliwości. Mógłby wyjechać do Australii i szukać wiatru w polu.

A co ksiądz by zrobił na moim miejscu?

- Trzymałbym gębę zamkniętą na kłódkę i zajmował się własnymi sprawami. To, o czym mówisz, nie jest dla mnie czymś nowym. Wiedz, że tylko jedno

dziecko na dziesięcioro jest zadowolone z rezultatów swoich poszukiwań. Większość czuje się zawstydzona tym, co odkryła. To dziwne, ale nieślubne dzieci muszą się ucześcić jakiegoś społecznego mitu, by móc udźwignąć ogólnie przyjętą opinię, że są gorsze od tych ślubnych. Wymyślają więc sobie przeszłość: pochodzenie, koneksje, rodziców, a zwłaszcza - ojców. Nie znajdziesz wśród tych „ojców” dokera, kierowcy autobusu, pomywacza czy klozetowego. Co to, to nie. Zwykle są to lekarze, a wśród nich często chirurdzy. Jeśli zaś chodzi o miejsce studiów, to wskazują na absolwentów Oxfordu czy Cambridge. Niektóre wyobrażają sobie nawet, że są spokrewnione z rodziną królewską. Och, nie unosz tak brwi. Ksiądz to prawdziwa kopalnia wiedzy o utraconych ideałach i idolach. Gdy na przykład sympatyczną dziewczynę, która ma przyjemną pracę w biurze i dobrych przybranych rodziców, ogarnie nagle chęć poznania tych prawdziwych, na ogół dowiaduje się, że matka pochodzi z wielodzietnej rodziny, a rodzeństwo nie ma z siostrą kontaktu, bo ta kobieta jest od lat prostytutką. Bynajmniej nie zdradzam ci tajemnic spowiedzi, gdyż dokładnie coś takiego przydarzyło się mojej siostrze i szwagrowi. Adoptowali kiedyś dziewczynkę. Świata poza nią nie widzieli. Otóż gdy poznała prawdę o swojej matce, nie potrafiła się pozbierać. Myślisz, że z nimi została? Ale skąd. Złamała im serce, tak jak jej złamano. Oczywiście, mógłbyś na to powiedzieć, że taki mężczyzna jak Joe zareagowałby inaczej, że zniósłby cios. To nieprawda. Mężczyźni są jeszcze surowsi w ocenie swoich matek, ponieważ każdy w głębi ducha pragnie, by jego matka była porządną kobietą. Żona może się okazać łajdaczką, lecz nigdy matka. Poza tym mężczyzna do końca swoich dni wstydzi się nieślubnego pochodzenia. Nie opowiadam ci bajek. Mam tego dowody. Więc radzę ci, nie budź licha w Australii, w Timbaktu czy gdziekolwiek indziej. Tak... - Ogrzał ręce przy kominku. - Tak tu przyjemnie, że nie chce mi się ruszyć z miejsca, ale muszę odwiedzić Dona. Nie zaprowadziłbyś mnie do niego? - Gdy podnieśli się z krzeseł, ksiądz zawahał się chwilę, po czym spytał; — Oczywiście zawiadomisz mnie, jeśli nastąpi nagłe pogor-



szenie? Nie chciałbym zbyt szybko udzielać Donowi ostatniego namaszczenia, bo choć na ogół przynosi ono ulgę w cierpieniu - jestem tego pewny - to Don mógłby tego nie wytrzymać. A wszyscy pragniemy, by uczeplił się życia. Gdy jednak się zorientujesz, że zbliża się koniec, zawiadom mnie o każdej porze dnia i nocy.

- Uczynię to, choć nie musi się ksiądz martwić, że mógłby przyspieszyć jego odejście, udzielając mu ostatniego namaszczenia. On wie, że wkrótce umrze. Jak powiedziałem, stara się tylko dotrzeć do chwili, w której zobaczy dziecko.

**Późnym** wieczorem Daniel zjawił się w kuchni.

- Maggie, tu czy w domu twojej kuzynki, co to za różnica?

- Dla mnie podstawowa. To wciąż jest dom Winifred. Wszędzie tu czuć jej obecność, a ty chcesz, żebym spała w twoim łóżku. Jesteś niewrażliwy.

- Ja tak na to nie patrzę. Powiedziałem ci przed chwilą, co mówił ksiądz. Wszystko wskazuje na to, że upłynie dużo czasu, zanim Winifred wróci do tego domu, jeśli w ogóle wróci, więc dlaczego mam być z tobą tylko raz w tygodniu? Och, Maggie... - objął ją- jesteś mi potrzebna. Nie myślę tylko o tych rzeczach. Wiele razy w ciągu dnia, kiedy na placu jest największy ruch, chcę rzucić wszystko i zadzwonić do ciebie tylko po to, żeby usłyszeć twój głos... a gdy wieczorem wracam do domu, mam ochotę pójść prosto do kuchni i uścisnąć cię. Naprawdę nie chodzi tylko o te rzeczy. Jesteś dla mnie wszystkim - towarzyszką życia, przyjaciółką i kochanką. Owszem, kochanką też – to bardzo ważne. W nocy leżę tam... - uniósł głowę - i przewracam się z boku na bok myśląc o tym, że jesteś w tym domu, tak blisko... Skoro jednak nie chcesz przychodzić do mojej sypialni, to może zgodzisz się, żebym ja przychodził do twojej?

- Dan, ja też potrzebuję ciebie jako towarzysza życia, przyjaciela i kochanka, bo i ja, leżąc w swoim łóżku, myślę o tobie i mam ochotę pobiec do ciebie na górę. Ale coś mnie powstrzymuje. Mam skrupuły - wymamrotała, oparłszy czoło na jego ramieniu.

Odsunął się od niej i smutno uśmiechnął.

- Winifred nie chciała mnie przyjmować w swojej sypialni, bo moje ciało budziło w niej lęk. Ty nie chcesz przychodzić do mojej sypialni z tego samego powodu.

- Dan, jesteś nie w porządku i dobrze o tym wiesz. Przekręcasz moje słowa. Przychodziłabym do twojej sypialni wszędzie indziej, tylko nie w tym domu.

- Więc pozwól mi przychodzić do ciebie na dół. Maggie, taka sytuacja może trwać przez całe lata. I co mamy w związku z tym robić? Mieszkać osobno? Tak przynajmniej wynika z tego, co powiedziałaś. Spotykać się raz w tygodniu w domu twojej kuzynki? Kochać się jakby pod przymusem, żeby nie zmarnować jedynej ku temu okazji? Nie chcę tego. Bardzo cię potrzebuję. Powtarzam: nie jesteś dla mnie tylko kochanką. Chciałbym, żebyś po prostu przy mnie była. Cza-

sami wystarczy siedzieć lub leżeć obok siebie w milczeniu, czuć wzajemną bliskość.

Gdy w hallu zadzwonił telefon, patrzyli na siebie w milczeniu.

- Kto może dzwonić o tej porze? - odezwał się Daniel.

- Odbiorę.

- Nie, nie. Ja to zrobię. - Odsunął ją i w pośpiechu wyszedł z kuchni.

- Halo?

- Daniel? Mówi Flo.

- Flo, co się stało?

- Nic się nie stało. Na tym końcu linii telefonicznej wszystko jest w najlepszym porządku. Mam dla ciebie wiadomość. Pobieramy się z Harveyem.

- Nie jestem tym zaskoczony - odparł ze śmiechem.

- Możesz nie być, ale ślub odbędzie się niebawem - w najbliższą sobotę.

Ucieszyłabym się, gdybyś przyjechał.

- W najbliższą sobotę?! Skąd ten pośpiech? Chyba nie jesteś...

- Nie, nie jestem w ciąży. Chodzi o to, że Harvey dostał wspaniałą ofertę pracy - we właściwym momencie, bo nie ma tu teraz zbyt dużego ruchu, przynajmniej w jego kancelarii. To oferta pracy w Kanadzie i naturalnie on chce ją przyjąć.

- Trudno się dziwić. Flo, bardzo się cieszę, choć z drugiej strony, przykro mi, że was stracimy. Będzie mi was brakowało. Lubię Harveya od pierwszego naszego spotkania.

- Zupełnie tak samo jak ja. Okazało się, że spodziewał się tej oferty, ale nie powiedział mi. Bał się, że nic z tego może nie wyjść. Jak...

- Słucham, słucham, Flo?

- Jak rozumiesz, nie będzie już cotygodniowych wizyt u Winnie... Musisz jakoś rozwiązać ten problem.

- Nic nie mogę zrobić. Był tu po kolacji ksiądz Ramshaw. Dziś po południu odwiedził Winnie w szpitalu. Mówił, że ona skreca się na sam dźwięk mojego imienia. Ale nie przejmujcie się z tego powodu. Serdeczne dzięki za wszystko, co do tej pory dla niej zrobiliście. Oczywiście zjawię się w sobotę na waszym ślubie, a jeśli nie ja, to Joe.

- A obaj nie moglibyście przyjechać? Och, nie. Nie wypada o to prosić. Ucieszę się, mogąc zobaczyć któregoś z was. Jak się czuje Annette?

- Niestety, nie najlepiej. Lekarz posłał ją na tydzień do łóżka, ale wytrzymała zaledwie dobę. Nie będę zaskoczony, jeśli urodzi przed czasem, choć nie tracę nadziei, że nastąpi to w przewidywanym terminie. Jak długo zamierzacie zostać w Kanadzie? Czy to przeprowadzka na całe życie?

- Tak, ale oczywiście najpierw musimy się przekonać, jak nas traktują. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Oczywiście, lecz jestem pewny, że gdy poznają Harveya, od razu go zaakceptują.

- Żałuję, że brakuje mi twojej pewności. Nie będzie mógł nocować w głównych hotelach. Wiesz o tym? I bywać w klubach. Na szczęście, jeśli chodzi o tę ostatnią sprawę, jest roztropny po tym, jak Gerry'ego Morleya - naszego przyjaciela, o którym ci opowiadaliśmy - nie wpuszczono nawet do klubu robotniczego. Nie uwierzyłbyś, co? Gerry nie jest ani trochę podobny do opanowanego Harveya. Zaczął robić raban i niewiele brakowało, a zgarnęłaby go policja. Więc jeszcze nie wiadomo, jak będzie z tą Kanadą. Musimy się wstrzymać z podjęciem ostatecznej decyzji.

- Wiesz, że z całego serca życzę wam pomyślności. Będzie nam was bardzo brakowało. W ciągu kilku ostatnich tygodni byliście jedynymi ludźmi, którzy wnosili do naszego domu nieco pogody.

- Danielu, dziękuję. Zatem do soboty. Najlepiej przyjedź w piątek wieczorem, bo ślub jest w sobotę rano.

- Przyjadę, przyjadę. Dobranoc. Niech Bóg wam błogosławi.

- To cudownie - skomentowała Maggie, gdy Daniel zrelacjonował jej rozmowę z Flo. - Ale wątpię, by w Kanadzie żyło im się lżej niż w Anglii. Straszne, że dotyka to tak wspaniałych ludzi. Nigdy wcześniej nie znałam nikogo o tak nienaganych manierach jak Harvey. To dżentelmen nad dżentelmenami, lecz z powodu koloru skóry grożą mu szykany. Kiedy pomyśleć o tych wałkoniach, których pełno dookoła, aż język świerzbi, żeby takiemu przygadać; tym na wysokich stanowiskach też. Ale czy trzeba daleko szukać? Wystarczy spojrzeć na ojca Annette. To jedyny tu człowiek, który nie odzywa się do Harveya, lecz to nie kto inny, tylko on nie rozmawia z własną córką. Czy rzeczywiście zwija interes?

- Nie, to tylko plotki. Za dobrze mu się tu powodzi.

- A czy się stąd wyprowadzają?

- Domyślam się, że tak.

- Ktoś mówił, że gdzieś pod Carlisle.

- Jeśli o mnie chodzi, to mogą się wynieść do samego piekła. Ale wracając do nas... Maggie, jak będzie?

- Danielu, muszę... muszę się nad tym zastanowić. Na razie to odłożmy. - Stała przy piecu, przesuwając nawilżacz bliżej bojlera, by nie patrzeć Danielowi w oczy, ale gdy to powiedziała, uniosła głowę.

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

- Dobrze, lecz niech to „na razie” trwa krótko. Maggie, proszę.

## Rozdział siódmy



W czwartek, o wpół do siódmej rano Annette poczuła się źle. Zbudził ją ostry ból w dole brzucha. Przez chwilę myślała, że zemdleje. Ostrożnie przysunęła się do krawędzi łóżka i zerknęła na zegarek. Daniel i Joe zwykle nie wchodzili tu przed siódmą, a pielęgniarka zjawiała się o ósmej. Annette wstała i spojrzała na Dona, który spał dzięki zażytej wieczorem pigułce nasennej. Bezszelestnie okrzyknęła jego łóżko i przeszła do saloniku. Zanim zdążyła dotrzeć do kanapy, ponownie przeszył ją ból. Pochyliła się, chwytając za brzuch. Z wysiłkiem podeszła chwiejnym krokiem do rzędu dzwonek na ścianie i wcisnęła jeden z nich. Po chwili usłyszała w korytarzu odgłosy stóp kogoś biegnącego.

- Co się dzieje? - W saloniku stał Joe.

- Joe...

- Tak? Nie denerwuj się. Spokojnie. - Podprowadził ją do kanapy i usiadł.

Otoczył Annette ramieniem. - Masz bóle?

- Myślę... że to się zbliża. Lepiej... lepiej wezwij lekarza.

- Jesteś pewna, że zaczął się poród?

- Okropnie boli mnie brzuch.

Natychmiast wstał z kanapy i podszedł do telefonu.

- Lekarz już wychodzi z domu. - Joe usiadł z powrotem obok Annette. - Zaczeka tu. Połóż się.

- Nie... nie mogę. Och, nie! - wykrzyknęła z jękiem. Joe mocno przycisnął ją do siebie.

- Postaraj się zachować spokój. Wszystko będzie dobrze. Nie ruszaj się. Zadzwoń po tatę. Przyniesie ci coś gorącego do picia, to może zmniejszyć ból. -  
Nacisnął inny dzwonek w ścianie.

Po chwili do saloniku wbiegł Daniel.

- A więc zaczęło się? - Przez moment zawahał się przy drzwiach.

- Tato... tato, za wcześnie się zaczęło.

- Wiem, wiem, kochanie, ale wszystko w porządku. To się często zdarza.

Nic ci nie grozi. Przekonasz się. Wezwaliście lekarza?

- Telefonowałem do niego. Jest w drodze.

- O Boże! Och, nie! - Twarz Annette wykrzywił grymas bólu.

Daniel i Joe przytrzymywali jej skrzyżowane ciało.

- Dlaczego, do licha, on się nie pośpieszy? – mruknął Daniel.

- Gdy zadzwoniłem, jeszcze spał. Musiał się ubrać - tłumaczył syn.

- Potrzebuje tylko pięć minut, żeby tu dojechać.

- Tato, obudź Maggie, ale zachowuj się cicho, przechodząc przez sypialnię Dona. Im później dowie się o wszystkim, tym lepiej.

Maggie i lekarz weszli do saloniku niemal równocześnie. Annette dyszała ciężko.

- Proszę! Proszę coś zrobić. - Ścisnęła lekarza za rękę.

- Oczywiście, że coś zrobimy. Proszę się nie niepokoić. Jak często miewa pani bóle?

- Wydaje mi się, że... że przez cały czas... przez cały czas.

Lekarz przeszedł obok Daniela do telefonu.

- Za kilka minut przyjedzie karetka - powiedział po krótkiej rozmowie.

- Karetka? - Annette z wysiłkiem usiadła.

- Tak. I proszę się położyć. Pojedzie pani do szpitala.

- Myślałam... Myślałam...

- W szpitalu też będzie pani mogła myśleć, o czymkolwiek pani zechce. Teraz tam jest pani miejsce. Ani się pani spostrzeże, jak będzie po wszystkim. Nie ma powodu do niepokoju. - Odwrócił się do Daniela i Joego. - Proszę, niech panowie się ubiorą. Byłoby dobrze, gdyby któryś z was pojechał z nią do szpitala

- Tato, zostań w domu z Donem - powstrzymał Joe przygotowanego na wyjazd Daniela. - Ja z nią pojedę.

- W porządku, chłopcze. W porządku - Daniel zgodził się zaskakująco łatwo.

Zanim przyjechała karetka, Annette jeszcze trzykrotnie miała atak bólu. Po wyjściu teścia i szwagra kurczowo trzymała się Maggie. Ale gdy sanitariusze wnieśli nosze, odprawiła ich.

- Potrafię... iść o własnych siłach. I... i chciałabym spojrzeć na męża.

Lekarz i Daniel pomogli jej wstać i zaprowadzili ją do sypialni Dona. Trwająca od jakiegoś czasu krzątanina szczęśliwie nie zdołała chorego obudzić. Annette pocałowała go w policzek. Gdy Don się poruszył i wymamrotał coś pod nosem, lekarz szybko odwrócił ją od łóżka.

- Przeszła pani o własnych siłach już całkiem spory kawałek. Proszę się położyć na noszach. Okryjemy panią i przestanie pani myśleć o wszystkim z wyjątkiem tego, że wkrótce urodzi się wspaniałe dziecko. Później panią odwiedzę. Powiadomiłem doktora Waltersa. Czeka w szpitalu - oświadczył lekarz, gdy znaleźli się na korytarzu.

W reakcji na kolejny atak bólu zaczęła jęczeć. Sanitariusze przystanęli, a ona spojrzała na Joego.

- Zostaniesz w szpitalu, dopóki to nie nastąpi? - spytała, z trudem łapiąc oddech.

- Zostanę. Nic się nie martw. Zostanę.



W dwie godziny później nadal siedział w szpitalnej poczekalni. Zdażył już wypić cztery filiżanki herbaty i wiele razy oświadczyć przyszłym ojcom, że nie jest mężem, tylko szwagrem.

- To gdzie się podział ten facet, nawiał? - dopytywać młody mężczyzna.

- Nie, jeszcze tkwi w łóżku - odpowiedział mu dwuznacznie Joe.

- Człowieku, nie pleć! - obruszył się zaskoczony rozmówca.

- Nie plotę.

- Leży ubzdryngolony?

- Nie, choć szczerze żałuję, że tak nie jest. Miał wypadek - powiedział spokojnie Joe.

- Och. - Młodemu mężczyźnie zrobiło się głupio. - A to pech. Czekać tu to święte prawo każdego przyszłego ojca, prawda?

- Tak. Myślę, że tak.

- Ten to chciał wparować do porodówki - szeptał młody mężczyzna, wskazując dłonią na przyszłego rodzica, nerwowo przechadzającego się po poczekalni. - Mieści się to panu w głowie? Cholera, nie chce taki przejść przez to wszystko jak każdy inny, tylko śni mu się, że uniknie czekania. Ach, co za ludzie!

Joe roześmiał się, ale nie był w pełni zaangażowany w tę rozmowę, gdyż w duchu modlił się, by Annette nie stało się nic złego i by - jeśli ktoś miałby umrzeć - spotkało to nie ją, lecz dziecko. Wyznawaną w katolicyzmie zasadę, że należy ratować życie dziecka kosztem życia matki, uważał za nieporozumienie, za błąd Kościoła. Postanowił przy najbliższej okazji powiedzieć o tym księdzu Ramshawowi lub, jeszcze lepiej, księdzu Cody'emu. Zamierzał rzucić im to w twarz. Gdyby - chcąc ratować dziecko - dopuszczono, by coś stało się Annette, straciłby jedyny jasny punkt w swoim życiu. Z powodu ostatnich wydarzeń toczył nieustanną wewnętrzną walkę. Choć ukrywał ją pod maską spokoju, sam widok rosnącego brzucha Annette budził w nim coraz większą zazdrość o Dona. Oczywiście Joe miał świadomość, że brat nigdy więcej nie spłodzi z Annette

dziecka, a mimo to zazdrość go nie opuszczała. W pewnym sensie podtrzymywał to przykre uczucie, ponieważ stale przypominało mu, że wszystko mogło potoczyć się inaczej. Jak bardzo teraz żałował że nie był dostatecznie silny i zdecydowany, by wkroczyć do akcji, zanim ojciec zaczął robić wszystko, by wyrwać Don z uścisku matki. Gdyby wówczas Joe ujawnił swoją miłość wobec Annette, brat nie leżałby teraz na łożu śmierci, a matka nie byłaby w szpitalu psychiatrycznym.

- Panie Coulson? - Pielęgniarka poklepała go po ramieniu. - Wszystko w porządku. Niech pan przestanie się martwić. Poród przebiegł pomyślnie.

- Ona...

- Nic jej nie jest. Śpi. Musieliśmy zrobić pani Coulson cesarskie cięcie. Ma pan dziewczynkę... to znaczy... - roześmiała się - bratanicę.

- Dziewczynkę?

- Tak... - Pielęgniarka ponownie się roześmiała. - Skoro bratanica, to myślę, że dziewczynka. Bratanica jest dziewczynką, tak jak bratanek chłopcem. Nie ma innej możliwości.

Odetchnął z ulgą i spojrzał na pielęgniarkę z taką wdzięcznością, że przyciągnęło to uwagę pozostałych mężczyzn.

- To jakiś podejrzany facet. Szwagier, a miał większego pietra ode mnie - skomentował któryś z oczekujących, gdy Joe wyszedł z pielęgniarką.

Stał przed szybą oddzielającą salę noworodków i spoglądał na wskazaną przez pielęgniarkę pomarszczoną jak u staruszki twarz dziewczynki, która leżała na jednym z łóżeczek.

- Jest śliczna. Chudziutka bo wazy niecałe trzy kilogramy, ale śliczna - odezwała się pielęgniarka.

- Czy mogę ją odwiedzić? - spytał z uśmiechem Joe. - To znaczy panią Coulson.

- To nie ma sensu, przecież mówiłam, że pani Coulson śpi. Na pana miejscu pojechałabym do domu i przekazała ojcu radosną wiadomość, potem wzięła kąpiel i zjadła porządne śniadanie. Gdy się pan upora z tym wszystkim, pani Coulson z pewnością już się obudzi.

- Dziękuję, siostró. Zrobię, co siostra radzi, ale czy mógłbym porozmawiać z lekarzem, zanim...

- Och - przerwała mu ze śmiechem. - Będzie o to łatwiej, kiedy pan tu wróci. Lekarz jest nadal w sali porodowej. Pomaga przyjść na świat kolejnemu dziecku. Wydobywa nowe życie... z głębokości.

- Dziękuję bardzo - odparł, również ze śmiechem, i poszedł do wyjścia. „Z głębokości”. Czyżby pielęgniarka była wierząca?

***Z głębokości wołam do Ciebie, Panie,***

***O Panie, słuchaj głosu mego,***

***Nakłoń swoich uszu.***

***Ku głośnemu błaganiu mojemu.\*<sup>2</sup>***

Ile razy ostatnio wypowiadał te słowa, choć nie dawały mu spokoju różne wątpliwości, poważne wątpliwości... Zastanawiał się, czy w ogóle istnieje ktoś, kto wsłuchuje się w ludzkie myśli i słowa. A gdyby Annette coś się stało, uznałby, że przez całe lata, podobnie jak miliony innych ludzi obecnie i w przeszłości, mówił tylko do siebie. I nigdy więcej nie prosiłby Boga o umocnienie wiary, nie wypowiadałby słów:

„Wierzę, Panie, że rozproszysz moje wątpliwości”. Ale Annette przeżyła poród.

---

<sup>2</sup>\* Psalm 130(129) [Biblia Tysiąclecia, s. 694, wyd. IV, 1955].

Joe wyszedł ze szpitala. Wciągnął do płuc lodowate powietrze i spojrzał w niebo. Błękitu nie zakrywała najmniejsza chmurka, lecz było bardzo zimno, jak w środku zimy.

Joe przyjechał tu karetką, więc wracał do domu zatłoczonym autobusem. Wszyscy, z wyjątkiem jednej kobiety, która siedziała obok Joego, mówili o nagłym oziębieniu.

- Jest tak już od trzech dni - odezwała się do niego cicho. - Gdy zrobiło się zimno, powiedziałam, że spadnie, nieważne, że jest koniec marca. Zobaczysz pan. Wsiadam tu. – Przeszła obok niego i powiedziała na pożegnanie do widzenia.

- Do widzenia.

Joe doszedł do wniosku, że jeżdżąc samochodem wiele się traci, bo nie tylko przemyka się przez miasto, nic nie widząc, ale i nie ma się kontaktu z ludźmi. Od dawna nie powiedział nikomu do widzenia, ani nikt jemu. W biurze trzech mężczyzn i dwie kobiety zawsze mówili: „Cześć! Do jutra”. Najbliższe słowom, jakimi pożegnała Joego nieznajoma kobieta, było czasami używane przez pracujących w biurze ludzi „do zobaczenia”.

Ta kobieta mogłaby być jego matką. Zerknął na inne jadące autobusem starsze kobiety i stwierdził, że każda z nich mogła nią być. Ale zaraz pojawiła się wątpliwość. Wszystkie wyglądały na robotnice lub na żony robotników, a jego matka była... Kim była jego matka? Och, nie! Powinien przestać się łudzić. Poza tym nie skończy się na poszukiwaniu matki, bo jeśli ją odnajdzie, będzie chciał odnaleźć również ojca. Z drugiej strony, mógłby odzyskać spokój tylko wtedy, gdyby spróbował rozwiązać dręczący go problem. Uznał więc, że powinien się dowiedzieć, kim są jego prawdziwi rodzice. Jako nastolatek sądził, że gdy dorośnie, przestanie o tym myśleć. Jednak teraz stało się to jego obsesją. Równocześnie bał się spotkania z prawdziwą matką. Bo jak będzie się czuł, jeśli stwierdzi, że ona jest nim rozczarowana? Mimo że nie miał pewności, czy podoła tej konfrontacji, postanowił podjąć ryzyko. Nie potrafił jednak odepchnąć od siebie my-

śli, że rodzona matka go odrzuciła, tak jak później matka zastępcza. W innym sensie odrzuciła go również Annette. Czy zatem po wszystkim, co przeżył, zdołałby znieść powtórne odrzucenie przez rodzoną matkę? Nie był tego pewny, ale żył w pustce uczuciowej i musiał ją czymś wypełnić. Już nie widział siebie przy Annette i nie chodziło o to, że nie bardzo wiedział, kiedy można zająć miejsce u boku wdowy. Nie liczyło się też pragnienie Dona, by Joe ożenił się z Annette. Joe uważał, że byłoby coś nieprzyzwoitego w jego związku z żoną nieżyjącego brata. Poza tym Annette traktowała go jak starszego brata. Och, wszystko się tak skomplikowało. Żałował, że wsiadł do autobusu. Nie, wcale nie żałował, bo lubił przebywać wśród ludzi. Był wewnętrznie rozdarty. Od dawna. Bo dlaczego kiedyś poprosił Daniela, by ten pozwolił mu zamieszkać w pawilonie - osobno? Oczywiście dobrze wiedział, dlaczego. Musiał się odsunąć od rodziny na tyle, na ile było to możliwe, ponieważ odrzuciła go przybrana matka, a przybrany ojciec zadawał sobie tyle trudu, by mu to jakoś wynagrodzić. Joe nie wytrzymał ani jednego, ani drugiego. Może powinien spotkać się z Jessicą Bowbent? Albo z Irenę Shilton? Nie, tylko nie z Irenę. Zatem pozostawała mu Jessica lub, jeszcze lepiej, Mary Carter. Tak, nadal wyłącznie Mary...

W drzwiach stała Maggie, za nią Daniel, a w głębi Peggy i Lily.

- I co?

- Czuje się dobrze. Urodziła dziewczynkę.

Daniel zamknął oczy i odetchnął z ulgą.

- To dlaczego, u diabła, nie zadzwoniłeś? Siedzieliśmy tu jak na szpilkach - spytał niemal napastliwym tonem.

- Czy w domu nie ma telefonu? Chyba mogłeś zadzwonić do szpitala? - odburknął Joe.

- W porządku, chłopcze. W porządku. Nie denerwuj się - łagodził sytuację Daniel, zaskoczony opryskliwą odpowiedzią syna. Poklepał go po ramieniu. -

Rozumiem, jak bardzo się niepokoiłeś. A ja, mówiąc szczerze, bałem się zatelefonować. No już dobrze. Teraz coś zjesz.

- Za chwilę. Najpierw pójde do Dona.

- Jasne, jasne. Leży jak na rozżarzonych węglach. Nie mógł uwierzyć, że spał tak mocno, gdy Annette wychodziła.

Joe pobiegł do sypialni brata, ale na moment zatrzymał się przed drzwiami, zbierając siły.

- No i czym tatusiem zostałeś? - rzucił od progu.

- Urodziła? - Stojąca przy łóżku pielęgniarka odwróciła się do Joego.

- Tak. - Już był przy Donie, ale brat milczał, więc krzyknął:

- Hej, człowieku! Powiedz coś!

- Jak ona... się czuje? Nic jej nie jest? - spytał Don słabym głosem.

- Czuje się dobrze - odparł Joe, choć nie wiedział, czy to prawda. - Urodziła ci córkę.

- Dziewczynkę?

- Córka to dziewczynka. Tak odpowiedziała mi pielęgniarka - oświadczył z naciskiem Joe.

Don oparł głowę na poduszkach. Spoglądał w sufit, zagryzając wargi.

- Ile waży? Czy dobrze się czuje, to znaczy czy nic jej nie dolega? - włączyła się do rozmowy pielęgniarka.

- Oczywiście, że nic jej nie dolega. Nie wiem, ile waży. Och, wiem. Jeśli dobrze pamiętam, pielęgniarka powiedziała, że ponad trzy kilogramy. Byłem trochę nieprzytomny. Mówię wam, w poczekalni tłoczyło się tylu przyszłych ojców. Żaden nie potrafił usiedzieć w miejscu. - Widząc, że z przymkniętych oczu brata płyną łzy, powiedział niemal szeptem:

- Och, nie. Człowieku, nie. To cudowna wiadomość. No, już...

- Czy mężczyzna nie może płakać z radości? Właśnie tak się dzieje. Prawda, panie Coulson? - odezwała się do Dona pielęgniarka, delikatnie ocierając mu łzy.

- A teraz musimy to uczcić. Co panowie na to? - Spojrzała na Joego, jakby udzielała mu reprimendy.

- Oczywiście. To wspaniały pomysł - podchwycił skwapliwie i pośpiesznie wyszedł z sypialni.

Był zaskoczony, że ojciec nie poszedł z nim do brata.

- O co chodzi? Dlaczego nie wszedłeś tam razem ze mną? - spytał schodzącego po schodach Daniela.

- Jakoś... jakoś nie mogłem... Bałem się, że nie zapanuję nad wzruszeniem. Ale teraz pójdę do niego - odparł, nerwowo przeczesując włosy palcami.

- Idę do jadalni po alkohol.

- Słuszna myśl. - Daniel uśmiechnął się. - Poprosimy wszystkich do sypialni Dona. Pójdę po Stephena. Peggie jest u niego. - Zatrzymał Joe, gdy ten ruszył do jadalni. - Poczekaj. Mam do ciebie prośbę...

- Wiesz, że nie musisz mnie o nic prosić. O co chodzi?

- Czy nie pojechałbyś w sobotę zamiast mnie na ślub Flo i Harveya? Trzeba wyjechać do Londynu w piątek wieczorem. Zrobisz to?

- Ma się rozumieć. Pomknę tam jak strzała, ale sądziłem, że chcesz być na tym ślubie.

Daniel odwrócił głowę i przez chwilę spoglądał na ścianę.

- Chcę, ale mam dziwne przeczucie. Nie chcę zostawiać Dona nawet na jeden dzień. Wydaje mi się, że niknie w oczach. - A ty jak uważasz?

- Rzeczywiście słabnie coraz bardziej. Wszyscy to zauważamy, ale chyba nie w takim tempie, jak sugerujesz. Myślę, że jeszcze trochę pożyje, zwłaszcza że narodziny dziecka to dla niego pozytywny bodziec.

- Możliwe, że masz rację, ale nie jestem tego pewny. Tak czy inaczej czuję, że powinienem zostać w domu. Rozumiesz?

- Oczywiście. Ja też nie zabawię w Londynie do niedzieli. Wrócę do domu zaraz po ślubie, w sobotę wieczorem. Pewnie powinniśmy zadzwonić do Flo i powiedzieć jej o dziecku.

- Jasne, ale czy nie byłoby lepiej, gdyby zrobił to sam Don? Przeniesiemy aparat do jego sypialni.

- Świetny pomysł. Idź do Dona i powiedz mu o tym, a ja wezmę alkohol i zawołam wszystkich.

W dziesięć minut później wokół łóżka Dona stali: Maggie, Lily, Peggy, siostra Pringle, Daniel i Stephen. Trzymali w rękach kieliszki. Joe siedział na krześle przy łóżku Dona i dzwonił do ciotki.

- Jest gdzieś w kancelarii. Zaraz poproszą ją do telefonu... Czy rozmawiam z panią Jackson?

- Jestem przy telefonie. Kto mówi?

- Nie poznaje mnie pani po głosie? To pani cichy wielbiciel, Joseph Coulson.

- Och, Joe! Czy coś się stało?

- Ależ skąd. Pewien dżentelmen chce z tobą porozmawiać. Oddaję mu słuchawkę.

- Dzień dobry, Flo - przywitał ją Don.

- Don?!

- Tak, we własnej osobie. A myślałaś, że kto? I traktuj mnie z szacunkiem, bo rozmawiasz z ojcem maleńkiej dziewczynki.

- O mój Boże! Urodziła... Dobrze się czuje? A jak dziecko?

- Wszystko po kolei, ko-bieto. - Wymówił to słowo tak jak wymawiał je Harvey, więc wszyscy się roześmiali. – Annette czuje się dobrze i mamy córkę.

- To cudownie, cudownie. Och, gdybym tylko mogła, zaraz bym do was przyjechała. Wpadniemy w przyszłym tygodniu.

- Flo?



- Tak, kochanie?

- Damy jej na imię Flo. - Spojrzał na zaskoczone twarze. - Ustaliliśmy z Annette, że jeśli urodzi się chłopiec, to będzie miał na imię Harvey, a jeśli dziewczynka, to nazwiemy ją Flo; nie Florence, tylko Flo.

- Cudownie - odparła po chwili milczenia wzruszona ciotka. - Och, jaka jestem dumna, zwłaszcza że chłopcu dalibyście na imię Harvey. Jaka szkoda, że Harveya nie ma w tej chwili w kancelarii. Właśnie wyszedł do sądu. Ogromnie się ucieszy. Naturalnie wiesz, że w sobotę bierzemy ślub?

- Wiem, wiem i spodziewam się, że do końca życia będziecie ze sobą szczęśliwi. Właściwie jestem tego pewny. Ten twój Harvey to wspaniały człowiek. - Wyczerpany rozmową Don ciężko dyszał. - Oddaję słuchawkę temu wielkiemu facetowi. - Opadł na poduszki.

- No i co? Czy to nie cudowna wiadomość? - zagadnął Joe.

- Absolutnie. Jak naprawdę czuje się Annette? - zaczęła się dopytywać Flo.

- Nic jej nie jest. Przed chwilą wróciłem ze szpitala. Zjem coś i wpadnę tam w drodze do pracy.

- Uściskaj ją serdecznie ode mnie i przekaż podziękowania za pamięć o naszych imionach. Gdy jutro wieczorem przyjedzie tu Daniel, powie mi więcej.

- Wszyscy czekamy w napięciu, z kieliszkami w ręku, by uczcić narodziny małej Flo. Do zobaczenia - pożegnał ciotkę Joe, nie powiedziawszy jej, że zjawi się na ślubie zamiast Daniela.

- Do zobaczenia, Joe. Niech Bóg wam błogosławi.

Odłożył słuchawkę i wziął do ręki kieliszek.

- Za pomyślność małej Flo. - Wzniósł toast, patrząc z niepokojem na wciąż z trudem oddychającego Dona.

Jeszcze nie wypili wina, gdy pielęgniarka przejęła inicjatywę.

- Niestety, na każdego czekają jakieś obowiązki, więc pozwolą państwo, że zacznę wykonywać swoje. Wy, panowie... - spojrzała na Joego i Stephena - mo-

zecie pójść na śniadanie. A pana... - zwróciła się do Daniela - chciałabym prosić o pomoc.

Joe rozumiał, skąd ten pośpiech, bo Don oddychał z coraz większym trudem. Wziął Stephena za rękę i szybko wyszli z sypialni. Starszy brat nie zaprotestował. Od chwili powrotu Dona ze szpitala był bardzo spokojny. Godzinami przebywał z chorym bratem, ale się nie naprzykrzał. W czasie dyżuru pielęgniarki siedział na krześle w rogu pokoju i po prostu patrzył na Dona, uśmiechając się, gdy napotkał jego wzrok. A kiedy tylko za pielęgniarką zamykały się drzwi, siadał na brzegu łóżka i trzymał brata za rękę, dopóki ten mu pozwolił. To zdumiewające, że w ogóle przestał paplać.

- Proszę pomóc mi go podnieść - zwróciła się do Daniela pielęgniarka. - I proszę go tak trzymać, dopóki nie podłożę mu pod plecy więcej poduszek.

Patrząc na falującą klatkę piersiową syna, Daniel cierpiał katusze. Dręczyły go straszliwe wyrzuty sumienia, bo z dnia na dzień coraz mocniej oskarżał siebie o to, że sprowadził na Dona to powolne umieranie. Od pewnego czasu zastanawiał się, czy rzeczywiście chodziło mu o uwolnienie syna od nadopiekuńczej matki, czy raczej o pokonanie jej w wojnie, którą toczyła z nią do lat.

W kilka minut później Don - zażywszy dwie pigułki, które popił ciemnym zawiesistym płynem - zaczął oddychać spokojniej. Otworzył oczy i spojrzał na Daniela.

- Zepsułem uroczystość, co? - zagadnął, uśmiechając się blado.

- Nie zawracaj sobie tym głowy. Przestało cię boleć?

- Prawie. Osiągnięcia nauki to wspaniała rzecz! – Odetchnął głęboko. - Wcale się nie zgrywam, bo leżąc od tak dawna w łóżku, często myślę, ile bólu ludzie musieli znieść, zanim wynaleziono te pigułki czy inne leki. Tato... - spojrzał Danielowi w oczy - człowiek ma z życia tylko tyle, ile potrafi udźwignąć. Dotyczy to wszystkiego... nawet szczęścia. O tak, jestem tego pewny. Czy to dziecko to nie cudowna historia? Jak myślisz, kiedy one wrócą do domu?

- Żebym to ja wiedział, synu. Wpadnę teraz razem z Joem do szpitala, ale nie zostanę tam długo. Zaraz wrócę do domu i przekażę ci najświeższe wiadomości.

Don oparł podbródek na klatce piersiowej i spojrzał na swoje bezużyteczne nogi. Przez moment widział swoje stopy jako wzgórza o zboczach formujących ściany wąwozu, ale złudzeń wzrokowych doświadczał nie po raz pierwszy. Kiedyś zobaczył spacerującą po suficie muchę. To była pierwsza, jaką spostrzegł w tym roku. Zastanawiał się, skąd się tu wzięła, ale w końcu zdał sobie sprawę, że to złudzenie. Przyszło mu do głowy, że ta mucha, mimo iż w rzeczywistości nie istniała, miała więcej od niego siły. Potrafił myśleć, ale nie mógł się poruszać. Zobaczył tę muchę po zażyciu pigułek, które działały powoli, gdyż pielęgniarka nie kazała ich popić ciemnym płynem. Don chciał go dostawać dużo, bez względu na to, jakie składniki ten płyn zawierał. Nigdy o to nie pytał, ale tego dnia, w którym miał „cudowne” widzenie muchy na suficie, potwierdzone przez późniejsze wizje mrówki i komara, powiedział sobie, że wszystko sprowadza się do systemu trawiennego - do tego, co on w danym momencie wchłania, przetwarza i wydalą. Zdumiało go to odkrycie, bo nigdy dotąd tak nie myślał. Poznany wówczas „cud” pracy mózgu w osobliwy sposób zbliżył go do Boga. Prosił Wszechmogącego, by ból zniknął i, o dziwo, zniknął lub po prostu przychodził sen. Miał poczucie, że w ostatnich tygodniach przestał kontrolować swoje myśli, a czasami nie potrafił zapanować nad chęcią ich wypowiedzenia.

- Tato, z pewnością wzięli Joego za ojca. - Teraz na przykład powiedział coś, na co wcześniej nigdy by sobie nie pozwolił.

- Ależ skąd. Przedstawił im się.

- Nie. Powiedział mi, że wszyscy przyszli ojcowie nerwowo i chodzili po poczekalni. Nie musiał się przedstawiać, a oni na pewno wzięli go za ojca. - Patrzył Danielowi w oczy. - I powinien nim być, prawda?

- Co ty pleciesz? Skąd ci to przyszło do głowy? Dla Annette wyłącznie ty się liczyłeś. Ona i Joe traktowali siebie nawzajem jak rodzeństwo. Tylko o to chodziło. No, nie mów już więcej głupstw. Teraz powinieneś odpocząć. Oddaję cię w ręce pielęgniarki. Już ona zrobi z ciebie posłusznego chłopca. Jak w ogóle można opowiadać takie androny. - Lekko klepnął Dona w ramię. - Zanim wyjdę z domu, wpadnę tu jeszcze. Może chciałbyś napisać do Annette kilka słów?

- Tak, tak. Napiszę...

Gdy po dwudziestu minutach Daniel szedł do drzwi, w hallu zatrzymała go Maggie.

- Myślałam o czymś... Skoro Flo nie odwiedzi jej w sobotę, może powinieneś zadzwonić do szpitala i uprzedzić, żeby na nią nie czekała. To ważne, bo wydaje się, że do końca życia Winifred będzie chciała spotykać się tylko z nią.

- Masz rację. Myślę, że trzeba ich zawiadomić. - Skinął głową. - Mogłabyś to zrobić? Ja już muszę wychodzić, choć wrócę tu po wizycie w szpitalu, no i cały dzień przede mną.

- Oczywiście, zadzwonię. - Otworzyła drzwi frontowe. - O mój Boże! Pada śnieg! O tej porze roku?! Jedź ostrożnie.

- Będę uważał. Dla ciebie - zapewnił z uśmiechem. Spojrzał na nią przeciągle i wyszedł.

Gdy tylko wróciła do hallu, zatelefonowała do szpitala psychiatrycznego, prosząc siostrę przełożoną. Powiedziano jej, że wyszła na zebranie, za to siostra Pratt, pielęgniarka z oddziału, na którym przebywa pani Coulson, jest akurat w recepcji.

- Chciałabym tylko poinformować, że pani Jackson nie będzie mogła przyjechać w sobotę w odwiedziny do pani Coulson. Bierze ślub - powiedziała Maggie.

- Och, to miła wiadomość. Oczywiście przekażę pani Coulson. Z pewnością ją to zainteresuje.

- Czy mogłaby siostra powiedzieć jej w delikatny sposób, że została babką?

Dziś rano jej synowa urodziła dziewczynkę.

- To ekscytująca wiadomość! Naturalnie, że o tym też jej powiem... w delikatny sposób. Do widzenia.

- Do widzenia.

Maggie wbiła wzrok w telefon. Zdawało się jej, że pielęgniarka z ironią powtórzyła wyrażenie: „w delikatny sposób” Zaraz jednak oddaliła tę wątpliwość i uznała ton głosu siostry Pratt za bardzo miły.

Poszła do kuchni. Nie dawała jej spokoju myśl, że w tym tygodniu dzieje się naraz tyle różnych rzeczy. Żałowała, że Flo i Harvey wkrótce wyjadą z kraju. Będzie jej brakowało ich wizyt. Dzięki nim atmosfera w tym domu stawała się nieco lżejsza, mimo że Harvey był czarny. Pragnęła, żeby wydarzyło się coś, co uczyniłoby jej życie bardziej znośnym. Jakże łatwo było przemknąć się wieczorem tymi schodami do sypialni Daniela. Ale może łatwiej byłoby mu zejść na dół, do jej sypialni? Tak, raczej wchodziło w grę to drugie rozwiązanie. Wiedziała, że nie zdoła już dłużej wytrzymać. Z drugiej strony z góry wykluczyła współżycie z Danielem w tym domu. Nie miała pojęcia, skąd biorą się jej skrupuły, ponieważ nigdy nie lubiła Winifred Coulson - od chwili, kiedy się tu zjawiała, zatrudniona w roli opiekunki Stephena. Zdarzały się chwile, gdy Winifred zachowywała się jak suka. Ileż to razy Maggie musiała się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć, co o niej myśli. Słowo „parweniuszka” zaledwie otwierałoby listę inwektyw, jakimi mogłaby obrzucić Winifred Coulson. Więc dlaczego opierała się Danielowi? Czyżby z powodu wyrzutów sumienia? Z upływem lat coraz bardziej męczyło ją to słowo - „sumienie”. Pracowała u katolików, sama nie będąc katoliczką, i przez cały czas odnosiła wrażenie, iż są przekonani, że posiadanie sumienia to wyłączny przywilej ludzi tego wyznania. Wiedziała jednak, że jej sumienie jest wrażliwsze od sumień członków rodziny Coulsonów, choć uzasadnienie tego twierdzenia byłoby skomplikowane. Daniel miał wiele na sumieniu,

lecz istniały ku temu powody. Dlatego nie mogłaby go oskarżyć o nic, co robił lub raczej był zmuszony robić. Kochała go od tak dawna i tak nieszczęśliwie, że teraz ich bliski związek powinien napawać ją radością, jednak tak się nie działo. Ciężko nad tym związkiem to, że musiał być okryty tajemnicą, a zatem nieodłącznie towarzyszył mu strach. Maggie czuła, że wszystko się kiedyś wyda. Nieuchronnie.

**Daniel** siedział przy łóżku Dona. Miał na sobie szlafrok, podobnie jak Stephen, który leżał na dostawionym łóżku, czytając komiks i co chwila odrywając od niego wzrok, by uśmiechnąć się do ojca lub brata. Obaj odwzajemniali uśmiechy, rozmawiając ze sobą szeptem.

- To zdumiewające, jak ten chłopak się zmienił w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Zwróciłeś na to uwagę? – spytał Daniel Dona.

- Oczywiście. Wydaje się dojrzały.

- A wszystko to dzięki jego uczuciom do ciebie i... - Powstrzymał się przed dodaniem, że również dzięki uwolnieniu się od matki, co było potrzebne także Stephenowi. Jednak podczas gdy stan zdrowia Stephena wyraźnie się poprawiał, Don... Daniel odepchnął od siebie dalsze myśli i powiedział do Dona: - Wspaniale dziś wyglądasz.

- Bo czuję się wspaniale. Wiesz co, tato? Potrafię nawet odetchnąć głęboko.

- Zademonstrował to z uśmiechem, choć ten zaraz zniknął z jego twarzy. - Są dni, kiedy żałuję, że się obudziłem, ale wczorajsza wiadomość, iż Annette i dziecko czują się dobrze i dzisiejsza rewelacja, że ona już siedzi, żwawa - jak to określił Joe - niczym makolągwa, wywarło to zadziwiający wpływ na mój organizm. Od rana prawie nie czuję bólu. I zażyłem tylko jeden rodzaj pigułek. Tego nie brałem... - Wskazał dłonią na dwie małe białe pastylki na talerzyku i zawiesiły ciemny płyn w szklanym naczyniu.

- Jeśli nadal będę się tak czuł, to przynajmniej raz zasnę bez pomocy ogłupiających leków. Zastanawiam się, czy nad bólem można panować, no bo skoro mój stan fizyczny jest inny, od kiedy dowiedziałem się o Annette i dziecku... Gdy ból znowu się zacznie, nie zażyję pastylek, bo jeśli mogę powstrzymać się jednego dnia, to mogę i drugiego.

- Na twoim miejscu, chłopcze, brałbym je. Kiedy nabierzesz sił, ból sam się zmniejszy.

- Oszukujemy się nawzajem, tato. Wystarczy, żeby powrócił ostry ból, a wszystkie wyrafinowane myśli o możliwości kontrolowania go siłą woli wylecą mi z głowy. Codziennie rano czuję, jak odpływają moje siły.

- Nie mów tak. Cuda zdarzają się naprawdę.

- Oj, tato. - Zniecierpliwiony Don wzruszył ramionami. - Zlituj się. To są tylko pobożne życzenia. Jedyne cuda, jakie może się zdarzyć w moim wypadku, to ten, że dożyję chwili, kiedy moje dziecko będzie podpełzać do mnie na tym łóżku. Och, nie, nie denerwuj się. Tylko przed tobą i przed Joem mogę się otworzyć. A przy okazji... Dlaczego pojechał zamiast ciebie? Myślałem, że bardzo chcesz być na ślubie Flo i Harveya.

- Sam nie wiem, dlaczego. Różne rzeczy mnie zatrzymały... Chciałem zostać z tobą i z moją wnuczką... - Skrzywił się.

- No i nie miałem ochoty na tę podróż, bo ledwie przyjechałbym do Londynu, już myślałbym, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Joe lubi podróżować.

- Tato, ważne jest nie tyle to, co Joe lubi robić, lecz co rzeczywiście robi dla innych. To szczęście, że go mamy. Wiesz o tym.

- Oczywiście, że wiem.

- Tak samo jak to, że mamy Maggie.

Daniel, świadom przenikliwego spojrzenia Dona, omal nie krzyknął z wrażenia.

- Maggie to dobry człowiek. Zastanawiam się, dlaczego jest tu przez te wszystkie lata. Może ty, tato, znasz powód?

W pierwszej chwili Daniel nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

- Nigdy nie miała własnej rodziny. My jesteśmy dla niej najbliższymi ludźmi. - Ponownie udało mu się wytrzymać przenikliwe spojrzenie Dona.

- Wiesz, co teraz będę robił? Poczytam sobie przed snem, tak samo jak ta wielka ciamajda- wycelował kciuk w Stephena.

- Don, chcesz któryś z moich komiksów?

- Nie. Podnieś swój leniwy tyłek i podaj mi trzecią książkę od dołu z tego stosu na stole.

- Tę w niebieskiej okładce?

- Tak. Wyciągnij ją.

Gdy Stephen położył książkę na łóżku, Daniel zerknął na tytuł.

- Czytasz Platona? O Sokratesie? Masz teraz głębsze zainteresowania? Po co zaprzątasz sobie głowę takimi lekturami? Ale może szybko przy tym zaśniesz.

- Ty, tato, powinieneś to przeczytać. Po raz pierwszy czytałem tę książkę w ostatnim roku nauki w szkole. Jednak wtedy nie wszystko zrozumiałem. Zdawałem sobie sprawę tylko z tego, że pisze się w niej o rzeczach prawdziwych. To historia człowieka, który ma umrzeć.

- Na litość boską, chłopcze! - Daniel zerwał się z łóżka, ale Don chwycił go za rękę.

- To nie to, o czym myślisz. Nie ma w tej książce żalobnego tonu.

- Nie? Ale dlaczego czytasz tego rodzaju książkę?

- Była w mojej podręcznej bibliotece w sypialni na górze. Często do niej zaglądałem, bo Platon świetnie znał ludzką naturę. Jakiś czas temu poprosiłem Annette, żeby tę książkę tu przyniosła, gdyż miałem pewność, że znajdę w niej dla siebie coś więcej niż przed kilku laty. I znalazłem rzecz o umieraniu z godnością.

- Boże Wszechmogący! Chłopcze!



- Tato, nie zachowuj się w taki sposób. Czy wolałbyś, żebym się tu włł w mękach, wiedząc, że zbliża się koniec? Musisz przeczytać tę książkę. Wiele się z niej dowiesz - chociażby tego, jak przestać się obawiać innego mężczyzny. Ja od dzieciństwa znam ten rodzaj lęku. Każdy chłopiec wydawał mi się zręczniejszy ode mnie, lepszy, wyższy, silniej zbudowany... zwłaszcza Stephen. Kochałem go, ale czasami nienawidziłem. A ta książka opowiada o brzydalu, niezdolnym niczym ująć ludzi, lecz zarazem budzącym najwyższy szacunek, nawet u jego wrogów. Strach nie jest przeciwieństwem sympatii, miłości czy szacunku. To rezultat zazdrośczenia komuś innemu właśnie sympatii, miłości czy szacunku, jakim darzą go ludzie. Och, tato, nie patrz na mnie w taki sposób. Czuję się dziś szczęśliwszy niż kiedykolwiek wcześniej od czasu wypadku. Naprawdę.

Daniel potrafił to dostrzec. Nie dało się temu zaprzeczyć, choć mogło się to wydawać dziwne. Ale jakże Don się zmienił. Nadal był młodym człowiekiem, a mówił jak starzec.

- Pójdę do kuchni napić się czegoś ciepłego. Stephen... - Spojrzał na uśmiechniętą twarz starszego syna. - Nie zaśnieś, dopóki tu nie wrócę? Słyszysz?

- Nie, tato. Nigdy mi się to nie zdarza, gdy jestem z Donem. Prawda, Don?

- Prawda. Dobry z ciebie pies łańcuchowy.

- A widzisz, tato? Dobry ze mnie pies łańcuchowy. Myślisz, że śnieg utrzyma się do jutra? Chciałbym porzucać śnieżkami.

- Wątpię, ale tego nigdy nie wiadomo. Jest na tyle zimno, że kto wie. Gdybyście mnie potrzebowali, zadzwońcie. Przez chwilę będę w kuchni...

Spodziewał się, że zastanie tam Maggie, ale najwyraźniej już nie zamierzała tu dziś wrócić, bo stół był posprzątany, a w piecu się nie paliło. Zdjął z haka emaliowany czajnik i potrzył go w dłoni, cisnął na stół pod ścianą. Wyszedł bocznymi drzwiami i przez krótki korytarz dotarł do pokoi Maggie. Za-

pukał, lecz nie czekał na zaproszenie, tylko od razu wszedł do środka. W saloniku panował mrok, lecz a uchylonych drzwi do sypialni sączyło się światło.

- Maggie! - zawołał ją Daniel, trzymając rękę na klamce, po czym wszedł do sypialni.

- Stało się coś złego? Potrzebujesz mnie? - spytała szeptem, siadając na łóżku.

- Tak, Maggie, potrzebuję cię. O niczym już nie dyskutujmy. - Błyskawicznie zdjął szlafrok i piżamę i wsunął się pod kołdrę. Wziął Maggie w ramiona.

TLR

## Rozdział ósmy



Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy z ogrodu od strony . kuchni wyłoniła się duża, ubrana w białe palto postać. Posuwała się po omacku wzdłuż niskiego muru, podążając na dziedziniec. Gdy tam dotarła, przekradła się obok dwu stajni, służących obecnie jako dodatkowe garaże, do przeszklonej werandy. Jak ktoś doskonale znający zwyczaje tego domu, sięgnęła do schowka po klucz, wymacała go w śniegu i włożyła do zamka. Otworzywszy drzwi, po cichu wśliznęła się do j środka i posuwała się w mroku w stronę kuchni. Gdy natrafiła na czyjeś buty, kopnęła je na bok i podeszła do drzwi, które prowadziły do pomieszczenia, gdzie przechowywano drewno na opał. Wszedłszy do środka, przeszła wzdłuż stert drewna do kolejnych drzwi, spod których sączyło się blade światło. Zatrzymała się pod nimi, nasłuchując przez chwilę, po czym odwróciła się na pięcie i zaczęła obmacywać najbliższą stertę. W końcu wybrała większy od innych kawał drewna i zaciskając na nim dłoń, otworzyła drzwi. Jednym susem znalazła się w środku, lecz natychmiast znieruchomiała.

Winifred Coulson zlustrowała swoją kuchnię, która wyglądała jak zwykle czysto i schludnie, czyli zgodnie z wyma-

ganiem pani domu, i ruszyła do drzwi obitych zielonym rypsem. Otworzywszy je, zatrzymała się na chwilę i rozejrzała się po hallu oświetlonym teraz tylko jedną lampą, i pobiegła po schodach na pierwsze piętro, co mogło zdumiewać przy jej wadze, która nie zmniejszyła się w ciągu ostatnich miesięcy. Minęła swoją sypialnię i przystanęła przed drzwiami sypialni męża. Ostrożnie położyła rękę na klamce i szarpnęła. Wpadła do środka niczym bomba, by znowu, tak samo jak w kuchni, znieruchomieć. Paliło się tu światło, lecz nikogo nie było. Koszula i bielizna Daniela spoczywały na siedzeniu krzesła, a spodnie zostały przewieszane przez oparcie. Na podłodze leżały skarpetki. Winifred zrobiła krok w ich kierunku, jakby odruchowo chciała je podnieść. Nie tolerowała nieporządku. Miała na tym punkcie obsesję. Nic nie mogło stać lub leżeć krzywo. Nawet brzegi chusteczek do nosa poukładanych w stosy w szufladach komody musiały być idealnie wyrównane. Winifred stała przez chwilę na środku pokoju, trzymając oburącz kłodę drewna, po czym odwróciła się gwałtownie i ruszyła z powrotem na schody. Zanim do nich doszła, nagle zawróciła i pobiegła do swojej sypialni. Zapaliła światło, jakby spodziewała się, że znajdzie Daniela w swoim łóżku. Jednak również tu nikogo nie zastała. Wnętrze było posprzątane. Wszystko stało na swoim miejscu. Brakowało tylko wielkiego ściennego lustra, które Winifred rozbiła przed kilkoma miesiącami.

Schodząc ze schodów skradała się ostrożnie, a gdy znalazła się w hallu, skierowała się do sypialni Dona. Przystanęła pod drzwiami, nasłuchując. Nie usłyszawszy żadnego dźwięku, chwyciła za klamkę i pchnęła drzwi. Po raz kolejny zastygła w bezruchu. Zaskoczona, że nie ma tu Daniela, otworzyła usta i stała, zaciskając palce na kłodzie, jakby ją poraziło milczenie dwóch leżących na łóżkach mężczyzn.

- O mój Boże! - jęknął po chwili Don, podciągając się nieco na łokciach.

Stephen błyskawicznie stanął obok niego.

- Mamo, wyjdź stąd! Wyjdź! - krzyknął.

Wydawało się, że w ogóle go nie dostrzegła, bo ruszyła do łóżka, nie spuszczać oka ze „swojego syna”.

- Gdzie on jest?

Don oddychał z wysiłkiem.

- Mamo! Mamo! Usiądź! - wysapał.

- Twój ojciec. Gdzie on jest?

Don już nie był w stanie odpowiedzieć, bo brakowało mu tchu.

- Tata jest w... w kuchni - wyjąkał Stephen.

- Nie ma go tam.

Nie odrywała oczu od Dona, przez cały czas wymachując kłódą.

- Jest, jest. Mamo, wyjdź stąd. Wyjdź. Wynoś się! Zostaw Dona w spokoju.

Chcąc ją odepchnąć od łóżka, Stephen wyciągnął ręce jak dziecko i zaraz zawył z bólu, bo został uderzony kłódą w ramię. Winifred celowała w jego głowę i zamierzyła się ponownie, ale zasłonił się rękami. Rozjuszona niepowodzeniem, skoczyła jak dzika bestia i okładała na oślep. A gdy upadł, wciąż się zasłaniając, kopnęła go. W tym momencie przestał krzyczeć.

Odwróciła się do Dona, który leżał na poduszkach z głową odrzuconą do tyłu i przyciskał dłonie do klatki piersiowej, jakby to mogło mu pomóc złapać oddech. Miał wykrzywioną z bólu twarz. Matka stała nad nim, przesywając go wzrokiem.

- Nigdy mnie nie kochałeś, prawda? Nigdy - odezwała się po chwili, która wydała mu się długa jak wieczność. Zamachnęła się i jednym uderzeniem kłody przewróciła stojący obok łóżka stolik. Lekarstwa niemal bezszelestnie potoczyły się po

dywanie. - Umierasz? Umierasz w bólu? Będziesz cierpiał, tak jak ja cierpię przez ciebie. Przez ciebie! Przez ciebie! - Zachowywała się tak, jakby rewanzo- wała się za wcześniejszą kłótnię. - Powiedzieli mi w szpitalu, że urodziła ci się córka. To bękart. Wiesz o tym? Bękart! Ale nie twój, tylko Joego. Bękart spłodzony przez bękarta. - Uśmiechnęła się w taki sposób, że wydawało mu się, iż stoi nad nim upiór. - Umrzesz dzisiaj, ale długo będziesz się męczył, bo za chwilę nie będzie tu nikogo, kto mógłby przyjść ci z pomocą. Skończę ze wszystkimi. Wszyscy mnie nienawidziliście. Wszyscy. Nawet służącym kazaliście mnie nienawidzić. Tej Maggie, która prowadzi mój dom! - Uniosła głowę, jakby nasłuchiwała. - Tej Maggie. Tak, jej. John nie chciał mnie zawieźć do jej mieszkania. Powiedział, że nie zna adresu. Mógł ją spytać, nie? - Ponownie spojrzała na „swojego syna”. Miał zamknięte oczy, a jego ręce spoczywały bezwładnie na pościeli. Odsunęła się od łóżka, rzuciła okiem na skrecone ciało Stephena i ruszyła do drzwi.

Gdy znalazła się w hallu, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, jakby nic się nie wydarzyło w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

- Słucham?

- Czy mogę rozmawiać z panem Coulsonem?

- Nie... nie ma go tu.

- Mam dla niego ważną wiadomość. Czy może pani przywołać jego lub kogoś z domowników? Z kim rozmawiam?

- Z pokojówką - odparła po krótkim wahaniu.

- Proszę znaleźć kogoś z rodziny i przekazać, że pani Coulson uciekła ze szpitala. Nie wiemy, w jaki sposób. Nie znaleźliśmy jej na terenie posesji, więc pan Coulson musi się mieć na baczności. Proszę go powiadomić.

- Tak, tak. Zaraz mu powiem. - Odłożyła słuchawkę. Przez chwilę nie odrywała od niej ręki. Wydała z siebie dźwięk przypominający warknięcie, wyszczerzyła zęby, i powtórzyła: - Zaraz mu powiem.

Ostrożnie przekradła się przez hall do korytarza prowadzącego do kuchni i do pokoi Maggie. Zatrzymała się przed drzwiami saloniku gosposi. Bezszelestnie nacisnęła klamkę. W saloniku było ciemno, ale z sypialni dochodziło światło i szmer głosów. Przystanęła za uchylonymi drzwiami sypialni. Natychmiast zobaczyła w łóżku gosposi swojego męża. Poruszała się sprężystym krokiem, ale tym razem przeszła samą siebie, bo pokonała odległość od drzwi do łóżka jednym skokiem, jak pantera rzucająca się na zdobycz.

Na jej widok mąż i gosposia krzyknęli przeraźliwie, jakby zobaczyli zjawę. Daniel nie zdołał uniknąć ciosu w bok głowy. Miał wrażenie, że jednym szarpnięciem ktoś oderwał mu ucho. Usiłował wstać z łóżka, ale Winifred zaczęła walić kłodą w jego wyciągnięte ręce, wyrzucając z siebie jak w ataku torsji najgorsze obelgi i przekleństwa. Maggie zeskoczyła z łóżka na drugą stronę i krzycząc przeraźliwie, ruszyła do drzwi, lecz pod wpływem nagłego ciosu w kark osunęła się na podłogę i umilkła. Teraz Winifred rzuciła się na główny obiekt jej ataku. Daniel nadal usiłował zsunąć się z łóżka. Pochylał się do przodu. Jedną ręką zasłaniał zalaną krwią twarz, a druga zwisała bezwładnie wzdłuż jego boku. Gdy Winifred zaatakowała go ponownie, chwycił ją sprawną ręką za szyję. Wówczas runęła na niego, ugniatając go kolanami i kopiąc. Z chwilą, kiedy uznała go za pokonanego, odsunęła się, ale gdy spostrzegła, że spoczywające na boku, skrzycone ciało nadal się porusza, sięgnęła ponownie po zakrwawioną kłodę i okładała je, dopóki się całkiem nie uspokoiło. Ciężko dysząc, odwróciła Daniela na plecy. Dopiero teraz uderzyła ją nagość męża. Zacisnęła usta i chwyciła za kłodę, chcąc uderzyć w genitalia, lecz powstrzymał ją odległy głos, jakby ktoś wołał:

„Tato! Tato!" Potoczyła wzrokiem po sypialni, najwyraźniej chcąc uciec i zaraz ruszyła do saloniku. Zamknęła za sobą drzwi do sypialni, jakby chciała ukryć to, co zrobiła. Z saloniku pobiegła do kuchni, a przez nią na dziedziniec - drogą, którą przyszła.

Stephen na wpeł leżał na dolnym stopniu schodów. Już nie przywoływał ojca, tylko Peggie, a następnie Maggie. Nadal kręciło mu się w głowie, na szczęście to ostatnie imię jakoś pomogło mu zebrać siły i wstać. Chwiejąc się i zataczając do przodu do kuchni. Oparł się o stół.

- Maggie! Maggie! - krzyknął. Twarz zalewały mu łzy.

Już miał usiąść, gdy zaświtała mu myśl, że Maggie może wiedzieć, gdzie jest tata. W korytarzu prowadzącym do pokoi gosposi było ciemno, ale w saloniku, pod drzwiami do sypialni zauważył smugę światła.

— Maggie, gdzie jest tata, Maggie?

W progu sypialni zatrzymał się na widok zakrwawionego ojca na łóżku i skrzywionego ciała Maggie na podłodze. Nie podszedł do żadnego z nich, ale jęknął jak wyczerpane, udreżone bólem zwierzę i potykając się wybiegł do hallu.

Uznał, że wspinanie się do pokoju Peggie na poddaszu i budzenie jej z mocnego snu zajmie mu zbyt dużo czasu.

Pomoc dla poszkodowanych mogłaby nadejść za późno.

W hallu był telefon, ale Stephen nie znał żadnych numerów.

Nigdy jeszcze nie dzwonił. Nagle jakimś cudem przypomniał sobie słuchowisko radiowe, nadane kiedyś w programie Children's Hour. Bohaterowie tego słuchowiska - grupka sprytnych chłopców - przyczynili się do schwytania złodzieja, ponieważ wykręcili numer dziewięć. Podniósł słuchawkę i wykręcił drżącym palcem numer dziewięć, ale nikt się nie zgłosił. Miał pewność, że to ten numer, lecz nie pamiętał, czy były dwie czy trzy dziewiątki. Wykręcił dwie dziewiątki, lecz i tym razem nikt się nie odezwał. Niemal ze złością wykręcił trzy dziewiątki.

- Słucham? W czym mogę pomóc? - rozległ się w słuchawce czyjś głos.



- Niech ktoś przyjedzie! Mama tu była! - krzyknął, ale mikrofon był zbyt oddalony od ust.

- Proszę mówić. W czym mogę pomóc?

- Mama tu była! Wszystkich pozabijała! - wrzasnął, przysuwając mikrofon do ust.

- Proszę podać adres.

- Wearcill House - powiedział po chwili wahania.

- Wearcill House? Gdzie to jest? Jaka ulica?

- To Fellburn.

- Tak, ale jaka ulica?

- Och, Telford Road. Na końcu.

- Wearcill House, Telford Road. Proszę się nie martwić. Zaraz ktoś tam przyjedzie.

Stephen usiadł na dolnym stopniu schodów i patrzył na drzwi frontowe. Zdawał sobie sprawę, że musi wpuścić policjantów, ale bał się, że wraz z nimi z powrotem wśliznie się tu matka. Wydawało mu się, że czeka strasznie długo. Tak naprawdę już po dziesięciu minutach usłyszał warkot silnika podjeżdżającego pod dom samochodu. Otworzył drzwi dopiero wtedy, gdy rozległo się pukanie.

Na schodach stali dwaj policjanci. Gdy weszli do hallu cofnął się. Spoglądali na jego zakrwawioną twarz i dłonie.

- Czy to pan jest tym młodym człowiekiem, który dzwonił - spytał opanowanym głosem wyższy.

Stephen skinął głową.

- Proszę nam powiedzieć, co się stało? Powiedział pan, była tu pańska matka.

- Już wyszła. Wyszła - odparł potrząsając głową. - Uderzyła mnie drzewem.  
- Przytknął dłoń do głowy. - Ale zabiła Dona, tatę i Maggie.

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Proszę nam pokazać.

Stephen rozglądał się, jakby usiłował rozstrzygnąć, komu pomoc jest bardziej potrzebna.

- Nie mają na sobie ubrań.

Policjanci ponownie wymienili spojrzenia. Kim był ten dorosły mężczyzna, który mówił jak dziecko?

- Chłopcze, pokaż nam, gdzie jest twój tata - odezwał się niższy policjant.

Roztrzęsiony Stephen ruszył do pokojów Maggie.

Gdy policjanci stanęli w drzwiach, osłupieli jak on wcześniej.

- Boże Wszechmogący! Ktoś się bardzo spieszył – mruknął wyższy.

Niższy przyklęknął przy Danielu i przyłożył dłoń do jego zakrwawionej klatki piersiowej,

- Żyje - orzekł po chwili. - A co z nią? - zwrócił się do swojego towarzysza, który przykucnął przy Maggie.

- Sam nie wiem. Puls jest ledwie wyczuwalny. Zadzwońmy po karetkę. - Wstał i spojrzał na Stephena. - Czy w domu jest jeszcze ktoś oprócz ciebie?

- Don. Próbowałem go bronić, ale mnie uderzyła.

- Gdzie on jest... ten Don?

- Na drugim końcu domu. Leży w łóżku. Nie może się ruszać. Nie chodzi.

- Jak się nazywasz?

- Stephen.

- A nazwisko?

- Stephen... Coulson.

- Coulson.

Policjant uniósł brwi, jakby sobie coś przypomniał.

- Ach, tak. Coulson. Zaprowadź nas do tego młodego człowieka.

Drugi policjant dzwonił z hallu po karetkę. Gdy go mijali, właśnie odkładał słuchawkę.

- To dom Coulsonów? - upewniał się zaskoczony.

- Właśnie to do mnie dotarło - potwierdził kolega. – Gdy stanęli w progu sypialni Dona, krzyknął: - Boże! Wygląda na to, że go wykończyła.

- To jej syn. Ten, który miał wypadek. Pamiętasz? W dniu ślubu.

- Pamiętam. - Odwrócił się do Stephena. - Czy w domu jest jeszcze ktoś?

- Peggie. Ale śpi.

- Przespała to wszystko? Zaprowadź nas do niej. Musieli mu pomóc wejść po schodach na poddasze.

Peggie, wyrwana z głębokiego snu, krzyknęła na widok dwóch policjantów.

- Proszę się nie bać. Proszę się nie bać, panienko - uspokajał ją jeden z nich.

- Czego chcecie?

- Żeby się panienka ubrała, zeszła z nami na dół i zobaczyła, co się stało, kiedy panienka spała.

- O mój Boże! - krzyknęła, zauważywszy pokrwawionego Stephena. - Co ty zrobiłeś?

- To mama. Mama, a nie ja.

- Wszystko w porządku, bracie. Wszystko w porządku. - Policjant poklepywał Stephena po ramieniu.

- To nie mogła być ona. Ona jest... ona jest w zakładzie obłąkanych. - Peggie patrzyła na policjantów.

- Widocznie stamtąd uciekła. A teraz proszę włożyć coś na siebie i przygotować się na straszny widok.

- O mój Boże!

- Czy ktoś tu jeszcze mieszka? - spytał wyższy policjant,

zatrzymując się w pół kroku.

TLR

- W stróżówce mieszkają Lily i Bill, ale... Och... - Odrzuciła głowę do tyłu. - Są w Newcastle. Pojechali na zabawę. W piątki wieczorem mają wychodne. A John... Dixon – to ogrodnik i człowiek do wszystkiego - mieszka w mieście.

- Coulsonowie nie mają rodziny i przyjaciół?

- Tak... - Zamrugła oczami. - Pan Joe jest w Londynie na ślubie pani Jackson, a młoda pani Coulson właśnie urodziła dziecko. Jest w szpitalu.

- Jak powiedziałem, proszę się ubrać i zejść na dół.

- Peggie, pomyślałaś, że to ja. To bardzo brzydko. Poskarżę Maggie - wybuchnął Stephen, odwracając się gwałtownie, gdy już ruszył z policjantami do drzwi.

- Wszystko w porządku, synu. Wszystko w porządku. - Policjanci wzięli go pod rękę i wyprowadzili z pokoju.

Gdy no kilku minutach pokojówka stanęła w drzwiach sypialni Maggie, pisnęła przeraźliwie i zamknęła oczy. Omal nie zemdląca.

- No, już, już. - Wyższy policjant zaprowadził ją do kuchni i posadził na krześle. - Niech mi panienska powie, jak możemy się skontaktować z tym członkiem rodziny, który jest w Londynie.

Peggie przez chwilę uspokajała oddech.

- Trzeba zadzwonić do pani Jackson. Jej numer jest w książce telefonicznej. Pan Joe przyjedzie tu z nią, ale jutro ona ma ślub.

- Obawiam się, że na ślubie będzie o jednego mężczyznę mniej. Chyba nie za niego wychodzi?

- Nic podobnego. To jego ciotka. Wychodzi za czarnego, ale on jest sympatyczny.

Policjant nie zdążył wygłosić komentarza, bo w kuchni zjawił się jego towarzysz.

- Przyjechała karetka. Jak się nazywa ich lekarz? To znaczy lekarz opiekujący się tym młodym człowiekiem, który leży w sypialni. Jak się nazywa? - zwrócił się do Peggie.

- To doktor Peters.

- Panienko, proszę po niego zadzwonić. Nie, nie. Chyba będzie lepiej, jak ja zadzwonię. Proszę podać numer.

- Niech przyjedzie i obejrzy ich, zanim zostaną wyniesieni... - zawtórował mu drugi policjant.

Gdy doktor Peters odsunął kołdrę okrywającą Daniela, zacisnął zęby na widok jego ciała. Uniósł zakrwawioną rękę nieprzytomnego mężczyzny, chcąc zbadać puls. Następnie zbadał puls Maggie, której okryte prześcieradłem ciało nadal leżało na podłodze.

- Pospieszcie się - zwrócił się do sanitariuszy.

- A co z tym młodym? Z tym inwalidą?

- Powiem wam, jak go obejrzę, ale teraz przewieźcie do szpitala tych dwoje.

- A tego młodego?

- Stephena? Zbadam go i zadzwonię, jeśli będziecie jeszcze potrzebni.

Patrząc na Dona, lekarz pomyślał, tak jak wcześniej policjanci, że on już nie żyje. Ale gdy dostrzegł ruch powiek, pochylił się nad chorym.

- Don. Już dobrze. Wszystko w porządku. Nic ci nie grozi. - Odwrócił się do policjantów. - Proszę, pozbierajcie lekarstwa z podłogi i pomóżcie mi go podnieść. - Dobrze, Don. Dobrze. Wypij to.

Chory poruszył powiekami i otworzył oczy. Nieznacznie odwrócił głowę. Spojrzał na policjantów, a następnie na lekarza. Zaczął poruszać ustami.

- Matka, matka...

- Tak, wiemy. Nie martw się.

- Stephen?

- Nic mu nie jest. No, już. Napij się tego i połknij pigułki.

Don zrobił, co mu kazał lekarz. Połykanie pastylek wyraźnie sprawiało mu ból.

- Matka... jest obłąkana... - szepnął, oparłszy głowę na poduszkach.

- Tak, Don. Wiemy o wszystkim. A teraz odpocznij. Zaśnij. Rano poczujesz się lepiej.

Don przez chwilę patrzył na lekarza, po czym westchnął i zamknął oczy.

Doktor Peters wyszedł z policjantami do hallu.

- Wykonała niezłą robotę. Musicie ją zaraz znaleźć, zanim zdąży wyrządzić więcej zła, choć nie sądzę, by wróciła tu ponownie. W rodzinie są jeszcze dwie osoby...

- Dzwoniliśmy do syna do Londynu. Wróci nocnym pociągiem. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, ale to oczywiste. Tylko jemu udało się uniknąć nieszczęścia.

- O mój Boże! - Lekarz złapał się za głowę. - Jeśli ona wie o dziecku, pójdzie do szpitala. Jest wystarczająco szalona, by ważyć się na wszystko. Obchodzi ją tylko zemsta.

Natychmiast zadzwonił do szpitala i przedstawił sytuację lekarzowi dyżurnemu. Ten zapewnił go, że zachowają wszelką ostrożność, a w pokoju Annette Coulson i jej dziecka będzie czuwała pielęgniarka. Po tej rozmowie doktor Peters zatelefonował do szpitala psychiatrycznego, sugerując dyrektorowi, by natychmiast wysłał swoich ludzi na poszukiwanie Winifred Coulson, ponieważ we własnym domu urządziła taką jatkę, że nie ma pewności, czy mąż i syn tej kobiety przeżyją dzisiejszą noc. Dyrektor poinformował go, że poszukiwania trwają od chwili, kiedy odkryli ucieczkę.

Gdy doktor Peters skończył, odwrócił się do Stephena, który przez cały czas plątał mu się pod nogami.

- Idź na górę. Peggie przygotuje ci kąpiel. Obejrzę ranę, gdy umyjesz głowę, bo teraz nie mogę się zorientować, w którym miejscu skóra jest przecięta.

Grzeczny chłopiec.

Stephen ruszył z Peggie na górę, ale nagle odwrócił się i spojrzał na lekarza oraz na policjantów.

- Czy ona tu wróci?
- Nie, nie. Nigdy nie wróci.
- Naprawdę, panie doktorze?
- Naprawdę.

Doktor Peters, wbrew temu, co powiedział Stephenowi, i wcale nie był tego taki pewny. Od dawna liczył się z tym, że nieobliczalność jego pacjentki może zaowocować tragedią podobną do dzisiejszej. Oczywiście, gdyby Winifred Coulson była pilnie strzeżona w szpitalu psychiatrycznym, nigdy by do niczego nie doszło.

Najpoważniejsza, długa i obficie krwawiąca rana Stephena znajdowała się za prawym uchem. Gęste włosy złagodziły uderzenie i tylko skóra została uszkodzona. Niestety, do obrażeń głowy dołączyło się silne potłuczenie rąk, pleców i nóg, co zapowiadało, że po upływie kilku godzin Stephen poczuje straszny ból.

- Nie lubię jej. Nikt jej nie lubi - wyznał, gdy lekarz zbierał się do wyjścia.

Słyszając to, doktor Peters zatrzymał się na chwilę i zamyślony spuścił głowę. To właśnie stanowiło problem. Nikt nigdy nie lubił Winifred Coulson, a ona zdawała sobie z tego sprawę.

**Joe** zjawił się w domu o wpół do ósmej rano. Był wstrząśnięty tym, co wydarzyło się w czasie jego krótkiej nieobecności. Stephen i Peggie chaotycznie opowiedzieli mu o wszystkim. Ona i Lily miały wspólnie zająć się domem



Nowa pielęgniarka przyszła na dzienny dyżur tuż po powrocie Joego z Londynu, bo lekarz, czuwający do rana nad Donem, poprosił ją o to przez telefon.

W nocy ziemię pokryła kilkucentymetrowa warstwa śniegu. Wszyscy twierdzili, że nie są tym zaskoczeni, bo od kilku dni było bardzo zimno. Jednak mimo wszystko wydawało się to dziwne. Przecież kończył się marzec. Coś takiego nie miało prawa zdarzyć się o tej porze roku!

Bill White przyszedł do Joego i na wpuł przepaszającym tonem oznajmił, że gdyby wczoraj nie wyjechał z miasta, to do niczego złego by nie doszło. Oczywiście Joe powiedział mu, że nie ma powodu, by go o cokolwiek oskarżać, choć pewnie byłoby lepiej, gdyby wczoraj Bill i Lily nie mieli wychodnego. Poinformował służącego, że matka weszła do domu przez kuchnię, wiedząc, gdzie jest chowany klucz. Przed Billem Whitem zjawili się w domu pracownicy szpitala psychiatrycznego. Chcieli się dowiedzieć, kiedy dokładnie wszystko się wydarzyło. Niestety, Peggie nie wiedziała, a Stephen nie potrafił określić, jak długo leżał nieprzytomny.

W nocy przy bramie czuwał policjant, ale i tak o wpuł do siódmej rano dwóch reporterów przedostało się przez ogrodzenie na teren posesji. Jednak Bill szybko się ich pozbył. Domownicy powitali Joego z ulgą, bo nareszcie był ktoś, kto mógł się wszystkim zająć.

- Joe wszystkiego dopilnuje - zapewniał Bill White Johna Dixona, gdy grzejąc się w oranżerii, rozmawiali o wczorajszych wydarzeniach. - Między nami mówiąc, zawsze można na niego liczyć.

- Zamkną ją za to do końca życia - zmienił temat John.

- Najwyższa pora, jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę. Z tego, co mówiła moja Lily, wynika, że przez te wszystkie lata pani Coulson traktowała szefa nie jak żona, lecz jak suka. Lily nie pomyliła się również w innych sprawach. Jakiś czas temu powiedziała mi, że coś jest pomiędzy Maggie i szefem. No i teraz znaleźli ich tam... bez ubrań i w ogóle... Jesteś zaskoczony?

- Ani trochę. - John potrząsnął głową. - Od dawna wiedziałem, co w trawie piszczy. Winifred Coulson śledziła go, wiesz, kiedy jechał na Bewick Road. Przestrzegłem go raz czy dwa.

- O rany! I nic nie powiedziałaś?

- No... Masz żonę... - John uśmiechał się od ucha do ucha. - Pewnie byś jej doniósł, a ona wypaplałaby wszystko Peggie, bo to twoja siostrzenica. A wiesz, że Peggie ma gębę jak wrota. Ugryzłem się w język, jak pomyślałem, że szef już ma dosyć innych kłopotów. Czasami lepiej zamknąć gębę na kłódkę. Ciekawi mnie, gdzie pani Coulson pognała z tym swoim pobijakiem, gdy już przeleciała się z nim po domu. - Umilkł na moment. - Co ten Larry wyprawia? - Wyjrzał przez okno i wskazał dłonią małego terriera szkockiego, który wściekle ujadł. - Co w niego wstąpiło?

- Poczł szczura albo co innego. Zawsze tak szczeka, kiedy te diabły się tu podkradną. - Bill White otworzył drzwi. Pies wbiegł do środka i skoczył na niego, po czym natychmiast wybiegł, przystanął i odwrócił się, przybierając wyczekującą pozę. - No, dobrze, dobrze. Pokaż mi.

- Od tygodni nie widziałem tu szczura. Może króliki przedostały się z pola? - odezwał się John Dixon.

Postawili kołnierze bojowych kurtek i ruszyli za psem.

Śnieg skrzypiał pod ich butami.

- Kto by pomyślał... Śnieg o tej porze roku? Wiesz, mam teorię, że to wszystko przez bomby atomowe, które wybuchają na całym świecie. Zmieniły pogodę.

- Dokąd ten Larry pędzi? - zainteresował się John.

- Do kurników. Założę się, że wywęszył lisa.

Przez przejście w niskim żywopłocie przedostali się na małe pole. Na jego krańcu stał rząd kurników, lecz niewiele kur znajdowało się na zewnątrz.

- Nie lubią śniegu, ale dałbym głowę, że gdyby im postawić jedzenie, zaraz by wszystkie wyszły. Za czym on tak węszy?

Podążali za psem, który biegł wzdłuż kurników w stronę otwartej szopy. Przechowywano w niej skrzynki i kartony – te stojące z przodu częściowo przysypał śnieg. W odległości kilku metrów od szopy stanęli jak wryci, bo spostrzegli czyjeś wystające spod porzucanych pudeł stopy.

- Nie może być!

- Boże wszechmogący!

Wbiegli do środka i zaczęli odrzucać kartony na bok.

Wkrótce zobaczyli sztywne ciało swej chlebowawczyni.

- Nie żyje? - Bill pochylił się nad Johnem, który usiłował wsunąć rękę pod palto.

- Nic nie czuję - odparł po chwili John. - Biegnij do domu i powiedz Joemu, żeby zadzwonił po karetkę. I przynieś jakieś drzwi albo coś innego, bo inaczej nie damy rady jej przenieść.

Bill pędził przez ogród prosto do drzwi frontowych. Nie zadzwonił, lecz walnął pięścią w solidne drewno.

- Joe... Pan Joe... Gdzie on jest? - spytał zdyszany, gdy otworzyła mu Peggie.

- U pana Dona. Co się stało?

- Pani... jest w ogrodzie.

- O mój Boże! - Zakryła dłonią usta. - Zamknij drzwi.

- Uspokój się! - Odepchnął ją. - Wydaje mi się, że umarła. Zawołaj pana Joego. No już!

- Co?! Znaleźliście ją w ogrodzie? Gdzie? - spytał Joe, który w jednej chwili zjawił się w hallu.

- W szopie na pudła i skrzynki. Musimy wziąć drzwi lub coś innego, bo inaczej jej tu nie przyniesiemy. Ma swoją wagę. I... niech pan zadzwoni po lekarza.

Joe stał przez chwilę otumaniony.

- Zadzwoń po lekarza. Powiedz mu, że to pilne – cichym głosem wydał polecenie Peggie.

- Sam będzie wiedział, że to najpilniejsza sprawa w tym domu. - Już biegła do telefonu.

Joe popędził za Billem przez ogród, nie słysząc bezczelnej uwagi pokojówki.

- Nie ma tu odpowiednich drzwi. Nawet te duże oszklone też są za ciężkie.

- Zgadza się, panie Joe. Ale jest coś, w czym moglibyśmy panią przenieść... to znaczy hamak. Leży na strychu...

Po dwudziestu minutach Winifred Coulson została położona na podłodze w hallu. Lekarz już czekał. Gdy uklęknął obok niej i spojrzał na jej twarz, pokręcił głową. Jednak po chwili spojrzał na Joego.

- Żyje. Zadzwoń po karetkę.

Siedząc obok matki w karetce, Joe rozmyślał o ostatnich wydarzeniach. Na jednym z oddziałów szpitala leżała Anaette z dzieckiem, a na innym ojciec i Maggie. Joe wciąż nie wiedział, czy ci ostatni jeszcze żyją. A teraz do tego samego szpitala odwożono matkę. Do kompletu brakowało tylko Dona i Stephena. Sądząc po wyglądzie, Don mógł wkrótce dołączyć do pozostałych. A biedny Stephen był posiniaczona od stóp do głów, choć jakoś się trzymał. Miał za sobą makabryczną noc. Gdyby nie on, jak powiedział Joemu doktor Peters, Daniel, Maggie i Don nadal leżeliby poturbowani i prawdopodobnie nie doczekaliby rana. Czy nad tą rodziną ciążyło jakieś przekleństwo? Nie, nie przekleństwo, lecz miłość matki do syna, chora miłość.

- Jej stan jest ciężki. Leżeć tak przez całą noc... To mogłoby zabić konia. Zdumiewające, że ona jeszcze oddycha - odezwał się sanitariusz widząc, jak Joe wpatruje się w trupio bladą twarz Winifred Coulson.

Istotnie było to zdumiewające. Z jednej strony, Joe szczerze żałował, że matka wciąż żyje, bo jaki czekał ją los po tym, co zrobiła? Z całą pewnością nie

zostanie odesłana do szpitala okręgowego, lecz przewiozą ją do lepiej strzeżonego zakładu, zwłaszcza gdyby Daniel i Maggie zmarli.

Jak powiedzieć o wszystkim Annette? Wciąż była słaba. Poród, w połączeniu z wcześniejszymi przeżyciami, bardzo ją wyczerpał. Rewelacyjna wiadomość, którą Joe przekazał Donowi, że Annette jest już pełna energii, została wysana z palca. Stanowiła wytwór dyplomatycznego krętactwa.

W szpitalu panowało poruszenie - wiadomość o tragedii rozeszła się błyskawicznie. Gdy tylko wózek wiozący matkę został wtoczony do hallu, Joe stwierdził z zaskoczeniem, że czeka już na nich pielęgniarka z okręgowego. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna.

- Panie Coulson, co za tragedia... - Pielęgniarka już stała przy nim.

- Tak siostró. - Skinął głową.

- Nocą nasi pracownicy przeszukali wasz ogród. Choć było ciemno, przetrząsnęli każdy zakamarek. Wyruszyli ze szpitala, gdy tylko dotarła do nas wiadomość, że pani Coulson zjawiała się w domu - odezwał się na wpół przeproszającym tonem mężczyzna.

- Och, nie musiało wam przyjść do głowy, żeby szukać w szopie, wśród skrzynek i kartonów - odparł Joe. - Jak się wydostała z zakładu?

- Wszystko na to wskazuje, że dwie pozostałe pacjentki z pokoju pani Coulson pomogły jej w ucieczce - oznajmiła pielęgniarka. - Są sprytne... wszystkie trzy. Dla zmylenia naszej czujności uciekły się do starego triku, to znaczy włożyły pod kołdrę na łóżku Winifred Coulson poduszki, tak żeby kształt uwzględniał jej tuszę.

- Ale matka nie mogła chyba wydostać się ze szpitala inaczej niż przez bramę?

- Och, znalazła inną drogę. Bez wątplenia planowała tę ucieczkę od jakiegoś czasu i dokładnie obejrzała ogród, gdyż przeszła przez mur. W jednym miejscu w pobliżu muru rośnie drzewo. Jego gałęzie dotykają szczytu muru. Jak przy jej

wadze wspięła się na drzewo i przedostała na drugą stronę muru - nie mam pojęcia, jednak wszyscy uważają, że tylko w ten sposób mogła uciec. Miała bardzo zwinny, bardzo lekki chód, ale żeby potrafiła wejść na drzewo! Z drugiej strony pacjenci, którzy nie panują nad swoimi emocjami, są zdolni do wszystkiego i zazwyczaj realizują swoje plany. Sądzi pan, że ona jeszcze żyje?

Joe miał ochotę odpowiedzieć, że nie, ale ugryzł się w język.

- Nie wiem. Przepraszam. - Podeszedł do dyżurującej przy biurku recepcjonistki. - Czy mógłbym zobaczyć pana Coulsona i panią Doherty?

- Proszę usiąść. Dowiem się - odparła i sięgnęła po słuchawkę. Po chwili skinęła na niego. - Proszę iść na oddział czwarty. Przyjmie pana siostra Bell.

- Dziękuję.

Siostra Bell zaprosiła go do swojego gabinetu i wskazała krzesło.

- Co za tragedia. Właśnie się dowiedziałam, że przywieziono również pańską matkę.

- Jaki jest stan mojego ojca i pani Doherty?

- No cóż. - Westchnęła. - Od wczoraj niewiele się poprawił, ale żyją. Możemy tylko mieć nadzieję, że będzie lepiej. Trzeba powiedzieć, że stan pańskiego ojca jest o wiele cięższy od stanu panny Doherty.

- Czy mógłbym ich zobaczyć?

- Tak, ale pod warunkiem, że będzie pan tam tylko przez chwilę i nie zacznie z nimi rozmawiać. - Wzruszyła ramionami. - Oczywiście nie przyniosłoby to żadnego pożytku.

Twarz ojca była tak spuchnięta i posiniaczona, że niemal nie do rozpoznania. Do nosa włożono mu rurkę, a drugą przyczepiono do lewej ręki, do prawej zaś jakieś przewody. Swoim wyglądem bardzo przypominał Dona tuż po wypadku. Joe chciał wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć: „Och, tato. Biedny tato”. Stephen powiedział mu, że matka taszczyła ze sobą drewnianą kłodę. Z pewnością

była to solidna broń, choć tak silna, a na dodatek ogarnięta szalem kobieta mogła poczynić straszne szkody nawet za pomocą szczotki do włosów.

Maggie miała otwarte oczy. Szczelnie zabandażowano jej głowę i szyję.

- Och, Maggie - westchnął Joe.

Chciała wysunąć dłoń spod kołdry, ale okazało się to zbyt wyczerpujące.

Poczuł ucisk w gardle. Dlaczego ta dobra, szlachetna kobieta została narażona na takie cierpienie? Ale z drugiej strony - czemu właśnie ją miałyby to cierpienie ominąć? W jakiś sposób i ona przyczyniła się do szaleństwa matki, bo Winifred Coulson nie mogła nie zauważyć uczucia, jakim jej gosposia od dawna darzyła Daniela. To uczucie było czymś oczywistym, gdyż w przeciwnym razie Maggie lata temu kazałaby odesłać swoje rzeczy do domu. Gdyby gosposia nie uległa namiętności i nie zaczęła tego romansu, nigdy nie doszłoby do takiej jatki w jej sypialni. Joe przypomniał sobie, że rano Stephen czatował na niego w korytarzu. Gdy tylko wszedł do domu, brat chwycił go za poły palta.

- Tata leżał na podłodze bez ubrania i Maggie w ogóle bez ubrania - bełkotał. - To nieładnie, co? Maggie nie powinna tam być, bez ubrania. Nie powiedziałem Donowi, bo śpi. Pielęgniarka nie pozwala mi tam wejść.

- Stephen, uspokój się. Bądź grzecznym chłopcem. Peggie zdażyła mi już powiedzieć, że byłeś bardzo dzielny. Wezwałeś lekarza i karetkę. - Nie wspominał o policji.

- Joe, pęka mi głowa. Och... Wszystko mnie boli.

- Idź na górę i weź kąpiel. Zaraz do ciebie przyjdę.

- Ale ja już brałem kąpiel.

- To weź po raz drugi. - Joe już miał na niego krzyknąć, jednak ostatnim wysiłkiem woli zapanował nad sobą i powiedział spokojnie: - Posiedź w wodzie. To zmniejszy ból. Wkrótce się u ciebie zjawię. No, już.

- Joe, nie ulotnisz się?

- Czy się nie ulotnię? Co ty bredzisz? Nie bądź osłem. No, już...

**Chcąc** się dostać na oddział położniczy, Joe musiał przejść przez dziedziniec szpitala. Wyszedłszy na dwór, przystanął na skraju ośnieżonego trawnika i zastanawiał się, co powiedzieć Annette. Raczej nikt nie poinformował jej o najświeższych wydarzeniach, więc postanowił odłożyć sprawę na później, nawet gdyby któraś z poszkodowanych osób zmarła. Nie sądził, śmierć groziła Maggie czy Donowi, ale w przypadku ojca lub matki należało to brać pod uwagę. Jaki los spotkał tę rodzinę? Jeśli uwzględnić Maggie, to w szpitalu przebywały cztery osoby, a wraz z dzieckiem Annette - pięć. W domu zaś leżał ciężko chory Don. Tylko on, Joe i Stephen trzymali się na nogach. Dlaczego doszło do tego wszystkiego? Z powodu miłości - w jej różnych odmianach i różnie rozumianej przez poszczególne osoby.

Pod wpływem tego wniosku ruszył w pośpiechu na oddział położniczy. Dziwne, że nagle przypomniał sobie obawy Stephena, iż on, Joe, może się „ulotnić” z tego domu.

Annette siedziała oparta na poduszkach.

- Joe, miałeś być na ślubie? - Nie kryła zaskoczenia.

- Och, tata uznał, że jednak to on powinien pojechać. Ponownie zamieniliśmy się rolami.

- Ale ty miałeś wielką ochotę pojechać.

- Nie była aż taka wielka, by nie móc zrezygnować. Zresztą Flo i Harvey odwiedzą nas w przyszłym tygodniu. Jak się czujesz? - Przysunął do łóżka krzesło i wziął ją za rękę.

- Raz tak, raz siak - odparła po chwili. - Bardzo źle spałam. Przed północą dostałam strasznej gorączki. Czuję się okropnie, choć nie potrafiłam wytłumaczyć, co mi jest. Kazali mi zażyć pigułkę nasenną. Wiesz, jak nie cierpię tych pigułek. Dręczyły mnie senne koszmary. Joe, miło cię widzieć.



- Jak się ma mała dama? - przezornie zmienił temat.

- Widziałam ją pół godziny temu. Oświadczyła, że chciałaby tu ze mną zostać. Niestety, nie pozwolili jej. Powiedziałam jej, że musi przybrać na wadze, zbuntować się i przyjść tu na własnych nogach. - Uśmiechnęła się blado.

- Ani się nie spostrzeżesz, jak mała zacznie chodzić.

- Jak się czuje Don? - Patrzyła na niego w napięciu.

- Gdy wychodziłem, jeszcze spał - odparł po krótkim wahaniu.

- Jego stan się pogorszył? Powiedz mi. Powiedz mi prawdę. Joe, pogorszył się?

- Och, nie. Nie bądź niemądra. Nie pogorszył się.

- Posłuchaj. Dziś w nocy opanowało mnie dziwne uczucie, że Don umarł. Byłam tego pewna. Muszę jak najszybciej wrócić do domu. Powiedzieli mi, że będę tu jeszcze dziesięć dni albo nawet dwa tygodnie. Nie wytrzymam tego. Poza tym on... on musi zobaczyć dziecko. Joe, rozumiesz?

- Ależ oczywiście, moja droga... - głaskał ją po rękę – że rozumiem twoje samopoczucie. Spytam lekarza, kiedy wypiszą cię ze szpitala. Jednak musisz pamiętać, że to nie był zwykły! poród. Nie poszło jak po maśle. Przecież wiesz o tym. - Uśmiechnął się, ale ona zachowała powagę.

- Nic nie idzie mi jak po maśle. Zaszłam w ciążę, mimo że uważałam, wkrótce po tym, jak wszystko się zaczęło. - Spuściła oczy. - A potem w dniu ślubu zdarzył się ten wypadek. Winię za to siebie, bo gdybym... gdybym nie zaszła w ciążę nie byłoby tego pośpiechu. No i jak przysłużyło się to Donowi? Powoli umiera.

- Opanuj się. Nie opowiadaj takich rzeczy. To, co zrobiłaś co oboje zrobiliście, wynikało z waszej miłości. – Zwrócił uwagę, że chcąc nie chcąc znowu użył słowa „miłość”. Tyle ono tłumaczyło. - Stephen prosił, żeby ci przekazać najgorętsze pozdrowienia. Któregoś dnia powinienem przywieźć go tu sobą. Gdy wybieram się do ciebie w odwiedzinę, nie mogę się od niego opędzić. Strasznie bia-

doli, że jeszcze nie widział dziecka. - Joemu przyszło do głowy, że zmyślanie to żadna sztuka, więc dalej ciągnął w tym duchu. - Dziewczeta też przesyłają najgorętsze pozdrowienia i oczywiście... Maggie! Bez przerwy dopytują się, kiedy będą mogły cię odwiedzić Jak szalone robią na drutach sweterki dla dziecka. - To akurat była prawda. Widział to w kuchni.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Niosła na tacy lekarstwa.

- Koniec odwiedzin. Wyjdzie pan dobrowolnie czy muszę użyć siły? - Miała mocny głos i mówiła z północnym akcentem

- Sam nie wiem - odparł z uśmiechem. - Może zaryzykuję to drugie? - Pochylił się nad Annette i pocałował ją w policzek

- Wpadnę po południu.

- Kiedy tata wróci? Chcę wiedzieć wszystko o ślubie - zatrzymała go, gdy już zmierzał do drzwi.

- Och... Nie wiem... - Potarł czoło. - Myślę, że może przyjechać razem z Flo i Harveyem. Naprawdę... naprawdę nie wiem. Jakoś musisz wytrzymać dzień lub dwa tylko w moim towarzystwie.

- Powiedz Donowi, że go kocham. Nie zapomnisz? - spytała cicho.

- Oczywiście, że nie zapomnę.

Na dziedzińcu znowu przystanął. Wciągnął do płuc mroźne powietrze. Musi teraz wrócić do recepcji i dowiedzieć się, w jakim stanie jest matka. Marzył tylko o tym, by móc wsiąść do samochodu i uciec od tego wszystkiego... od całej rodziny. Nawet od Annette, bo ilekroć ją widział, przeżywał wewnętrzne rozdarcie.

Gdy znalazł się w hallu i szedł w stronę biurka, dyżurująca pielęgniarka zawołała go już z daleka.

- Przykro mi, panie Coulson, ale nie byliśmy w stanie uratować życia pańskiej matce - powiedziała cicho, gdy stanął przed nią. - Nie... nie odzyskała przytomności. Zamarzła na śmierć.

Czy Joe czuł z tego powodu żal? A może raczej zadowolenie? Nie potrafił rozstrzygnąć.

- Jakie są formalności? - spytał po chwili.

- Ciało zostanie przekazane do kostnicy i będzie pan musiał wszystko załatwiać. Zwykle zwłoki do czasu pochówku umieszczamy w kaplicy zakładu pogrzebowego.

- A czy teraz jest coś do załatwienia na miejscu?

- Nie. Chyba że chce pan zobaczyć matkę.

- Nie - powiedział z naciskiem. - Dziękuję. Przyjdę... tu po południu. - Odwrócił się na pięcie i podążył do drzwi.

Pielegniarka wyciągnęła rękę, jakby chciała go zatrzymać i jeszcze coś mu powiedzieć, ale dała za wygraną i spojrzał na koleżankę.

- Oczywiście jest wstrząśnięty, ale uważam, że dobrze się stało, iż pani Coulson umarła. Po tym, co zrobiła, zostałaby uznana za niepoczytalną i do końca życia trzymano by w zakładzie. A gdyby nie... gdyby nie zrobiła tego wczoraj wieczorem, to i tak przez cały czas zastanawiałaby się, dobrać się do skóry mężowi i jego kochance. Pomyśleć, tyle zdarzyło się w tej rodzinie jednego dnia... - Uśmiechnęła się smutno. - Kiedyś napiszę o tym książkę i dam jej tytuł „Zginęła na posterunku”. Nie wiem, jak dotrwam do urlopu. Głowa mi pęka.

## Rozdział dziewiąty



**Był** sobotni wieczór. Flo i Harvey przyjechali po południu.

Flo właśnie rozmawiała w hallu z księdzem Ramshawem, pomagając mu zdiąć palto.

- Przepraszam, że wyciągnęłam księdza z domu o tak późnej porze, w taki wieczór, ale uznałam, że nie jest to sprawa dla lekarza. Jak powiedziałam przez telefon, Don zaklina się na wszystko, że matka jest w jego pokoju.

- Flo, to całkiem możliwe, bo to była kobieta o bardzo silnej osobowości. Okazywała to na wiele sposobów. Och, Boże drogi, okazywała! Ale komu przyszłoby do głowy, że pójdzie na całość? No cóż, zachowanie człowieka jest tak samo nieprzewidywalne jak pogoda, bo czy ktoś by pomyślał, że o tej porze roku będziemy mieli śnieg? Nigdy nie powinniśmy zapominać, że takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu. Musimy też pamiętać, że ludzka natura to osobliwe przemieszanie dobra, zła i chwiejnej woli.

- Może wypije ksiądz coś ciepłego, zanim odwiedzi Dona?
- Nie, nie. Może potem. Jakie są najświeższe wiadomości ze szpitala?
- Daniel odzyskał przytomność. Uważają, że się z tego wyliże.
- Dzięki Bogu. A jak się czuje Stephen?
- Śpi. Dałam mu pastylkę nasenną. Biedny chłopak. Tyle przeszedł.
- O ile wiem, zachował się bardzo rozsądnie.

- O tak. Muszę księdzu wyznać, że jeśli kogoś mi żal w tej sytuacji, to właśnie Stephena. Gdyby tylko miał trochę więcej tego... odrobinę więcej... - poklepała się po czole - to byłby wspaniałym człowiekiem.

- Flo, Bóg doświadcza swoje dzieci. Przychodzą na świat w całej swojej różnorodności. Wciąż nie mogę sobie uświadomić, że dziś rano wyszłaś za mąż.

- Tak. Cieszę się, że mogę to potwierdzić.

- Ślub odbył się w urzędzie stanu cywilnego?

Flo, idąc wraz z księdzem do sypialni Dona, zatrzymała się nagle.

- Nie, nie w urzędzie. Wzięliśmy ślub kościelny za specjalnym zezwoleniem.

- Co ja słyszę! Bo... - ksiądz Ramshaw pochylił głowę - bo druga strona...

- Druga strona nie miała nic przeciwko temu.

- Ale z tego, co mi mówiono, wynika, że Harvey zagląda do kościoła tylko w wolnym czasie.

- Ksiądz to jest... - Odepchnęła go dla żartu.

- Jestem szczęśliwy, że życie ułożyło ci się tak pomyślnie. - Śmiał się od ucha do ucha. - Niezbyt dobrze znam Harveya, ale na pierwszy rzut oka widać, że to dobry człowiek. Chyba wiesz... na pewno wiesz, że nie będzie wam łatwo.

- Wiemy o tym doskonale, ale damy sobie radę.

- To właściwe podejście.

Pielęgniarka powitała ich z wyraźną ulgą.

- Pan Coulson nie chce zażyć tabletek - narzekała.

- Och, proszę pójść ze mną i coś przekąsić - odparła na to

- Już zjadłam kolację.

- To proszę zjeść drugą. - Ksiądz delikatnie popchnął pielęgniarkę w stronę stojącej przy drzwiach Flo, przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

Don siedział, oparty na poduszkach, ale miał zamknięte oczy.

- Witam księdza. - Nie uniósł powiek.

- Witam cię, chłopcze. Znowu się źle prowadzisz?

- Tak mi mówią. - Dopiero gdy za ciotką i pielęgniarką zamknęły się drzwi, otworzył oczy. - Proszę księdza, matka jest w tym pokoju.

- Opamiętaj się.

- Niech ksiądz tak nie mówi. Po wypadku z mojego ciała pozostał wrak.

Wiem o tym aż za dobrze. Ale mój mózg nie doznał uszczerbku. Ona tu jest...

Nie mogę zapanować nad tym uczuciem.

- Na jakiej podstawie tak uważasz?

- Widziałem ją. Stała w nogach łóżka.

- Kiedy to było?

- Wczoraj wieczorem. Nie, nie. Później... Dziś... Jakiś czas temu. Nie potrafię podać dokładnej godziny. W pierwszej chwili pomyślałem, że tylko ją sobie wyobrażam, bo wyglądała niewyraźnie. Ale im dłużej to trwało, tym lepiej ją widziałem. Stała i patrzyła na mnie z powagą. Nic więcej. Chętnie zażyłem tabletki nasenne, ale gdy mi się śniła, to jakby nabrała ciała. Tak. - Pokręcił głową. - Usiadła na krawędzi łóżka i mówiła... to samo, co słyszałem od lat: jak bardzo mnie kocha...

- Naprawdę cię kochała i nie wolno ci o tym zapominać.

- Proszę księdza, są różne miłości. Matka z pewnością była na wpół obłąkana.

- Nie sędzę.

- Ponieważ ksiądz z nią nie mieszkał.

- Co racja, to racja. Ale ona odeszła. Tylko Bóg jeden wie dokąd, z pewnością jednak jej tu nie ma.

- Jest, proszę księdza - zaprzeczył Don z naciskiem.

- No dobrze, dobrze. Tylko się nie denerwuj. Dla ciebie ona tu jest, ale przyrzekam ci, że się oddali.

- Kiedy? Kiedy?

- Jutro rano przystąpisz do komunii - zaczął ksiądz po chwili wahania. - A gdyby do tego czasu matka znowu się tu zjawiała, odezwij się do niej. Powiedz, że rozumiesz, jak ona się czuje. Zrób to. Koniecznie. Chłopcze, nie odwracaj głowy.

- Ksiądz nie rozumie. Ona czeka na moją śmierć, żeby potem mogła iść za mną, dokądkolwiek ja pójdę.

- Nie będzie cię już prześladować. To mogę ci przyrzec. Posłuchaj mnie. - Mocno uściśnął dłonie Dona. - Jutro rano ona zniknie i już nigdy więcej jej nie zobaczysz. Ale pomóż jej odzyskać spokój sumienia. Powiedz, że wszystko jej wybaczasz.

- Co mam jej wybaczyć?! Proszę księdza, przecież ona nie uważa, że zrobiła mi coś złego.

- Don, ty nie masz o tym pojęcia. Tylko ona wie, jak się czuje w związku z tobą. I prawdopodobnie wróciła głównie po to, by prosić cię o wybaczenie. Zrób to dla niej.

- Boję się - wymamrotał po chwili Don, przyciskając podbródek do klatki piersiowej.

- Matki? Czy o to chodzi?

- Nie, nie. Boję się wszystkiego... tego, gdzie się wkrótce znajdę... wszystkiego. Myślałem, że nie będę czuł strachu, ale tak nie jest.

- Nie martw się o to, co nastąpi potem. Wszystko jest w rękach Boga.

- I chodzi jeszcze o coś innego.

- Słucham?

- Już powiedziałem o tym Joemu. Chciałbym... chciałbym żeby ożenił się z Annette. Chciałbym, żeby się nią zaopiekował. Mógłby ksiądz to dla mnie zrobić? Wykonać stosowny manewr?

- Nie wykonam żadnego manewru - odparł z naciskiem proboszcz. - Nic z tych rzeczy. Jeśli ma się tak stać, to się stanie bez potrzeby dalszego ingerowania z czyjejkolwiek strony. - Wstał z krzesła. - Sądzę, że wiesz, iż to z powodu wtrącania się w twój związek z Annette jesteś w takiej, a nie innej sytuacji. Chyba nie zaprzeczysz, że to ojciec pchnął cię w ramiona tej dziewczyny? Niech Bóg mi wybaczy. - Dotknął dłonią czoła. - Nie chciałbym, żeby mnie poniosło i żebym wypadł z roli na tej „scenie”. Jestem za stary, żeby pozwalać sobie na takie słabostki. - Przerwał zaskoczony, że Don się uśmiecha. Udawanie surowym tonem spytał: - Dlaczego tak ci wesoło? Naprawdę jest mi ciężko z powodu tego „manewru”, jaki wykonał kiedyś twój ojciec. Zresztą nie ty jeden o tym wiesz.

- Dzięki księdzu zawsze poprawia mi się nastrój. Od dawna uważam, że marnuje ksiądz talent aktorski. Na prawdziwej scenie byłby ksiądz rewelacyjny.

- Myślisz, że kapłaństwo to coś innego niż występowanie na scenie, wraz ze wszystkimi innymi ludźmi grającymi w tej „sztuce”? - Gdy skończył, spuścił głowę i dodał cicho: - Nie to chciałem ci powiedzieć. - Energicznie uniósł podbródek i zaprzeczył sobie: - Tak, właśnie to chciałem ci powiedzieć. Boga nie da się wystrychnąć na dudka. Przez cały czas spogląda na tę scenę i uważnie obserwuje tych, którzy grają główne role. Jak wymagający pracodawca, ustawia nam wysoko poprzeczki, ale nie reżyseruje tej sztuki. Interpretację ról pozostawia samym aktorom. Jednym gra się łatwiej, a innym trudniej. Coś ci jeszcze powiem. - Pochylił się nad Donem i konspiracyjnym szeptem oświadczył: - Zgadnij, kim chciałbym być, jeśli nie byłbym księdzem?

- Psychiatrą?

- Nigdy w życiu! Clownem, pospolitym clownem. Nie magikiem. Żadnym z tych zręcznych oszustów, tylko zwyczajnym clownem. I grałbym wyłącznie dla



maluchów, bo podobno od siódmego roku życia człowiek zaczyna posługiwać się rozumem, rozum zaś niszczy wiarę w cuda. Czy kiedykolwiek myślałeś o cudach? Wiara w cuda to dar dany tylko dzieciom, ale jakże szybko go tracą. - Westchnął, stanął prosto i normalnym już głosem dodał: - Wiesz co? Jesteś moim utrapieniem. Tak samo jak Joe. On należy do tej kategorii ludzi, którzy sprawiają, że po każdej z nimi rozmowie człowiek musi pójść do spowiedzi. - Roześmiał się. A gdy żegnał się z Donem, w jego stanowczym głosie słychać było troskę.

- Dobranoc, synu. Bóg nie opuści cię w tym wszystkim ani przez chwilę. — Wyszedł z pokoju.

- Tak, Bóg nie opuści mnie w tym wszystkim ani przez chwilę - powiedział Don do siebie, opierając głowę na poduszkach.

**Niech** ksiądz na chwilę usiądzie. Zaparzyłem herbatę - zaprosił proboszcza czekający na niego w hallu Joe.

- Tylko nie doznaj szoku, że nie przyjmuję twojego zaproszenia. Czekają mnie jeszcze dwie wizyty, a niebawem nadejdzie pora, o której zwykłem się kłaść do łóżka. Dopilnujesz, żeby Don zaraz zażył pastylki? Wiesz, że on... twierdzi... że matka jest w sypialni i czeka na jego śmierć?

- Tak. Niedawno sam miałem uczucie, że jest w tym domu. Wierzę w to, co mówi Don.

- Och, nie. Joe, uspokój się. Ty to mówisz? Z twoją psychiką?

- Chyba ksiądz nie uważa, że ktoś zrównoważony psychicznie jest pozbawiony subtelnych odczuć?

- Absolutnie tak nie uważam. Wiesz, co mam na myśli.

- Harvey też ma to dziwne uczucie, choć nie potrafił tego tak ująć jak Don czy ja. Ledwie wszedł do tego domu, oświadczył: „Nie mogę uwierzyć, że ona umarła. Wydaje mi się, że jest na górze, choć wiem, że to bzdura. Zresztą nie jestem pewien”.

- Wyniósł to ze swojej kultury. Oni są bliżej ziemi niż my.

- A może przeciwnie... bliżej nieba.

- Och, Joe. Niech jajko nie poucza kury na tematy teologiczne, zwłaszcza o tej porze i przy stanie psychicznym tej „kury”. Jasne, że rozumiem, o czym mówisz. Podważam wypowiedane przez was opinie, ale ja też czuję, że ona tu jest. Są rzeczy na niebie i ziemi, o których ludziom nawet się nie śniło. I jeszcze jedno, bo już muszę lecieć. Kiedy wraca Annette? Don chce zobaczyć dziecko i to jest jego święte prawo.

- Obawiam się, że dopiero za kilka dni.

- Z pewnością z powodu tej zwłoki Don uczepli się życia, o ile w jego przypadku jest to w ogóle możliwe. Przyjadę tu rano o ósmej z komunią świętą dla niego. Tobie też by nie zaszkodziło przyjąć. Dwie za jedną cenę.

- Kupuję. Dobranoc księdzu.

- Dobranoc, Joe.

## Rozdział dziesiąty



**Don** przyjął rano komunię, ale matka z nim została.

Winifreda Coulsona pochowano w środę. Bardzo niewielu jej bliskich znajomych zjawilo się na pogrzebie. Ale czy nie popadła w obłęd i nie usiłowała zamordować męża oraz innych domowników? To wyjaśniało tę nieobecność. Obok Joego, Flo i Harveya stało nie więcej niż dwadzieścia osób, a połowę z nich stanowili pracownicy firmy Daniela. Po zakończeniu ceremonii nie odbyła się żadna stypa. Joe, Flo i Harvey pojechali do domu.

Stephen wiedział, dzięki prowadzonym przy nim rozmowom, że matka ma zostać pochowana w środę, jednak ani słowem nie zdradził, że chciałby uczestniczyć w pogrzebie. Rano nie zszedł na dół, tak że Don musiał do niego pójść.

- Wszystko w porządku. Dobrze się składa, że zostajesz w domu, bo chciałbym, byś w czasie mojej nieobecności zaopiekował się Donem - oznajmił.

- O tak, Joe. Zaopiekuję się nim. Don lubi, jak z nim jestem. O tak, zaopiekuję się - powtarzał w kółko Stephen z wyraźną ulgą.

Wróciwszy z pogrzebu, Joe od razu poszedł do sypialni Dona. Zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na pielęgniarkę.

- Państwo Rochester zamierzają coś zjeść. Czy siostra nie zechciałaby do nich dołączyć?

W reakcji na tak grubą aluzję pielęgniarka uśmiechnęła się i od razu opuściła sypialnię.

Joe stanął przy łóżku i spoglądał na Dona w milczeniu, gdyż nie mógł wydusić z siebie słowa.

- Już po wszystkim? - odezwał się młodszy brat. Wyglądał na znacznie bardziej opanowanego niż Joe.

- Tak, tak. Już po wszystkim.

- Zatem przekonamy się, czy to pomogło. Ale... ale z pewnego punktu widzenia nie stanowi to dla mnie różnicy. Już nie boję się matki... od kilku dni. Chyba z chwilą, kiedy przyjąłem komunię, odzyskałem spokój. Czuję się tak, jakby to nie była komunia, lecz ostatnie namaszczenie. Wciąż je odkłada. — Uśmiechnął się blado. — To znaczy ksiądz Ramshaw. Wygląda na to, że będzie z tym zwlekał do ostatniej chwili. Zawsze uważałem, że ostatnie namaszczenie to jakby wypisanie czyjegoś aktu zgonu. Och, Joe. - Powoli uniósł rękę i chwycił brata za nadgarstek. - Człowieku, nie rób takiej miny. Nie sądzisz, że jest lepiej, jeśli o tym z tobą rozmawiam? Nie zachowuj się jak ludzie, którzy boją się wymienić nazwisko kogoś, kto umiera. Zawsze uważałem, że to niemądre. To tak, jakby tego kogoś już wykluczyć ze społeczności żywych. A ja nie chcę być wykluczony. Nie chcę też, żebyś rozmawiał o mnie po mojej śmierci, jakby za moimi plecami. - Roześmiał się.

- Don, na litość boską! - Joe wyszarpnął dłoń ze słabego uścisku. - Czasami łamiesz mi serce.

- Och, Joe, tak mi przykro. Spójrz na mnie. No, już. Zdradzę ci coś innego. Wiesz, co powiedział rano lekarz? Że od tygodni moje serce nie biło tak spokojnie jak dziś. Jak myślisz, dlaczego tak jest? W każdym razie odpowiedziałem mu, że poprawa stanu mojego zdrowia to konieczność, gdyż od samego płacenia rachunków za leczenie robi mi się niedobrze. Joe, no już. Joe, proszę.

- Wrócę... wrócę tu za moment - wymamrotał starszy brat i nie spojrzawszy na Dona, przeszedł do saloniku.

Już miał zadzwonić po kogoś do jadalni lub kuchni, gdy usłyszał, że otwierają się drzwi do sypialni Dona.

- Och, myślałem, że jest u ciebie Joe. Obiecał mi, że zagramy w bilard - odezwał się od progu Stephen.

- Usiądź przy mnie na chwilę - rozległ się przytłumiony głos Dona, jakby skądś z daleka. - Joe zaraz wróci. Poszedł coś dla mnie załatwić.

Joe wymknął się przez oranżerię na korytarz, a stąd do swoich pokoi. Usiadł i zakrył twarz dłońmi. Zbliżał się do kresu wytrzymałości. Walczyły w nim sprzeczne myśli i uczucia. Był wewnętrznie rozdarty. Ponownie zaczął żałować, że nie jest gdzieś daleko stąd. Kiedyś kochał ten dom dla niego samego, a teraz go nienawidził. Joe też był pewny, że jeśli nawet ciało matki spoczęło w grobie, to jej dusza nadal nie odstępuje tego miejsca.

Po chwili podniósł się z krzesła i stanął przy oknie. Świecił ostre słońce i ucichł wiejący podczas weekendu wiatr. Zrobił się ciepło. Klomb krokusów rosnących tuż pod oknem – ten niezawodny zwiastun wiosny - wyglądał coraz okazaiej, a posadzone po jednej stronie alejki żonkile wypuściły już pąki. W ogrodzie zaczynał panować radosny nastrój. Joe odetchnął głęboko, jednak niemal w tym samym momencie znowu poczuł się przytłoczony rodzinnymi problemami. Za godzinę odwiedzi w szpitalu ojca, Maggie i Annette. Czy naprawdę musi tam pójść dlatego, że dziś rano odbył się pogrzeb matki? Przecież Joe nie miał na ten temat nic do powiedzenia.

Już wcześniej był zmuszony wtajemniczyć Annette w to, co przydarzyło się jej teściowi i Maggie. Musiał również powiedzieć jej o śmierci Winifred, ponieważ Annette zaczęła się obawiać o życie dziecka. Ponadto Joe uznał za stosowne powiadomić ojca o śmierci jego żony, choć zrobił to dopiero wczoraj. Lekarz radził mu, by się z tym wstrzymał, jednak Joe był bliski powiedzenia medykowi, że na wieść o śmierci żony Daniel Coulson natychmiast ozdrowieje. Gdy przed dwoma dniami po raz pierwszy Joe rozmawiał z ojcem na temat Winifred, ten powiedział tylko: „No cóż, w końcu się na to odważyła”. Maggie zaś oświadczy-

ła, że będąc na miejscu pani

Coulson, prawdopodobnie postąpiłaby tak samo.

Patrząc na wiosenne kwiaty Joe pomyślał, że po śmierci Dona skończą się jego rozterki. Lecz co konkretnie miało nastąpić? Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać na rozwój wypadków. Joe był świadom, że zaczął się zmieniać. Czuł się tak samo pogruchotany jak pozostali, a zarazem mniej wrażliwy, zwłaszcza gdy przyłapał się na myśli, że po śmierci Dona będzie wolny. A wtedy zrobi to, co zechce. I teraz wiedział już, co zrobi.

TLR

## Rozdział jedenasty



Po przyjeździe do szpitala rozdzielili się. Flo i Harvey poszli do Annette, a Joe do Daniela.

Ojciec siedział na łóżku. Sprawiał wrażenie, że od jakiegoś czasu czeka na te odwiedziny.

- Co słyszeć, Joe?

- Jak się czujesz?

- Jest mi trochę lżej na duszy, bo rentgen nie wykazał żadnych obrażeń wewnętrznych. Popszywali mnie tu i ówdzie... Ona zawsze postępowała metodycznie. Jak upłynęło wam przedpołudnie?

- A jak mogło upłynąć? Pochowaliśmy ją.

- Tylko nie patrz tak na mnie i nie oczekuj, że wyrażę ubolewanie lub skruczę czy co tam chcesz. Ostatnio czuję tylko gorycz i żal z powodu tylu zmarnowanych lat, kiedy musiałem ją znosić. Mówi się, że należy wybaczyć i zapomnieć. Ale niech ktoś spróbuje to zrobić, przemieszkawszy z kimś takim jak ona trzydzieści lat.

- Tato, ona umarła, a wraz z nią umarła przeszłość. Musisz podejść do tego w taki sposób.

- Jak się czuje Don? - Ojciec wyraźnie chciał zmienić temat.

- Prawie nic się nie zmieniło, ale uważam, że Annette powinna jak najszybciej wrócić do domu. Porozmawiam o tym z lekarzem.

- Maggie jutro wychodzi. Przyszła do swojej sypialni za ledwie na moment, zanim to nastąpiło... Żenię się z nią.

- Oczywiście, oczywiście. Świetnie to rozumiem.

- Ale nie zamierzamy tam mieszkać. Przynajmniej to jest pewne. Ona nie chce, a ja tym bardziej.

- To też świetnie rozumiem, lecz co ze Stephenem? Gdzie on się podzieje?

- Zamieszka z nami. To ja jestem za niego odpowiedzialny.

Joe miał na końcu języka złośliwy komentarz: „Cieszę się, że tak do tego podchodzisz, bo praktycznie na całe lata oddałeś go pod moją opiekę”. Zaczął się zastanawiać, co się z nim dzieje. Najwyraźniej był zmęczony.

- Czy zastanawiałeś się nad tym, gdzie zamieszka Annette z dzieckiem?

- Joe, dlaczego mówisz do mnie takim tonem? To nie wymaga zastanowienia. Gdy zostanie... sama... przeniesie się do domu, który był przeznaczony dla nich obojga. Tylko nie wiadomo, co ty zamierzasz. Powiedz, jakie masz plany? Czy nadal chciałbyś mieszkać w tym domu? To znaczy, mógłbym go na ciebie przepisać.

- Dziękuję najuprzejmiej. Ja miałbym tam mieszkać?! Sam?

- Zawsze mówiłeś, że go lubisz, ba, uwielbiasz. To ty.... poza nią... Ale dla niej przede wszystkim liczył się sam dom... utrzymywałeś, że nie ma piękniejszego w całym mieście, nie tylko pod względem architektonicznym. Po prostu podobał ci się jako dom.

- Wszystko się zmienia. Ludzie też. Nie chcę tego domu. Jak tylko dojdiesz do siebie, wyprowadzę się.

- Wyprowadzisz się? Dokąd?

- To nie ma specjalnego znaczenia. - Joe już szedł do drzwi, ale nagle odwrócił się i dodał: - Może spróbuję odnaleźć moją... moją własną rodzinę.



- Joe! Joe! - krzyknął za nim Daniel.

Joe nie zareagował. Wytarł pot z twarzy. Zaczął sobie wyrzucać arogancję wobec ojca, który wciąż był w ciężkim stanie. Jak mógł tak na niego napaść? Zraz jednak znalazł argumenty na swoją obronę. Ciało Daniela istotnie było zmaltretowane, lecz jego podejście do życia nie zmieniło się ani trochę. Teraz Joe dostrzegł w nim człowieka, który zawsze chadzał własnymi ścieżkami. Daniel od początku małżeństwa niemal wcale nie poczuwał się do obowiązku spędzania czasu z żoną, lecz chętnie przebywał w towarzystwie innych kobiet, Joe zaś nawet jeszcze nie zasmakował bliskości kontaktów z kobietą. Pragnął tylko tej jednej, od chwili kiedy dawno temu wziął ją za rękę i szedł z nią ulicą. I byłaby z nim - co do tego nie miał wątpliwości - gdyby ten mężczyzna, od lat pełniący rolę jego kochanego i kochającego ojca nie poczuł naglej chęci odplacenia żonie pięknym za nadobne i nie ukuł stosownego planu. A, ku zaskoczeniu Joego, Don, rodzony syn Daniela, skwapliwie wcielił ten plan w życie. I oto wskutek tego Joe, dwudziestosześcioletni mężczyzna, wciąż był prawiczkim, podczas gdy jego przybrana matka pragnęła, by prawiczkim nadal pozostawał właśnie Don. Joe jeszcze nie był z kobietą, oczywiście nie dlatego, że tego nie chciał. O Boże! Jak bardzo chciał, a mimo to... Dlaczego? Czy nie powiedział sobie, że zrobi to, gdy tylko Annette i Don wezmą ślub? Postanowił smakować zmysłowe przyjemności, nawet jeśli miałby zostać starym kawalerem. A co się stało? Czekał na śmierć brata. Nie, wcale na to nie czekam - powiedział sobie z całą stanowczością na jaką było go stać.

Wzburzenie podziałało na niego jak ostroga. Ruszył na oddział, na który została przeniesiona Maggie.

Siedziała na krześle przy oknie.

- Och, witam, Joe. Miło cię widzieć. Wracam jutro do domu - odezwała się z wyraźnym ożywieniem.

- Jasne. - Usiadł na krześle naprzeciwko niej.

- Mówię „dom”, a boję się przestąpić próg. Chciałabym się stamtąd wyprowadzić możliwie jak najszybciej. Rozumiesz mnie, Joe?

- Jasne, Maggie.

Odchyliła głowę i przez chwilę spoglądała na niego w milczeniu.

- Joe, ty chyba potrafisz wszystko zrozumieć. W jakiś sposób życie cię do tego zmusiło. Czasami myślę, że to, iż zjawileś się w tej rodzinie, było dobre nie dla ciebie, tylko dla niej.

- Maggie, to jest samo życie. „Samo życie”. Czy to nie straszny komunał? Ale oczywiście, jak wiele innych, wyraża prawdę. To zrządzenie losu, że trafiłem do tej rodziny, jednak często myślę, że ci na górze, którzy zarządzają ziemskim padołem, są ślepi lub cyniczni.

- Joe, nie bądź taki cierpki. To niepodobne do ciebie. Co się stało?

- Daj spokój, Maggie. - Zniecierpliwiony machnął dłonią. - To wprost nadzwyczajne, że akurat ty mnie o to pytasz.

- Miałam na myśli... - Starła się panować nad sobą. - Aż za dobrze wiem, co się stało. Boże drogi! Wiem to. Ale od kiedy cię znam, nigdy nie byłeś zgryźliwy.

- Tylko dlatego, że połykałem moje myśli.

Maggie ze smutkiem pokręciła głową.

- Czy... czy stało się coś, o czym jeszcze nie wiem?

- Nie. Ty chyba wiesz o wszystkim. Może z wyjątkiem tego, że ojciec zasugerował mi, iż mógłbym zatrzymać ten dom po waszej wyprowadzce. Zapewne to sprawiło, że przestałem połykać myśli.

- Mój Boże! - Potrząsnęła głową. - Rzeczywiście, wyskoczył z tym jak Filip z konopi.

- Otóż, zawsze wydawało mi się, że lubię ten dom, podczas gdy inni usiłowali stamtąd uciec. Ale jak mógłbym tam mieszkać po tym, co się stało? I z kim? Z kim? Och, przepraszam, Maggie. - Wziął ją za rękę. - Nie martw się tak.

- Pokłóciłeś się z ojcem?

- Nie, to nie była kłótnia. Absolutnie nie. Cieszę się, że wracasz jutro do domu, bez względu na to, na jak długo.

- Muszę tam zostać, dopóki Don nie odejdzie.

- Tak, tak. - Wstał i westchnął ciężko. - Wszyscy musimy. Biedny Don. Modlimy się, żeby nie umarł, lecz równocześnie czekamy na jego śmierć.

- Joe, jesteś czymś wzburzony?

- Być może. Zobaczymy się jutro. Do widzenia, Maggie.

- Do widzenia, Joe. Joe... Gdybym się nie zakochała w twoim ojcu, to z pewnością zakochałabym się w tobie, bez względu na różnicę wieku.

Ze śmiechem odwrócił się od drzwi.

- Dzięki, Maggie. Miło to słyszeć. Czuję się zaszczycony, mogąc być z tobą.

U Annette spotkał Flo i Harveya.

- Przyszedłeś w samą porę, bo trzeba jej osobie przemówić do rozsądku. Jest bliska wypowiedzenia lekarzowi posłuszeństwa - przywitała go ciotka.

- O? - Stał obok Harveya i patrzył na Annette. – Sądząc z jej miny, gotowa jest mnie posłuchać. Pani Coulson, czy posłucha mnie pani?

- Tak, panie Coulson. Gotowa jestem, tak jak moje dziecko, wrócić do domu.

- Sądzę jednak, że lepiej byłoby zasięgnąć opinii lekarza i pozostawić jemu decyzję...

- Czy prawnik też mógłby się wypowiedzieć? – Harvey uśmiechał się promiennie.

- Prawda, Harvey, że próba powstrzymania cię nie ma żadnego sensu? - upewniła się Flo.

- Otóż z mojego punktu widzenia osoba, o której mowa, winna zostać potraktowana jako własny lekarz. Joe, posadź ją na wózku inwalidzkim, przetrans-

portuj wraz z dzieckiem do samochodu, zawieź do domu i natychmiast zapakuj do łóżka. Czy może być coś prostszego?

- To brzmi rozsądnie. - Annette uśmiechnęła się do Harveya. - No i co ty na to, Joe?

- Będę się upierał, by decyzję pozostawić osobie kompetentnej. Porozmawiam z lekarzem dyżurnym i zaraz tu wrócę.

Gdy wyszedł, Flo i Harvey wymienili spojrzenia, po czym utkwili oczy w Annette.

- Nie miałam pojęcia, że Joe może stracić panowanie nad sobą. A wy... wy co myślicie? Czy on jest rozgniewany? - przerwała milczenie Annette.

- Coś mu dolega. - Flo ściągnęła usta i odwróciła się do Harveya. - Zgadzasz się ze mną?

- No cóż, drogie panie, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: każdy, ale to każdy, zawsze liczy na Joego. Nawet ja zorientowałem się, że jest obarczany cudzymi niedolami jak kosz na śmieci. Oczekuje się po nim niezawodnej pomocy we wszelkich kłopotach. Joe, zrób to, Joe zrób tamto... Musiało się zdarzyć coś, co sprawiło, że w końcu poczuł się tym znużony. Oczywiście mogę się mylić. Niewykluczone, że chodzi o coś innego. Nie mam pewności. Tak czy inaczej obecny Joe nie jest już tym kimś, kogo nie tak dawno poznałem.

- Żałuję, że muszę wyjechać, że musimy wyjechać z kraju. - Flo podniosła się z łóżka i spojrzała na męża.

- Cóż, podjęliśmy już decyzję.

- Och, oczywiście, oczywiście. Cieszę się z powodu tego wyjazdu, ale równocześnie żałuję, bo tak bym chciała, by Annette ułożyła sobie życie. - Flo odgarnęła jej włosy z czoła.

- Gdy zamieszkasz w swoim domu, będziesz mogła zacząć wszystko od nowa. - Jej głos jeszcze dźwięczał w ciszy pokoju, gdy gwałtownie odeszła od łóżka. - O mój Boże, co ja wygaduję!

- Flo, nie przejmuj się. Staram się zachować spokój. Już dawno musiałam stawić czoło wszystkim moim problemom. Don wkrótce odejdzie. Dlatego chcę jak najszybciej wrócić do domu. A ty wyjedziesz do Kanady i będziesz szczęśliwa. Zresztą jak mogłabyś nie być, mając przy sobie tak wspaniałego mężczyznę.

- Wyciągnęła rękę do Flo, ale chwycił ją Harvey.

- Pisz do mnie co tydzień, dobrze? A być może niebawem zacznę spędzać urlopy z małą Flo.

Pochylili się, a Annette objęła ich. I ona, i Flo płakały ze wzruszenia.

- Annette, do końca życia będę ci wdzięczny za to, że jesteś gotowa dać twojemu synowi - to na pewno będzie syn - imię Harvey. Nie ma słów, by ci powiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

Po ich wyjściu Annette wciąż czuła ucisk w gardle. Siłą woli postanowiła zapanować nad sobą, bo inaczej nie mogłaby wrócić do domu. Bo powrót budził w niej strach, choć wciąż był tam Don. Będzie musiała zostać do jego śmierci. I martwił ją Joe. Co się stało? Nigdy wcześniej nie potraktował jej z taką rezerwą. To już nie był ten Joe, na którym mogła polegać i który zawsze spieszył jej z pomocą. A jeśli i on zechce wyjechać? Wszystko się zmieniało. Wydawało się to naturalne, jednak dotychczas Annette myślała, że Joe należy do ludzi, którzy zawsze są tacy sami. Sądziła, że przez cały

czas będzie go miała pod ręką, rozsądnego i niezawodnego. W końcu jednak musiał zacząć własne życie. Przypomniała sobie, że przed kilkoma tygodniami widziała go w mieście w towarzystwie Mary Carter. To była bardzo atrakcyjna kobieta w jego wieku, wprawdzie protestantka, ale Annette uważała, że jeśli Joe naprawdę pragnie Mary, to różnica wyznań nie będzie stanowiła dla niego przeszkody. Liczyła się jeszcze Irene Shilton. Od lat snuła się za Joem jak cień, a ponadto była katoliczką i śliczną kobietą. Była od niego młodsza o kilka lat. Dziwne, ale Annette nigdy jej nie lubiła. Do pokoju weszła pielęgniarka z małą Flo na ręku.

- Codziennie przybiera na wadze. Czy nie jest śliczna? - zagadnęła, oddając małą Annette.

- Chciałabym jak najszybciej porozmawiać z siostrą przełożoną. Proszę...  
Ja...

- Czy coś się stało?

- Nie, absolutnie nie. Jesteście tu dla mnie tacy mili, ale ja chcę wrócić do domu. Jak siostra wie, mój mąż jest bardzo chory. Chciałabym, żeby zobaczył dziecko.

- Ależ tak. Oczywiście. Zaraz do niej pójde.

## Rozdział dwunasty



Następnego dnia o ósmej rano Flo i Harvey byli gotowi do wyjazdu. Pożegnali się z Donem i ze służbą, a teraz stali przy samochodzie.

Harvey uścisnął dłoń Joego.

- Odwiedzisz nas w Kanadzie? Obiecałeś. Przyjedziesz?

- Przyjadę, przyjadę. Akurat o to bądź spokojny. - Roześmiał się. - Niewiele brakowało, żebym się spakował i wyruszył z wami. Niestety, gdzie się dwoje bawi, tam we troje nudno.

Flo nie roześmiała się, tylko z powagą objęła go i pocałowała w policzki.

- Joe, wytrwały zawsze osiąga cel - powiedziała cicho, patrząc mu w oczy. Odwróciła głowę do Harveya, który stał przy otwartych drzwiach samochodu. - Sam widzisz, że mnie się powiodło. - Wymienili pocałunki.

Joe odprowadzał wzrokiem auto. Flo przez cały czas machała do niego przez otwarte okno, a przez chwilę robił to również Harvey. W końcu zniknęli mu z oczu. Wątpił, by jeszcze kiedykolwiek ich zobaczyć.

Wolno wrócił do domu, powtarzając w myślach: „Wytrwały zawsze osiąga cel”. Jaki cel?

Gdy wszedł do sypialni Dona, pielęgniarka właśnie go umyła i odgarniała mu z czoła zalotny loczek.

- Nie poznaję tego urodziwego chłopca - zaszczebotała piskliwym głosem.

Mina Dona nie zdradzała, co myśli o takich komplementach.

- Już odjechali? - odezwał się do Joego.
- Tak, odjechali - potwierdził brat.
- Flo tego nie wie... - Don z trudem wciągnął powietrze do płuc - ale nie będzie im tam łatwo. - Stracił na chwilę oddech. - Nie zdziwiłbym się, gdyby wrócili... piorunem.
- Och, zapewne zdają sobie sprawę, że będą mieli trudności. Ale poradzili sobie w Anglii, więc poradzą sobie i w Kanadzie.
- Jesteś... jesteś ubrany do wyjścia?
- Czasami chodzę do pracy... - Joe uśmiechnął się – nawet tylko po to, żeby się tam pokazać.
- Siostra powiedziała mi, że... światło paliło się u ciebie... do wpół do trzeciej w nocy.
- Jest ciekawska jak wszystkie pielęgniarki. - Joe zerknął na nią.
- Powiem jej, jak pan ją nazwał, gdy przyjdzie na nocną zmianę - oznajmiła z uśmiechem siostra Porter. - To twarda sztuka. Trafi kosa na kamień.
- To byłoby całkiem po mojej myśli. – Odwzajemnił uśmiech i zwrócił się do Dona: - Wychodzę. Wrócę na lunch. Zachowuj się przyzwoicie, pamiętaj. Słyszysz?
- Joe... - odezwał się brat ledwie dosłyszalnym szeptem. - Kiedy... kiedy ona... wróci? To znaczy...
- Kiedyś to nastąpi. Wybiorę się po południu do szpitala. Prawdopodobnie ją przywiozę.
- Przywieź, Joe. Proszę.
- Przywiozę. - Poklepał brata po wychudzonym ramieniu. - Nie martw się, tylko zachowuj przyzwoicie.



Wrócił do swojego pawilonu. Włożył do teczki potrzebne papiery i przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu.

- Wytrwały zawsze osiąga cel - powiedział do siebie z zawziętą miną. O mój Boże! Flo z pewnością odkryła, że on kurczowo trzyma się... A czy tak nie było? Nie, nie! Nie chciał, żeby kiedyś tak o nim mówiono.

**Gdy** wrócił do domu na lunch, w hallu zobaczył Maggie. Ostrożnie schodziła po schodach.

- A więc poradziłaś sobie sama? - Uśmiechnął się do niej.

- Tak. Poradziłam sobie - odparła, przystanawszy na stopniu. - Ale dopóki nie wyszłam ze szpitala, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem słaba. Muszę cię na coś przygotować, zanim tam pójdziesz... - Wskazała dłonią drzwi do pokoju Dona. - Tam ktoś jest.

- Kogo masz na myśli? Annette?

- Zgadza się.

- Jak wróciła?

- Och, wszystko zorganizowała. Zadzwoiła do Lily, a ta spakowała nasze ubrania i przyjechała po nas taksówką... twojego wuja Boba. No, nie patrz tak. Wszystko w porządku.

- Dziecko też wróciło?

- Tak. Mała jest zdrowa. W ciągu tygodnia przybyło jej ponad pół kilograma.

- Maggie zeszła ze schodów i stanęła naprzeciwko Joego. - Och, szkoda, że nie widziałeś twarzy Dona, gdy odbierał małą z rąk Annette. Wyglądał tak, jakby wstąpiło w niego nowe życie. Nie byłabym zaskoczona, gdyby... - Potrząsnęła głową, wyraźnie nie chcąc wypowiedzieć myśli do końca. - Na pewno jeszcze pożyje.

Joe bez słowa skierował się do pokoju Dona. Nie szedł ani zbyt szybko, ani zbyt wolno. Przygotowywał się psychicznie na to, co tam zastanie. Gdy otworzył drzwi, zobaczył rodzinną scenkę - ojca, matkę i dziecko. Wszyscy troje znajdowali się na łóżku. Annette wstała.

- Joe, nie gniewaj się. Nie mogłam wytrzymać w szpitalu ani minuty dłużej. Poza tym dobrze się czuję. Obie czujemy się dobrze. Tylko spójrz na nią! - Wskazała dłonią córeczkę,

Don trzymał małą i głaskał ją po główce.

- Joe, to... najszcześniejszy dzień mojego... mojego życia. Czy... czy mała nie jest piękna? - wyjąkał.

- Jest. Jest piękna. - Joe pochylił się nad ojcem i dzieckiem. A gdy wyciągnął rękę i małe dziecko odruchowo chwyciła go za kciuk, poczuł taki ucisk w gardle, że sam przez chwilę z trudem łapał oddech.

- Nie chcę powiedzieć, że żadne niemowlę nie robi takich rzeczy, ale ona domaga się pana towarzystwa. Więc niech pan będzie na to przygotowany! Jeśli zacznie w nocy marudzić, to wiadomo, co pana czeka - zażartowała pielęgniarka, jakby chciała rozładować napięcie.

- Ona nie płacze po nocach. Powiedzieli mi, że śpi spokojnie - odpowiedziała jej Annette.

- I właśnie w tej chwili zasypia. Proszę mi ją dać. A pani... - skinęła głową na Annette - niech coś zje i położy się do łóżka, na całe popołudnie. Proszę to zrobić. Moim obowiązkiem jest wydawanie różnych poleceń.

Gdy pielęgniarka zabrała dziecko, Annette spojrzała Donowi w oczy i pocałowała go, a on objął ją i przytulił do siebie. Po chwili opadł na poduszki. Po jego policzkach płynęły łzy.

Joe wziął Annette za rękę, zmusił ją, żeby wstała z łóżka i wyprowadził z pokoju. W milczeniu poszli do jadalni.

- Sprawiałam ci przykrość? - spytała, gdy usiedli przy stole.

- Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo... bo wróciłam do domu sama i nie zostałam w szpitalu, chociaż obiecałam. Ale nic mi nie jest. Poza tym czułam, że muszę jak najszybciej do niego wrócić. Rozumiesz mnie?

- Oczywiście. - Usiadł obok niej. - Kierowałem się opinią lekarza. Gdyby jednak stan Dona wyraźnie się pogorszył, natychmiast przywiózłbym cię do domu.

- Joe, on wygląda strasznie.

- Tak uważasz? A ja myślałem... myślałem, że wygląda lepiej niż przed tygodniem - skłamał, starając się mówić z przekonaniem.

- Ależ skąd. I nie dlatego tak mówię, że nie widziałam go przez kilka dni. Może jednak teraz, gdy zobaczył dziecko, odzyska siły? Jak myślisz?

- Masz rację. Odzyska siły. Polepszy mu się. Potrząsnęła głową, odwracając od niego oczy.

- Nie wierzysz w to. Ja też nie wierzę. Odwiedziłam rano teścia, a właściwie Dana, bo chce, żebym zwracała się do niego po imieniu. On też wkrótce tu wróci, ale wciąż wygląda źle. Powiedział... powiedział mi, że sprzedaje dom. Już kazał swojej sekretarce dać ogłoszenie. Jestem z tego zadowolona. Nienawidzę tego miejsca. Żałuję, że nie mogę zabrać stąd Dona i dziecka do willi. Och, wszystko w porządku. Wszystko w porządku. - Zamknęła oczy i wyciągnęła rękę do Joego.

- Wiem, że nie powinnam, ale naprawdę pomyślałam, że tata mógłby wstrzymać się z tym do... - Potrząsnęła głową i spojrzała na Joego. - A co ty zrobisz?

- Och, nie przejmuj się tym. Już sobie wszystko zaplanowałam.

- Chyba nie wyjedziesz z miasta? - Jej głos zdradzał niepokój.

- Nie. Oczywiście że nie. Tu mam pracę.

- Pracę możesz sobie załatwić gdziekolwiek indziej - w Newcastle, w Durham, wszędzie... nawet w Kanadzie.

- Spuściła głowę i wymamrotała pod nosem: - Joe, czuję się taka zagubiona. Myślałam, że może matka odwiedzi mnie w szpitalu. Co do ojca nie miałam żadnych złudzeń, ale... ale w jej przypadku jakoś... Jednak nie przyszła. Kiedy przed kilkoma dniami gazety rozpisywały się o tym wszystkim, jedna z nowych pielęgniarek powiedziała do mnie: „Szczęście, że pani rodziców tam nie było, kiedy pani teściowa wpadła do domu jak furia. Na pewno poczuli ulgę, gdy się dowiedzieli, że leżała pani w tym czasie w szpitalu”. Wybuchnęłam płaczem, a ona poklepała mnie po ramieniu i dodała: „Pewnie wkrótce tu się zjawią. Proszę się nie martwić”. - Z jej oczu płynęły łzy.

Joe najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się przed przytuleniem jej do siebie, ale wziął ją za rękę.

- No, już. Nie płacz, proszę. Jeśli on zobaczy, że jesteś taka roztrzęsiona, to zaraz mu się pogorszy. I musisz myśleć o dziecku. - Poklepał ją po ręce.

Gdzie jest Stephen jeszcze go nie widziałam.

- Och, od kilku dni nie wstaje z łóżka. Znowu zaczął się moczyć. Przypuszczam, że usłyszał, jak Lily i Peggie rozmawiały o ewentualnej sprzedaży domu i ożył w nim stary lęk, że zostanie oddany do zakładu. Tyle razy był tym straszony. Usiłowałam go przekonać, że dokądkolwiek tata i Maggie się wyprowadzą, on zamieszka z nimi. Annette, orientujesz się, co jest pomiędzy tatą i Maggie?

- Jasne, choć wcześniej nie miałam o niczym pojęcia. Muszę przyznać, że byłam tym nieco zaskoczona, ale o nic taty nie obwiniam. Nie obwiniam ich obojga. Och, Joe, to prawda. - Uścisnęła mu dłoń i po chwili wahania spytała: - Czy... czy nie sądzisz, że wypadek zaczął wpływać również na umysł Dona?

- Na umysł? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Gdy podałam mu dziecko, uniósł je, jakby komuś pokazywał. Spojrzał w nogi łóżka i powiedział: „Oto rezultat”. Miałam... miałam wrażenie, że kogoś widzi. Nie sądzisz...

Joe zamknął jej dłonie w swoich. Zaczął nimi lekko potrząsać.

- On nie wariuje, tylko wyobraża sobie, że jego matka tu wróciła. Zresztą to coś więcej niż tylko wyobrażenie, bo czasami ja też czuję w sypialni Dona jej obecność. Och, nie... Proszę... przestań drzeć. Nie masz się czego obawiać. Ona umarła. Ale wiesz, co do niego czuła. Takie rzeczy się zdarzają, czy chcemy w nie wierzyć, czy nie. Jeszcze kilka miesięcy temu nigdy bym w coś takiego nie uwierzył. Zresztą trudno uwierzyć w to wszystko, co się zdarzyło. - Jego głos stał się szorstki. - Ale wiem tak samo jak Don, że matka jest w jego pokoju. Właśnie to niepokoi biednego Stephena. Przypuszczaliśmy, że on czuje się tak źle, ponieważ nie wie, co go czeka. Jednak kiedyś nie chciał wyjść z sypialni Dona, a teraz boi się tam wejść. Gdy wszedł tam ostatnim razem, natychmiast się zmoczył. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. A ty miałaś jakieś dziwne uczucie, jak się tam zjawiłaś?

- Nie, nie. Absolutnie nie. Może dlatego, że nie byłam tam zbyt długo. Poza tym żyłam wyłącznie radością, że znowu widzę Dona.

- Jeśli on wspomni o matce, nie okaz strachu. Po prostu powiedz, że ona nie wyrządzi mu krzywdy. To dziwne, ale naprawdę uważam, że matka nie chce mu zrobić nic złego. Ona tylko pragnie mieć go przy sobie. Jestem pewny, że gdy Don umrze, odejdzie stąd również Winifred, bo wszystko dzieje się głównie w jego umyśle.

- Jeśli tak uważasz, to jakim sposobem również ty wyczuwasz jej obecność?

- Ponieważ, jak sądzę, również mój umysł współtworzy jej obraz, czy jak to nazwać. Miłość i nienawiść potrafią wykreować ciało eteryczne, a przynajmniej tak to sobie tłumaczę. Jest nas tu trzech synów tej kobiety. Miłość - bo Don kochał ją przecież - zmieniła się w nienawiść. Jej obsesja zdolna była zabić

nawet najsilniejsze uczucie. Z kolei nasze stosunki – Winifred i moje - mogły zrodzić tylko antypatię, a stąd już blisko do nienawiści. Co do Stephena, to u niego dominuje strach przed tą kobietą, który sprawia, że ciągle czuje jej obecność. No cóż... - Westchnął. - Nie potrafię tego wszystkiego inaczej wyjaśnić. W każdym razie dla nas trzech ona wciąż przebywa w sypialni Dona. Oczywiście najsilniejsze emocje łączyły ją i Dona. Dlatego on ją „widzi”. Jednak, kiedy on odejdzie... a odejdzie w pokoju, ona też zniknie raz na zawsze. A poza tym - Winifred Coulson nie będzie w stanie zatrzymać go przy sobie. Nie odejdą stąd razem.

- Jak dziwnie brzmi to ostatnie stwierdzenie - skomentowała spokojna już Annette. - Zaprzecza wierzeniom obowiązującym w naszej religii, że ludzie mogą odejść stąd razem i spotykają po śmierci dusze drogich im osób. Dostępują odpuszczenia grzechów oraz łaski życia wiecznego, zamieszkując w pałacach Boga. Co na to odpowiesz?

- Odpowiem, że większość wierzeń to mity. Nie rób takiej zdziwionej miny. Tak, chodzę na mszę, do spowiedzi i odmawiam różaniec, ale przez cały czas buntuję się przeciwko religii. Rozmawiałem o tym z księdzem Ramshawem. On ze swoją nieodłączną „niebiańską” życzliwością oświadczył, że w pewnym momencie rozmaite wątpliwości przestaną mnie niepokoić i że każdy prawdziwy chrześcijanin przechodzi ten etap. U mnie trwa to już od jakiegoś czasu, jednak efekt jest taki, że moje wątpliwości stały się niemal pewnikami. Wciąż są tak silne, że grożą odrzuceniem samej idei Boga, rozstaniem się z nią raz na zawsze. Nie sądzę, żebym był na tyle niezłomny, by przetrwać ten kryzys. Ale nie miej takiej zmartwionej miny.

- Joe, to nie chodzi o zmartwienie, lecz o zaskoczenie, bo wypowiedziałeś uczucia, które mnie dręczyły jeszcze podczas nauki w szkole przyklasztornej. Jedne zakonnice zachowywały się jak anioły, a inne jak diabły. I tylko ze względu na księdza

Ramshawa nie zbuntowałam się otwarcie jakiś czas temu, zwłaszcza po tym, jak zbeształ mnie ksiądz Cody. Wyobraź sobie, że ten człowiek otwarcie zarzucił mi popełnienie grzechu, to znaczy mnie i Donowi, i przykazał długą pokutę oraz okazywanie mojemu ciału wzdargy.

- To nie do pomyślenia! Powinnaś porozmawiać z księdzem Ramshawem.

- Och, przecież on doskonale wie, jak zachowuje się wikary. Dziwnie układają się ich stosunki, prawda? - Uśmiechnęła się. - Wiadomo, że serdecznie się nie cierpią... Apostołowie Chrystusa, którzy mieszkają w tym samym domu i nie mogą znieść jeden drugiego. Ale jakie to ma znaczenie? W ogóle nie o to chodzi.

- O tak. Zgadza się, ale teraz coś zjedz, a potem posłuchaj pielęgniarki i nakarm małą. Flo i Harvey wyjechali dziś rano.

- Wiem. Wpadli do mnie do szpitala

- To miło z ich strony. Byłem przekonany, że pojedą prosto do Londynu. Położysz się po lunchu, ale nie na dole w saloniku, tylko w pokoju gościnnym na piętrze. Peggie już go dla ciebie posprzątała. Teraz robi ostatnie porządki w przylegającej do niego garderobie, która została zamieniona na pokój dziecienny.

Wszystko jest przygotowane.

- Och, to wspaniale. - Usiadła przy stole i spytała cichym głosem: - Joe, byłeś może ostatnio w willi kupionej dla mnie i dla Dona?

- Tak. W ciągu ostatnich kilku dni wpadałem tam co najmniej co drugi dzień. Na końcu drogi, którą się tam jedzie, mieszka mój klient, więc była okazja. Nie wiem, dlaczego nazywacie ten dom willą. To raczej mała rezydencja – dziewięć pokoi, półtora akra ziemi... Będiesz tam szczęśliwa.

Przez długą chwilę spoglądała na niego w milczeniu. On też już nic więcej nie dodał świadom, iż był okrutny mówiąc, że będzie szczęśliwa... sama z dzieckiem w dziewięciu pokojach.

## Rozdział trzynasty



Od chwili, kiedy Annette zjawiała się wraz z dzieckiem w domu, Don sprawiał wrażenie zdrowszego. Oddychał spokojniej i nie uskarżał się na ból. Żartował z księdzem Ramshawem, a lekarz wydawał się zadowolony ze swego pacjenta.

Gdy w dwa tygodnie po powrocie Annette ze szpitala do pokoju Dona wszedł ojciec, syn wyciągnął do niego ręce i uściskali się serdecznie. Na twarzy Daniela wciąż widniały liczne przebarwienia, a poza tym lekko utykał i wyraźnie schudł. Długo rozmawiali o sprawach nie dotyczących bezpośrednio matki, a gdy w końcu przyszła pora powiedzieć sobie dobranoc, siedzący na brzegu łóżka Daniel oparł łokcie na kołdrze i uniósł rękę Dona.

- Jej tu nie ma. Chłopcze, wbij to sobie do głowy. Odeszła na zawsze - odezwał się pozornie bez związku.

- Tato, naprawdę nie czujesz jej obecności?

- Nie... nie czuję. Czuję tylko jej rękę na moim potłuczonym ciele. Na ciele tak, ale nigdzie indziej.

- Ona tu jest. Od chwili, kiedy umarła.

- Don, przestań.

- Tato, to jałowe gadanie. Poza tym nie tylko ja tego doświadczam. Jak myślisz, dlaczego Stephen przestał tu przychodzić na pogawędki? Od dawna nawet nie zbliża się do tego pokoju. Leży w łóżku jakoby przeziębiony. Wie, że ona tu jest. Tak samo Joe.



- Och, na pewno nie Joe. Jest na to zbyt racjonalny.

- Nieprawda. Czuje jej obecność niemal tak samo jak ja. Co do jednego nie mam wątpliwości. Ona nie zniknie stąd, dopóki ja nie odejdę. Ale ja się nie boję, to znaczy, jej się nie boję. Doszło do tego, że teraz jest mi jej żal. Ona wie, że nie zatrzyma mnie przy sobie. Powiedziałem jej to, ale ona to już wiedziała. Najwyraźniej uparła się, by oglądać mnie w tym pokoju po raz ostatni.

- Chłopcze, nie opowiadaj takich rzeczy.

- Tato... w pewnym momencie ją znienawidziłeś. Stało się to dawno temu i im bardziej jej nienawidziłeś, tym mocniej kochała mnie. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że miłość jest silniejsza od nienawiści, ponieważ to miłość - czy jak tam nazwać uczucie matki do mnie - trzyma ją w tym pokoju. Teraz jej obecność jest mi obojętna, choć na początku czułem się chory na samą myśl, że tu jest. Zresztą nawet samą tę obecność odbieram już inaczej. Tyle w niej patetycznego uniesienia, że budzi się we mnie współczucie. Tato, nie patrz na mnie tak, jakbyś się obawiał, że tracę rozum. Przecież tylko mój mózg wyszedł cało z wypadku. To absolutnie pewne.

- Rozmawiałeś o tym z księdzem Ramshawem?

- Tak, tak. Rozmawialiśmy otwarcie. Kilka razy. On to rozumie. Jak mówi, są rzeczy na ziemi i niebie, o których ludziom nawet się nie śniło. Zgadza się z nim. Masz już kupców na dom?

- Tak... O ile wiem, jacyś są.

- Będą musieli trochę poczekać, co?

- Chłopcze, mam nadzieję, że długie lata.

- Och, nie, tato, tak długo to nie. To zabawne, że cała ta rodzina wkrótce się rozleci, a kiedyś wydawała się taka solidna. Tato?

- Słucham, synu?

- Ty i Maggie będziecie razem. Wiem o tym. A Stephen zamieszka z wami. Otóż... nie wpływaj na decyzje reszty domowników. Nie będziesz?

- Co przez to rozumiesz?  
- Właśnie to. Pozwól... pozostałym żyć tak, jak zechcą.  
- Pozostałym? Kogo masz na myśli? Może ci chodzić tylko o Annette i o Joego.

- Jasne... Chodzi tylko o nich. Tato, cokolwiek się zdarzy, pozwól sprawom rozwijać się zgodnie z ich własnym biegiem.

Daniel wstał.

- Don, nie podoba mi się sposób, w jaki to ująłeś. Zawsze robiłem wszystko dla twojego dobra – oświadczył ze smutkiem.

- Jasne, tato. Ale ludzie prawie zawsze tak mówią: Zrobiłem to dla jego czy jej dobra.

Daniel z niezadowoloną miną patrzył na bladą, wychudzoną twarz o zapadniętych oczach. Przed rokiem była to twarz młodzieńca, czy raczej młodego mężczyzny, który miał niewiele ponad dwadzieścia lat, a teraz... Zwłaszcza te zapadnięte oczy mogłyby należeć do starego człowieka, do kogoś, kto przeżył kawał życia i wiele doświadczył.

- Dobranoc, synu. Spij dobrze - powiedział cicho.

- Dobranoc, tato. Ty też.

**Minęły** następne dwa tygodnie. Dochodziła siódma wieczorem. Joe i ksiądz Ramshaw siedzieli w bibliotece, popijając kawę.

- Jestem niepocieszony, że rozminąłem się z Danielem. Chciałem zamienić z nim słowo. Powiadasz, że pojechał obejrzeć stare śmieci na Brampton Hill? - zagadnął proboszcz.

- Czy to nie dziwne, że ten dom stoi teraz pusty? Tata wcale nie miał ochoty wyprowadzać się stamtąd. To jeden z najmniejszych i najstarszych domów na

wzgórzu. Sądę, że pierwszy z wybudowanych tam dla kogoś z miejscowej elity, zanim ta nie zaczęła wznosić dla siebie dworów i pałaców.

- Wiem, wiem. Więc zamierza tam zamieszkać z Maggie i ze Stephenem?

Jeśli tak, to przynajmniej część rodziny osiadzie w jednym miejscu. A co z tobą?

- Och, ja też już pomyślałem o wyprawdzie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Kupiłeś mieszkanie?

- Upatrzyłem sobie coś w tym rodzaju. Wkrótce tam zamieszkam.

- Z pewnością. Nie sądę, żebyś musiał zbyt długo na to czekać. Donowi zostało niewiele życia. Jutro powinienem przyjść z ostatnim namaszczeniem. Tak czuję.

- Ale... on promienieje. Myślałem, że jeszcze trochę pożyje.

- Joe, w pewnym sensie on zmusza się do życia. Sądziłem, że wpadniesz na to. Wie, że jego koniec jest bliski. Niedawno lekarz powiedział mi, że zdumiewa go, iż Donowi udało się przedłużyć sobie życie. To dzięki Annette i dziecku. Don jest szczęśliwy. Może się to wydać dziwne, ale to prawda. Jest szczęśliwy i pogodzony ze śmiercią. Na twoim miejscu od jutra zacząłbym czuwać przy nim w nocy. A zmieniając temat... Co będzie z pracownikami... z Billem, Johnem, Peggy i Lily?

- Peggy zamieszka z Annette, a John będzie pracował u taty. Bill i Lily zostaną na razie w stróżówce. Jeśli nowi właściciele zechcą ich zatrzymać, to dobrze, a jeśli nie – tata jakoś się o nich zatroszczy. Nikt nie został pozostawiony samemu sobie.

- Dobrze wiedzieć. A ty zamierzasz żyć w tym nowym mieszkaniu sam?

- Co ksiądz sugeruje? - Joe ściągnął usta i spoglądał wyczekująco.

Proboszcz uniósł brwi.

- O ile się orientuję, nie musisz zbyt długo rozglądać się za kandydatką.

Wiem o dwu katoliczkach i o jednej protestantce.

- Jak się ksiądz dowiedział o panie Carter?

- Och, chłopcze, ja wiem mnóstwo rzeczy. To zadziwiające, o czym ja wiem i w jaki sposób się o tym dowiaduję. Zamierzasz wybrać jedną z nich?

- To całkiem możliwe.

- A więc zastanawiałeś się nad tym?

- O tak. Dużo o tym myślałem, proszę księdza. Mówiąc ściśle, już dokonałem wyboru. Jakiś czas temu.

Proboszcz miał bardzo zdziwioną minę.

- A to ci dopiero! Co za wiadomość. Nie uchylisz rąbka tajemnicy?

- Jeszcze nie pora. Powiem księdzu we właściwym czasie.

- Czy jest katoliczką?

- O tym też ksiądz się dowie we właściwym czasie.

- Jest na co czekać. Muszę już iść. Dziękuję za poczęstunek. Zawsze był to gościnny dom. Jakie to wszystko przygnębiające. - Wstał. - To piękny dom, a zwłaszcza ta imponująca biblioteka. Co zrobisz z książkami? Sprzedasz je na aukcji?

- Część tak, ale większość zatrzymam.

- W nowym mieszkaniu?

- Równie dobrze może to być dom.

- Ho! Ho! A więc doszliśmy do jakiegoś konkretnego. Mieszkanie, które może być domem. Niesłychane! Joe, znasz mnie. Wiesz, że jak się do kogoś przyssam, to się nie odczepię, dopóki nie wyciągnę z niego wszystkiego. Jednak ty szykujesz mi niespodziankę, a już myślałem, że wiem o tobie wszystko.

- Proszę księdza, każdy człowiek ma swoje tajemnice.

- Święta racja. Święta racja. Niemniej... - Roześmiał się i potrząsnął głową, po czym skierował się do wyjścia. Zatrzymał się przed frontowymi drzwiami, spojrzał na schody i powiedział do odprowadzającego go Joego: - Jeśli twój ojciec nie sprzeda tego domu komuś znajomemu, to niebawem przestanę tu bywać.

- Dobranoc. Ksiądz tak wierzy w moc modlitwy, że powinien wypróbować jej skuteczność, prosząc Boga o miłych nowych właścicieli.

Duchowny odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się gromko.

- To dobra rada, Joe. Skorzystam z niej. Na pewno skorzystam.

O dziesiątej Annette powiedziała Donowi dobranoc.

- Kocham cię - szepnął, obejmując jej twarz dłońmi.

- A ja ciebie. O tak, Don. - Głos jej się załamał.

- Bądź szczęśliwa.

Słyszając takie pożegnanie, podniosła się z łóżka i podeszła do pielęgniarki, która siedziała w drugim końcu pokoju.

- Myślę... myślę, że powinnam tu dziś spać.

- Pani Coulson, nie ma takiej potrzeby. Gdyby nastąpiła jakaś zmiana, natychmiast panią zawołam.

- Wolałabym raczej...

- Annette... proszę, idź na górę. Chcę spać. Czuję się dobrze. Naprawdę - uspokajał ją Don.

Podeszła do łóżka.

- Raczej wolałabym tu zostać, jeśli...

Wziął ją za rękę.

- Pani Coulson, proszę zrobić to, o co proszę, czyli pójść do swojej sypialni. Jeśli będziesz leżała obok mnie na tym twardym materacu, to się nie wyśpię, świadom twojej obecności. Poza tym nie chcę, żeby moja córka pozostała bez opieki. - Spojrzał na Annette nieustępliwie. - Proszę.

Chcąc ukryć emocje, odwróciła się gwałtownie i w pośpiechu wyszła z pokoju, ale nie do swojej sypialni, tylko do pawilonu Joego. Gdy nie usłyszała reakcji na swoje pukanie, weszła do środka i po cichu zawołała szwagra. Jednak

nie było go tu. Szybko ruszyła przez korytarz do hallu, a stamtąd do kuchni. Całkiem możliwe, że Joe przyszedł do Maggie na pogawędkę. Annette dziwiło, że gosposia nadal spełnia wszystkie dotychczasowe obowiązki i sypia w swojej sypialni. Najwidoczniej Maggie i Daniel nie chcieli stwarzać pozorów przyzwoitości, tylko rzeczywiście ją zachowywali. Po tym, co się wydarzyło, wydawało się to Anette idiotyczne.

W kuchni nie było nie tylko Joego, ale nawet Maggie.

Peggie powiedziała Annette, że gosposia jest u siebie, a pan Joe poszedł do biblioteki.

Istotnie tam był. Siedział przy stole i przeglądał jakieś książki. Na jej widok wstał.

- Co się stało?

- Nic takiego... - Pokręciła głową. - Don sprawia takie wrażenie, jakby czuł się dobrze, ale... ale dziwnie się zachowuje. Nie pozwolił mi spać na dole.

- Będę przy nim czuwał. Gdyby nastąpiła jakakolwiek zmiana, to wiesz, że po ciebie przyjdę.

- Tak, tak. Ale on jest jakiś inny, bardzo spokojny i dziwnie szczęśliwy. To mnie zaskoczyło, a nawet wydało mi się niesamowite.

- No, już, już. Jest słaby i czasami tak się zachowuje. Połóż się spać. Przyrzekam, że jeśli tylko coś mnie zaniepokoi, natychmiast cię zawołam.

- Przyrzekasz?

- Bądź spokojna.

Odwróciła się gwałtownie i ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się przy drzwiach.

- Czy to nie dziwne, że tata wprowadzi się do domu, w którym mieszkał poprzednio? Wydaje mi się, że wszystko się rozpada, że każdy zmierza w swoją stronę... nawet ty. Słyszałam, jak tata mówił, że masz na oku jakiś dom. To prawda?

- Ależ tak, tak.

- Zabierzesz stąd meble?

- Och, nie. Jedyne, co stąd zabiorę, to książki i papiery, bo tak naprawdę to nic poza tym do mnie nie należy.

- Zatem dom, do którego się przeniesiesz, został już urządzony?

- Tak. Po raz pierwszy postąpię tak, jak zechcę; zrobię coś, co powinienem zrobić dawno temu.

- Oczywiście, Joe. Rozumiem. Dotychczas nie potrafiłeś tak postępować.

Pamiętasz, powiedziałam ci kiedyś, że zawsze byłeś na każde skinienie, a ostatnio nawet na moje. Bardzo się cieszę, że nareszcie zaczniesz żyć dla siebie. Dobranoc... będziesz mnie odwiedzał?

- Oczywiście. Dobranoc.

Pozbierał papiery, odłożył książki na półki i przeszedł do swojego pawilonu. Wziął szybki prysznic, włożył szlafrok i skierował się do sypialni Dona.

- Chłopiec stał się nieposłuszny. Odmawia zażycia leków. Co zrobimy z tym paszтетem, panie Coulson? - spytała Joego pielęgniarka, ledwie wszedł do środka.

- Niech siostra ściśnie mu nos. To chyba jedyny sposób.

- Nie spodobałoby mu się to. - Uśmiechnęła się do Dona.

- W życiu musimy robić tyle rzeczy, które nam się nie podobają - skomentował Joe, siadając na krześle u szczytu łóżka.

- No dobrze. Proszę mi podać pastylki. Joe, wyglądasz tak świeżo i jesteś taki przystojny.

- Nic nie wiem o tym drugim, a co do pierwszego, to przed chwilą wziąłem prysznic.

- Tak, wciąż masz wilgotne włosy. Zabawne, ale nie wolno mi było mieć wilgotnych włosów. Zawsze musiałem je suszyć suszarką. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- Jaka jest pogoda?

- Och, bardzo ładna. Nie ma wiatru i jest całkiem ciepło.

- To miło. Joe, czuję taki spokój, taki spokój. Siostrzyczko! Chętnie wypiłbym gorące kakao. Jak siostra sądzi? Nie zaszkodzi mi?

- Gorące kakao? Oczywiście, że nie zaszkodzi. Ale jeszcze nigdy nie miał pan na nie ochoty o tej porze.

- Teraz, siostrzyczko, chciałbym się napić.

- Więc dostanie je pan. - Uśmiechnęła się i wyszła do kuchni.

- Gorące kakao? - Joe zachichotał. - Co się za tym kryje?

- Po prostu chciałem ci coś powiedzieć. Pora na mnie. Matka zniknęła. Pamiętasz, mówiłem, że ona tu zostanie do chwili, kiedy ja będę gotowy odejść. Och, mój drogi przyjacielu i bracie, nie patrz tak na mnie, tylko się ciesz, że potrafię odejść w taki sposób. Czy wiesz, że nic mnie nie boli? A właściwie można by powiedzieć, że w ogóle nie mam ciała. Nic nie mówiłem, ale od dwóch lub trzech dni nic mnie nie boli. I czuję się coraz lżejszy. Nie boję się ani matki, ani śmierci, ani tego, co potem nastąpi. Wszystko wydaje się już ustalone. Och, Joe, proszę, ciesz się, że odchodzę w taki sposób. Chcę, żebyś dziś przy mnie czuwał. Po prostu siedź tak, jak siedzisz.

- Powinienem pójść po Annette...

- Nie, nie. Już się z nią pożegnałem. Ona o tym wie. Nie zniósłbym jej płaczu. Nie mógłbym odejść spokojnie. Z tobą, Joe, jest całkiem inaczej. Zawsze tylko z tobą potrafiłem rozmawiać, to znaczy, rozmawiać absolutnie szczerze. Teraz zamknę oczy, a gdy wróci pielęgniarka, powiedz jej, że zasnąłem. Zaraz usiądzie na swoim krześle i zapadnie w drzemkę. Tak jest co noc.

- Ale... ale myślałem, że połknąłeś pastylki.

- Doszedłem do wielkiej wprawy w oszukiwaniu pielęgniarek. Całkiem długo można trzymać pastylki pod językiem.

- Och, Don, Don.



- Chce mi się śmiać, gdy tak wymawiasz moje imię...

zupełnie jak ksiądz Ramshaw. To odpowiedni dla ciebie kompan. On też wie, że często wieczorem nie zażywam pigułek, to znaczy tych nasennych. Inne i... ten ciemny płyn... owszem, tak. Zresztą czasami nie miałem wyboru. Ale od trzech czy czterech dni nie potrzebuję żadnych leków. Wiesz co, Joe, tuż po wypadku czułem tylko gorycz. Och, Boże drogi, jaką gorycz. I miałem ochotę krzyczeć, kiedy budziłem się ze snu wywołanego przez środki nasenne. Nie potrafię powiedzieć, kiedy moje podejście do tej sytuacji się zmieniło, ale wiem, że w ciągu ostatnich miesięcy przeżyłem więcej niż przez wszystkie wcześniejsze lata. Jestem pewny, że nawet gdybym przeżył sto lat, ani w połowie nie rozumiałbym tak dobrze życia, jak rozumiem po tym krótkim okresie. Leżąc tu, tyle się nauczyłem, że teraz nie żałuję, iż doszło do tego wypadku. Dziwne, prawda? Oczywiście zostawiam piękną, młodą żonę i córkę, ale nie martwię się o nie. Joe, wszystko w porządku. Nie będę ciągnął tego tematu. Co ma się stać, to się stanie. Nie będę się przy niczym upierał. Masz przed sobą swoje własne życie. Księdzu Ramshawowi wymknęło się wczoraj, że kimś się interesujesz. Usiłował mnie wybadać, czy czegoś nie wiem. Nie potrafiłem mu nic powiedzieć, a teraz ciebie o nic nie pytam. Każdy człowiek ma prawo zmienić zdanie w różnych sprawach. Annette i dziecko są w rękach Boga. On zatroszczy się o moją żonę i córkę. Joe, nie miej takiej zmartwionej miny i nic nie mów. Proszę, nic nie mów. Ja wszystko rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Za kogo ty się uważasz? Za samego Boga?

- Och, Joe, nie zmuszaj mnie do śmiechu. To dziwne, ale gdy się śmieję, czuję ból. Siostra wraca. Ma ciężki chód, słysząc jej kroki nawet na dywanie. Joe, weź mnie za rękę i nie puszczaj, dobrze?

Joe zrobił, o co poprosił Don, i odwrócił głowę na widok wchodzącej do pokoju pielęgniarki. Dał jej znak drugą ręką, że pacjent zasnął.

Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się, postawiła kakao na stole pod ścianą i zagłębiła się w fotelu.

**Joe** nie zorientował się, kiedy Don zmarł. Przez jakiś czas siedział osłupiały, trzymając białą dłoń brata. Gdy w pewnym momencie zerknął na zegar, było piętnaście po pierwszej.

- Muszę się zdrzemnąć. Czy on śpi spokojnie? – odezwała się przeproszającym tonem pielęgniarka.

Skinął głową. Nie podeszła do łóżka, tylko przez chwilę krzątała się przy stole, po czym znowu usiadła w fotelu, zapisała coś w notatniku i zaraz zasnęła. Jeśli nawet nie można by jej zarzucić chrapania, to bardzo głośno oddychała przez nos.

Mimo odrętwienia ręki, Joe nadal się nie poruszał. Usiłował tylko przysunąć krzesło jeszcze bliżej łóżka, żeby nieco odciążyć ramię. W jakiś czas potem zamknął oczy.

- Och! Panie Coulson! Panie Coulson! - rozległ się nagle głos pielęgniarki.

Natychmiast uniósł powieki i spojrzał na stojącą po drugiej stronie łóżka kobietę, która badała puls Dona na przegubie dłoni.

- Obawiam się... Obawiam się, panie Coulson...

Spojrzał na twarz brata. Sprawiała wrażenie cieplej i żywej, ale była sztywna jak gipsowy odlew. To mogłaby być twarz śpiącego, ale nie była.

- Panie Coulson, on... on odszedł.

- Tak, tak. Wiem. - Wolno uniósł wychudzoną białą dłoń i rozprostował jej palce. Położył ją na pościeli i równie wolno uniósł swoją odrętwiałą rękę.

- Zadzwońię po lekarza.

- Tak, tak, siostró.

- I zawołam... zawołam jego ojca i żonę.

- Proszę zostawić to mnie.

Joe zadawał sobie pytanie, dlaczego czuje taki spokój? Było tak, jakby udzielił mu się nastrój Dona, uzewnętrzniony jeszcze tak niedawno. Joego nie dręczył ani smutek, ani żal. Czuł tylko spokój, taki sam jak ten, który zdradzała twarz martwego brata, i który zdawał się wypełniać sypialnię. To była prawda, że wraz z Donem odeszła również matka. Odeszła ostatecznie.

Joe swobodnie opuścił ręce i ruszył do drzwi, ale nie potrafił prawą dłonią ścisnąć klamki. Użył lewej. Zamiast zaalarmować ojca i Annette, skręcił w korytarz prowadzący do swoich pokoi. Przeszedł przez salon do oranżerii, a stamtąd wyszedł do ogrodu. Nocny mrok rozjaśniał księżyc w pełni, który wyglądał jak wielki żółty ser wyłaniający się z blaknącego granatu. Powietrze było rześkie, a liśćmi poruszał wietrzyk. Joe czuł go na spoconym czole. Uniósł głowę i spojrzał w niezmierzoną przestrzeń, w której widniał księżyc i gwiazdy i w której zniknęli Don i jego matka. Każde zmierzało w swoją stronę.

## Rozdział czternasty



Po siedmiu tygodniach od śmierci Dona dom był sprzedany i niemal ogołocony z mebli. Te lepsze Daniel zabrał do nowego domu, w którym mieszkali już Maggie i Stephen. Nowi właściciele przyjęli ofertę zatrudnienia mieszkających w stróżówce Billa i Lily. Pozostało tylko zainstalować w willi Annette, dziecko i Peggie. Było dziwne, że choć tyle czasu upłynęło od pogrzebu Dona, to Annette jakby ociągała się z decyzją przeniesienia się tam na stałe. Codziennie krążyła samochodem pomiędzy willą i starym domem, gdzie wciąż nocowała. Ale dziś nieodwołalnie musiała się wyprowadzić. Podobnie Joe.

Dopiero dziś rano pakował do samochodu ubrania i książki, i przewoził je do nowego domu. Do tej pory nikt nie wiedział, gdzie jest ten nowy dom. Daniel właśnie pytał o to Joego. Stali w pustym salonie. Gdy otrzymał odpowiedź, milczał przez chwilę.

- Człowieku, nie możesz tego zrobić.
- Dlaczego?
- Bo ludzie będą sobie strzepili języki.
- Mój Boże! Tato! I ty to mówisz?!
- Wiem, wiem, ale moje życie to moje życie i wytrzymam te plotki, bo zawsze byłem odporny na takie rzeczy. Ty jesteś inny. Masz dopiero dwadzieścia sześć lat i nikt nie powinien pokazywać cię palcem.

- Boże drogi! Nie wierzę własnym uszom.
- Mówię to tylko dla twojego dobra. Ludzie nie dadzą wam spokoju.
- Owszem, ale co mnie to, u diabła, obchodzi? Zdziwiał mnie twoje podejście do tej sprawy.
- No już dobrze. Joe, nie chcę się z tobą kłócić. Ostatnio nie robię nic innego.
- Nie przyszłoby mi to do głowy.
- Ja tylko troszczę się o ciebie.
- Tylko się troszczysz? Ty, ksiądz Cody i ksiądz Ramshaw?

Z tym ostatnim możesz zerwać znajomość.

- Wątpię w to.
- Więc poczekamy i zobaczymy, co będzie. — Odwrócił się do drzwi.
- Joe, Joe... - zatrzymał go Daniel. - Rozchodzimy się.

Czuję się tak, jakby między nami powstał nagle mur. Ani ty, ani ja nie chcemy się rozstać w taki sposób. Jako syn jesteś dla mnie wszystkim i dlatego martwię się o ciebie.

- Tato, jeśli chcesz, wciąż będziesz miał syna, ale on musi zacząć żyć na własną rękę, tak jak ty to robisz. Jeszcze tego nie posmakowałem, ale zamierzam. Nie martw się, niebawem do ciebie wpadnę, może jeszcze dziś albo jutro. Do widzenia, tato. Na razie.

W hallu stała Annette. Trzymała dziecko.

- Jesteś gotowa?
- Tak, Joe, ale... ale nie musisz się fatygować. Za jakiś czas Peggie tu po mnie przyjedzie. Zabrała samochód, bo musiała zajrzeć do matki. Mogę poczekać.
- Jestem akurat wolny.
- Czy twój dom jest już urządzony? - spytała sztywno.
- Tak. Jest tam bardzo ładnie.

- Jesteś strasznie tajemniczy... Dlaczego?

- Och, wkrótce się dowiesz. Zaraz wszystko się wyda.

Zerknęła na niego i ruszyła do wyjścia. Przed drzwiami odwróciła się, rozejrzała po hallu i utkwiała wzrok w schodach.

- To chyba najniezwyklejszy dom na świecie. Dobry Boże, obym już nigdy nie zamieszkała w drugim takim.

- Dobry Boże, obyś nie zamieszkała.

Otworzył tylne drzwi samochodu, a gdy Annette wsiadła, posadził dziecko na jej kolanach i zajął miejsce za kierownicą.

- Czy ten twój dom jest na tyle blisko, żebyś mógł do mnie wpadać? - odezwała się po jakimś czasie.

- O tak.

- Joe?

- Słucham, Annette?

- Nie powiesz mi, gdzie jest ten dom? Dlaczego utrzymujesz to w sekrecie?

- Otóż... - Umilkł, biorąc zakręt. - Myślę, że to najlepsza taktyka. No a poza tym chodzi o młodą kobietę, z którą, jak czuję, pozostanę do końca życia. Chciałbym, żeby wszystko wyjaśniło się w jednej chwili.

- Nie rozumiem cię, przynajmniej ostatnio.

- Annette, przez długi czas sam siebie nie rozumiałem, ale teraz wiem, co robić.

- A więc chodzi tylko o to?

- Tak, Annette, chodzi tylko o to.

Dalszą część trasy przebiegającej przez malowniczy krajobraz przebyli w milczeniu. Krótką drogą dojazdową dotarli przed długi, jednopiętrowy dom z szarego kamienia. Joe otworzył frontowe drzwi. Annette weszła pierwsza do niewielkiego hallu.

Oniemiała na widok czterech waliz obok stolika, na którym stał telefon. Natychmiast się odwróciła i spojrzała na Joego.

- Jasne, że są moje. Jest to też mnóstwo kartonów z książkami, które znasz, ale zaniósłem je na strych. - Gdy cofnęła się, powiedział: - Uważaj! Wpadniesz na krzesło. Usiądźmy. - Otworzył drzwi do salonu, wziął z jej rąk dziecko i położył je w głębokim fotelu. Ruszył do niej, bo wciąż stała w drzwiach, wziął ją za rękę, przyprowadził do kanapy i posadził. - To jest moje nowe mieszkanie. Tu będę żył. Już wybrałem dla siebie pokoje - na piętrze, na końcu korytarza. Tak będzie dobrze przez jakiś czas. No i co o tym myślisz? - Wyciągnął rękę, jakby brał to miejsce w posiadanie. - Ładny pokój, co?

- Joe, przestań! Przestań!

- Nie, nie przestanę - powiedział już z powagą. - Robię coś, co powinienem był zrobić dawno temu. Nie należało mnie zmuszać, żebym się usunął w cień. Wiesz o tym, ja wiem i Don wiedział. O tak, dobrze wiedział. Należałaś do mnie od dawna - zanim zaczęłaś należeć do niego. Oboje o tym wiedzieliśmy. Trudno mi określić, jak dalece byłaś wtedy zaangażowana, ale sądzę, że gdybym się odkrył, zanim tata zaczął sterować sytuacją, miałbym już żonę i rodzinę. Tak się stało, że zakochałaś się w Donie. Nie mogę tego podważyć. On też się w tobie zakochał. O tak. Oboje kochaliście się nawzajem, lecz to było interludium - tylko interludium. Tak to teraz widzę. Czy możesz sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy zostałem zmuszony do odgrywania roli starszego brata? Możesz? Och, nie płacz, moja droga. Chcę z tobą porozmawiać. Mam ci do powiedzenia dużo więcej, niż usłyszałaś do tej pory. Czekałem tak długo, że mogę jeszcze poczekać, dopóki nie będziesz gotowa, ale muszę być blisko ciebie i wiedzieć, że należysz do mnie i że pewnego dnia pobierzemy się. I nie ukrywam, że chciałbym, aby stało się to jak najszybciej. Wiesz co? Tuż przed opuszczeniem tamtego domu tata przestrzegł mnie, że ludzie będą sobie strzepili języki na nasz temat. Zdenierwował się, gdy mu powiedziałem, co zamierzam zrobić. I pomyśleć, że ktoś

taki jak on przestrzegł mnie przed tym. Możesz to sobie wyobrazić? A przecież z tym też różnie bywa. Albo daje się powody do plotek, albo nie. Sama oceń sytuację i powiedz mi, co o tym myślisz. Po prostu musisz być przygotowana na plotki. Kocham cię... Zawsze cię kochałem i jakoś nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek przestał. A skoro tak bardzo cię kocham, to nie potrafię sobie wyobrazić, że ty mnie nie kochasz - od dawna i tak bardzo, jak ja ciebie.

- Och, Joe, Joe. - Zacisnęła powieki. Opierając głowę na jego ramieniu, wyznała: - Bardzo cię kocham. Od jakiegoś czasu... Miałam z tego powodu straszne poczucie winy, bo kochałam również Dona. Tak, to prawda. I jego, i ciebie. Od kiedy pamiętam, kocham cię wcale nie jak brata. Och, Joe...

Opierał podbródek na jej włosach i również zaciskał powieki. Ale po chwili uniósł jej głowę. Delikatnie dotknął wargami jej ust. Gdy przytuliła się do niego, przypomniał sobie słowa Flo: „Wytrwały zawsze osiąga cel”.

- Wiesz, że nastaną dla nas dni sądu? Jesteś na to przygotowana? - spytał cicho.

- Tak, Joe. - Po jej policzkach płynęły łzy. - Będą nas unikali, a zarazem obrzucali błotem.

- Ksiądz Cody obsypie nas gradem obelg. - Roześmiał się. - Bóg mi świadkiem! Zrobi to, nawet jeśli nie posuniemy się dalej... - pocałował ją w koniuszek nosa - nie pozostawi na nas suchej nitki. A gdy tylko rozpuści język...

- Joe, ale chyba powinniśmy się dowiedzieć, za co mamy być napiętnowani?

- Dowiemy się, bądź spokojna.

Objęli się i trwali tak. Gdy z fotela dobiegł płacz, spojrzeli na siebie zdziwieni i roześmiali się.

Joe wziął małą na ręce i zaczął ją kołysać.

- Flo Coulson, posłuchaj. Twoja matka mnie kocha. Wytrwały zawsze osiąga cel. Twoja matka mnie kocha.